

Rozmowa Romana Kurkiewicza
AntyWindyk, czyli wychodzenie z długów

Nauczyciele
– tania siła robocza

Prawicowe mity
na temat dąbrowszczaków

Polacy przenoszą się
do Czech



9 LAT KŁAMSTW SMOLEŃSKICH I WYSTARCZY

Rozmowa
Z Aleksandrem
Kwaśniewskim



MAKSYMILUK

koncert na dwoje

W KINACH OD 12 KWIETNIA

REŻYSERIA TOMASZ DROZDOWICZ SCENARIUSZ MARIA NOCKÓWSKA ZDJĘCIA ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI MONTAŻ TOMASZ DROZDOWICZ KOREKCJA BARBINA
MARTYNA ŁASKOWSKA POSTPRODUKCJA DŹWIĘKU BŁAŻEJ KAFARSKI GŁOŚNO MASTERING MATEUSZ BUDNIK NEW WAVE FILM KIEROWNICTWO PRODUKCJI MARIA GRAZIEWICZ
PRODUKCJI BEATA HYCZKO TOMASZ DROZDOWICZ PRODUKCJA STUDIO FILMOWE AUTOGRAF KOPRODUKCJA TVP S.A., FUNDACJA KULTURY POLSKIEJ
FILM WSPÓLFINANSOWANY PRZEZ POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ
ZDJĘCIE MONIKA REDZIŚ



CYTATY

ABP GRZEGORZ RYŚ,
metropolita łódzki

*Roztrwoniliśmy
autorytet, roztrwoniliśmy
wiarygodność.*

Msza pokutna

BOGDAN ZDROJEWSKI,
europoseł PO

*Resort obrony jest
jednym z najbardziej
zdevastowanych
obszarów władzy.
„Polska The Times”*

CASEY GERALD,
Afroamerykanin,
gej, biznesmen

*Stany Zjednoczone są
od A do Z urządzone tak,
żeby większość obywateli
do niczego nie doszła
i niczego nie miała.
„Forum”*

ANNA CZERWIŃSKA,
himalaistka

*Mimo wszystko faceta
łatwiej zdobyć niż K2.
„Wysokie Obcasy”*

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Obiecujemy, przekupujemy, rządzymy

Przejechali się po mnie niektórzy czytelnicy komentarza „Kłamstwa w interesie gigantów” (PRZEGLĄD nr 14). Uważają, że nie ma co wojować z tymi firmami, bo najważniejsza jest obrona wolności w internecie. Wolności, której rzekomo zagraża dyrektywa unijna. Piszę rzekomo, bo swojej oceny pożytków z niej płynących nie zmieniam. Użytkownicy internetu niczego nie tracą. A to, że właściciele gigantów muszą wreszcie płacić twórcom, jest oczywistą koniecznością.

Głosicielom poglądu, że wolność internautów jest zagrożona, przybył nowy sojusznik. Do tej pory kompletnie od tej strony nieznany. Jarosław Kaczyński, prezes PiS. W Gdańsku prezes ogłosił, że właśnie „PiS jest partią wolności”. W zasadzie nie musiał tego mówić. Wiedza o wolnościowych korzeniach PiS i równie wolnościowej praktyce rządów tej partii jest tak oczywista jak to, że nikt nie wmówi prezesowi, że białe jest białe, a czarne – czarne.

Rozpisanie wolnościowe zaszkodziło władzy w konflikcie z ZNP. Kto widział, żeby nauczyciele kręcili ministerstwem? Przez tyle lat kolejne rządy brały ich głodem, to nie mogą poczekać na drugą, a najlepiej trzecią kadencję „dobrej zmiany”? Jeśli ciut lepsze życie obiecuje im partia wolności, trzeba te obietnice brać. I czekać.

Septycy, których nie brakuje, mogą tu niestety przypomnieć obietnice PiS związane z katastrofą smoleńską. Katastrofą uparcie nazywaną zamachem – który miał zostać udowodniony zaraz po objęciu władzy przez PiS. Władzy ma ta ekipa ogrom. I co?

Idzie od kłamstwa smoleńskiego do kłamstwa na temat wolności. Coraz bezczelniej szczerze jedno grupy społeczne na drugie. I ciągle jest to skuteczne. Daje profity rządzącym. Doraźne. Od wyborów do wyborów. Obiecujemy, przekupujemy i rządzymy.

Tyle że szybciej, niż politykom się wydaje, przychodzi płacić rachunki. Prestajesz dawać, to wybieramy kogoś innego, kto powie, że da. Bo większość rodaków kocha obietnice. I ma przewagę liczebną nad tymi, którzy potrafią liczyć i twardo chodzą po ziemi. Ci jednak nie mogą być prawdziwymi Polakami.

DRODZY CZYTELNICY,
serdecznie dziękujemy tym, którzy
wspomogli nas wpłatami! Cieszy także to,
że nasze książki trafiły do kolejnych domów.
DOCENIAMY, ŻE JESTEŚCIE Z NAMI!



FAUL

Duda i Szydło – radosna para

Nie wszyscy w Polsce narzekają. Są na szczęście ludzie, którym żyje się całkiem dobrze. Na przykład premier Szydło – po długim strajku włoskim pojawiła się wśród nauczycieli. I pokazała im plansze z programem zmniejszania zatrudnienia w oświacie. Albo mąż nauczycielki z Krakowa, na etacie prezydenta RP. Duda pokazał w okolicach Zakopanego twarz radosnego narciarza. Granatowo-czerwony strój z napisem Polska. Buty Atomic. Drogie narty. Kask POC i eleganckie gogle. Słodkie jest życie pana prezydenta. Na tych słodkościach nieźle żyje też jedna nauczycielka. A reszta? Musi jakoś sama się wyżywić.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8** Dziewięć lat kłamstw smoleńskich.
I wystarczy
Miliony Polaków padły ofiarą
oszustów i mitomanów
- 12** Katastrofa smoleńska to był splot
bardzo wielu błędów
– rozmowa z Aleksandrem Kwaśniewskim
- 16** Tania siła robocza
Nauczyciele od wszystkiego
- 24** Jest długi czy go nie ma?
– rozmowa z Piotrem Soboniem

ZAGRANICA

- 20** Tu chcę się zestarzeć
Czego Polacy szukają w Czechach
- 30** Niepoprawny ambasador
Korespondencja z Berlina
- 34** Pamela Anderson pod Stalingradem
Ponadnarodowa lista wyborcza
- 36** Zingaretti zakupuje topór
Nowy lider włoskiej centrolewicy
- 54** Życie codzienne w Rijadzie
Wspomnienia z placówki

OPINIE

- 38** Czesław Sikorski
Nie tak miało być
- 46** Izabella Dunin-Kwinta
Szatkowanie badań naukowych

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

- 42** Dlaczego nauczyciele mają dość

HISTORIA

- 44** Jak wymyślano „zbrodnie”
dąbrowszczaków
Konferencyjny niewypał

KOŚCIOŁ

- 48** Efekt Franciszka
Oczekiwania i rzeczywistość

KULTURA

- 50** Czarny charakter może być wśród nas
– rozmowa z Nadią Szagdaj
- 52** Kulturalia
- 66** Dominik Jasiński. Ukryte pragnienia

NAUKA

- 56** Człowiek w nowym stadium ewolucji
Przystosować się do zmian klimatu

EKOLOGIA

- 58** Walka o wodę w Chile
– rozmowa z Marcelą Alejandrą Mellą Ortiz

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Obiecujemy, przekupujemy, rządzymy
- 29** Jan Widacki
Tak mówić, aby nie powiedzieć
- 33** Roman Kurkiewicz
Co by tu jeszcze spalić, księża?
- 41** Tomasz Jastrun
Paraliż postępowy
- 43** Ludwik Stomma
Prosto z mostu
- 47** Edward Mikołajczyk
Fundusz na zaś



TU CHCĘ SIĘ ZESTARZEĆ

Czego Polacy szukają w Czechach

20
ZAGRANICA

56
NAUKA



CZŁOWIEK W NOWYM STADIUM EWOLUCJI

Przystosować się do zmian klimatu



WALKA O WODĘ W CHILE

– rozmowa z Marcelą Alejandrą Mellą Ortiz

58
EKOLOGIA

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER/EAST NEWS,
JACEK DOMIŃSKI/REPORTER/EAST NEWS (2),
JAN BIELECKI/EAST NEWS



PROF. TADEUSZ BARTOŚ

W zakonie jak w sekcie
Dlaczego kler jest tak zdemoralizowany

ANNA GORNOSTAJ

Aktorka z prywatnego
Teatru Capitol

100 TWARZY WĘDKARZA

✉ Ostrołęka powoli zmienia kierunek

W związku z reportażem red. Ewy Smolińskiej-Boreckiej o Ostrołęce (PRZEGLĄD nr 14) należałoby dodać, że przez minione trzy kadencje miasto to uchodziło za strefę wpływów obecnego po-
sta Arkadiusza Czartoryskiego i senatora Roberta Mamąta. Prezydent był tylko marionetką. Przez kilkanaście lat karty rozdawali swojacy, często związani z Kościołem. Użytkownicy portalu Moja Ostrołęka bez trudu wskazują grupę katechetów, którzy współkierowali urzędem czy spółkami miejskimi.

Nie obyło się też bez wsparcia lokalnego duchowieństwa.

Dużo jeszcze wody w Narwi upłynie, nim rzeczywiście Ostrołęka zacznie sterować w dobrym kierunku. Chętnych do rzucania kłód pod nogi nowej władzy nie brakuje. Hejterstwo, trolling i inne dewiacje internetowe można znaleźć na wszystkich portalach społecznościowych. Trzeba mieć skórę nosorożca, żeby z tym słownictwem wzgardy i nienawiści w mieście uznawanej za katolicką funkcjonować. Zapewne „muzealnik” z przypadku, dyrektor Jacek Karczewski, też częściej spogląda w kalendarz, bo nie zna dnia swego ani godziny.

Grzegorz Oracz

✉ Zbyt rzadko wstuchujemy się w język

Z ciekawością przeczytałam artykuł „Czym chata bogata” (PRZEGLĄD nr 13). Podoba mi się, że pani Patrycja Spytek zaczęła go od języka, śledząc, jak poruszany tu temat kulinarny odbija się w mowie, wyrażeniach, powiedzonkach. Jak w języku można odnaleźć historię jakiegoś zjawiska. Na archeologii językowej oparł swoje dzieło J.R.R. Tolkien. W młodości wymyślał z kolegami nieistniejące języki, ale szybko się zorientował, że bez warstwy znaczeniowej – historii, mitologii, obyczaju – zakodowanej w słowach każdy język jest martwy i niezrozumiały. Ludzie zbyt rzadko wstuchują się w język, którym mówią, i nie potrafią odczytywać jego znaczeń ani historycznej zawartości.

Chciałabym tylko uzupełnić dwa przytoczone w tekście rosyjskie powiedzenia o ich polskie odpowiedniki. Кашу маслом не испортишь to nasze od przybytku głowa nie boli, а заварили кашу to odpowiednik naszego nawarzyć piwa (narozrabiać, spowodować niezręczną sytuację).

Elżbieta Chmiel, Warszawa

OSTROŁĘKA NIE TONIE

Przez 12 lat pierwszy sort zarabiał krocie i miał się dobrze, ale to się skończyło



W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

W Ostrołęce, w Muzeum Ziemi Ostrołęckiej, fot. Wojciech Kozłowski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Wypędzanie diabła z Harry'ego Pottera. W parafii Najświętszej Maryi Panny Matki Kościoła i św. Katarzyny Szwedzkiej w Gdańsku spłonęły na stosie m.in. książki „Harry Potter” i „Zmierzch”. Zdjęcia zamieszczone na facebookowym profilu fundacji SMS z Nieba opublikowały światowe media.



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego PiS upiera się przy wystąpieniu Anny Zalewskiej do Brukseli?

DR HAB. RAFAŁ MATYJA,
politolog, WSiLiZ w Rzeszowie

Nie wiem. Najbardziej prawdopodobne jest to, że na jakiejś personalnej szachownicy na Nowogrodzkiej wyszło, że jako minister już się nie przyda, ale powinna zostać nagrodzona za oddanie, z jakim wypełniła misję likwidacji gimnazjów. To ważny sygnał dla innych: jeżeli będziecie lojalni, możecie liczyć na nagrodę w spółce skarbu państwa, co spotkało minister Małgorzatę Sadurską z kancelarii prezydenta Dudy, albo na fotel w Parlamencie Europejskim, który zapewne przypadnie Annie Zalewskiej. Nie będzie to jedyny taki przypadek, wszak małopolską listę PiS otwiera Beata Szydło, a na wysokich miejscach znajdują się Beata Kempa, Jarosław Sellin, Beata Mazurek czy Krzysztof Jurgiel. Komunikat jest prosty: warto być lojalnym.

MACIEJ WIŚNIEWSKI,
Strajk.eu

Dla mnie sprawa jest oczywista – Anna Zalewska tak dalece zepsuła podległy jej resort, w sensie personalnym i strukturalnym, że nie tylko jest zagrożona dymisją, ale wręcz mówi się, że może stanąć przed Trybunałem Stanu. Obstawiałbym więc, że jej start do europarlamentu wy-

nika przede wszystkim z lęku i nadziei na immunitet.

HUBERT WALCZYŃSKI,
magazyn „Kontakt”

Nie mam pojęcia. Jestem natomiast przekonany, że media w Polsce zajmują się sprawami zupełnie nieistotnymi z perspektywy obywatela, nie poświęcając uwagi poważnym i bulwersującym problemom społecznym. Nie piszą więc o szacunkach Global Slavery Index, które mówią, że w Polsce w 2018 r. żyło ok. 128 tys. niewolników pozbawianych dowodów lub paszportów, zmuszanych do pracy i podpisywania weksli *in blanco*. O pracownikach z Korei Północnej zsyłanych na przymusowe roboty na polskich budowach. O modnych warszawskich restauracjach, w których na zmywaku pracują często niewolnicy z Ukrainy. 128 tys. osób, o których życiu mówimy, to z pewnością więcej niż liczba zainteresowanych perypetiami Anny Zalewskiej w Brukseli czy gdziekolwiek indziej.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

TADEUSZ KALINOWSKI

PiS chce ją schować, bo swoimi wypowiedziami drażni nawet szeregowych

członków partii. To klasyczny kop polityczny, by pozbyć się problemu. Nie pozwólmy na eksport do Brukseli cynicznej, pełnej fałszu osoby.

BEATA MORAWSKA

Żeby, broniąc się przed krytyką za bajzel w oświacie, nie powiedziała: to nie ja, to Kaczyński, to jego wina, robiłam, co kazał.

WOJCIECH NOCKIEWICZ

Ta decyzja zapadła już wcześniej, więc gdyby teraz ją wycofano, byłoby to przyznaniem się do zawalenia reformy. A przy okazji schowa się panią minister przed jesiennymi wyborami.

GRZEGORZ TORYŃSKI

Liczą, że nauczyciele i rodzice zagłosują na nią, aby tylko ministrem edukacji został ktokolwiek inny. A gdy we wrześniu w szkołach średnich pojawią się dzieciaki z ósmych klas i po gimnazjach, minister Zalewska powie: „Jestem europoseł, to nie mój problem”, następca: „Nie ja przeprowadzałem reformę, proszę pytać poprzedniczkę”. W ten sposób, jeśli będzie źle, nie będzie winnego.

Not. Michał Sobczyk

Dziewięć lat kłamstw smoleńskich I WYSTARCZY

Miliony Polaków padły ofiarą oszustów i mitomanów.
Najwyższa pora wyjść z tej mgły

Robert Walenciak

To już dziewięć lat. Dziewięć lat od katastrofy w Smoleńsku i dziewięć lat kłamstw. Wmawiania, że bomba, że wybuch, zamach itd. Katastrofa smoleńska okazała się też katastrofą społeczeństwa. Nie tylko podzieliła Polaków, ale wepchnęła znaczną ich część w otchłań nieręcznych spekulacji, podejrzeń, wrogości. Rozum ustąpił miejsca mitom. Okrzykom o zdradzie.

Z perspektywy czasu dobrze widać, czemu ta wojna polsko-polska miała służyć. Okazała się znakomitym narzędziem scalającym elektorat PiS, dającym mu sens działania. Obietnica dotarcia do „prawdy”, którą co miesiąc składał Jarosław Kaczyński – już odkrywamy, już docieramy! – dopingowała rzesze sympatyków prawicy. Mit smoleński dał PiS władzę.

Minęło trzy i pół roku tej władzy PiS. Władzy absolutnej, bo partia rządząca ma w rękach wszystkie instytucje i wszystkie narzędzia, by katastrofę smoleńską wyjaśnić do najdrobniejszego szczegółu. Trzy i pół roku – i nic. No, może poza informacjami kompromitującymi Antoniego Macierewicza i członków jego podkomisji. Owszem, niektórzy w PiS jeszcze powtarzają, że prawda jest straszna i dlatego tak trudno do niej dotrzeć. Ale przecież nikt racjonalnie myślący już w to nie wierzy.

Chyba więc pora powiedzieć otwarcie – miliony Polaków padły ofiarą oszustów i mitomanów. Najwyższy czas wyjść z tej mgły.

Co mówi czarna skrzynka

O katastrofie i jej przyczynach napisano tysiące artykułów. Dwa lata temu dr Maciej Lasek, wiceprzewodniczący komisji Millera i wieloletni szef



Antoni Macierewicz – główna twarz teorii o zamachu.

komisji badającej wypadki lotnicze, w rozmowie z PRZEGLĄDEM wymieniał te przyczyny. To było „zejście poniżej minimalnej wysokości zniżania, przy nadmiernej prędkości opadania, w warunkach uniemożliwiających kontakt wzrokowy z ziemią, i spóźnione rozpoczęcie odejścia na drugi krąg”.

Tu-154M zniżał się z prędkością 7-8 m/s, choć w instrukcji napisane jest, że powinna wynosić 3,5 m/s. Co to oznacza? Zgodnie z instrukcją przy 3,5 m/s przenieślenie wynosi tylko 10 m, ale przy 8 m/s już 50 m. Wielotonowej maszyny nie da się poderwać na pstryknięcie palcami. Tymczasem pilot, choć w takich warunkach nie powinien schodzić poniżej 100 m, decyzyjnie o odejściu na drugi krąg podjął na wysokości 39 m. O wiele za późno.

Nasuwa się pytanie, dlaczego. Dlaczego pilot tak gwałtownie się zniżał, dlaczego nie poderwał samolotu wcześniej, dlaczego nie odleciał na inne lotnisko? Odpowiedź dają częściowo zapisy z czarnej skrzynki.

Najdokładniejsze są te z roku 2015, zrealizowane na zlecenie wojskowych prokuratorów z Warszawy prowadzących śledztwo smoleńskie. Zawierają one o jedną trzecią więcej słów niż poprzednie.

Biegli prokuratury skorzystali z własnej kopii zapisu, zarejestrowanej podczas specjalnej wizyty w Moskwie, w lutym 2014 r. Wtedy to zorientowali się, że w Tu-154M zamontowana była taśma nagrywająca niezgodna ze specyfikacją. W związku z tym jej odczyt był niepełny, pozbawiony głosek ć, ś, ź, sz oraz spółgłosek świszczących, sięgających pasmem ponad 10 kHz. Zapis spróbowano więc odczytać w innej częstotliwości próbkowania sygnału. To się powiodło, uzyskano zapis o 30-40% dokładniejszy niż poprzednie.

Z tego zapisu wynika m.in., że dowódca Sił Powietrznych gen. Andrzej Błasik do ostatniej chwili przebywał obok pilotów i zachęcał ich do lądowania. Naciskać miał również szef protokołu dyplomatycznego MSZ Mariusz Kazana.

Mit smoleński dał PiS władzę.

Oto zresztą fragmenty tego stenogramu, publikowanego przez stację RMF FM:

„O godz. 8.22 w kabinie pilotów pojawia się głos zidentyfikowany jako należący do DSP, czyli dowódcy Sił Powietrznych. Gen. Andrzej Błasik pyta nawigatora, czy ten mówi po angielsku. Pół minuty później dowódca samolotu, kpt. Arkadiusz Protasiuk, pozwala nierozpoznaną osobie, »chorążemu rezerwy«, na wejście do kabiny.

O godz. **8.26** kpt. Protasiuk rozmawia z dyrektorem protokołu dyplomatycznego MSZ.

– Przy tych warunkach, które są obecnie – nie damy rady usiąść – mówi. – Spróbujemy podejść, zrobimy jedno podejście, ale prawdopodobnie nic z tego nie będzie. Tak że proszę już myśleć nad decyzją, co będziemy robili.

– Będziemy próbować do skutku – odpowiada szef protokołu.

– Yyy, paliwa nam tak dużo nie starczy, żeby do skutku – mówi kapitan samolotu.

– To tu mamy problem! – stwierdza dyplomata.

O godz. **8.30**, 11 minut przed katastrofą, do kabiny ponownie wchodzi szef protokołu MSZ.

– Jeszcze nie ma decyzji prezydenta, co dalej robimy – mówi Mariusz Kazana. Drugi pilot tupolewa przypomina o mgłę nad lotniskiem. Wtedy dyrektor prawdopodobnie wychodzi.

– No i kurwa nie po(wi)edział – podsumowuje ktoś wizytę szefa protokołu.

O godz. **8.33** stewardesa prosi wszystkich o zajęcie miejsc. Według ekspertyzy w kokpicie cały czas przebywa gen. Andrzej Błasik.

O godz. **8.35** słychać komunikat rosyjskiego kontrolera lotów, który nakazuje przygotować się załodze tupolewa do odejścia na drugi krąg.

– Faktem jest, że my musimy to robić do skutku – odpowiada na to gen. Błasik.

– Dokładnie – dodaje osoba, której nie udało się zidentyfikować.

O godz. **8.39** dowódca Sił Powietrznych rzuca: »Nie ruszaj!«, kiedy nawigator mówi: »Statecznik yyy«. Potem przyjmuje meldunki dotyczące kolejnych działań w czasie procedury lądowania.

O godz. **8.40** rozlega się alarm TERRAIN AHEAD.

W kokpicie dochodzi do charakterystycznej rozmowy:

– Ktoś tu zawinął – mówi jeszcze przed TERRAIN jeden z członków załogi.

– Mówisz do widzenia! – stwierdza drugi pilot. Najwyraźniej sugerując, że by odejść na drugi krąg.

– Nieee, ktoś za to beknie – rozwiewa złudzenia dowódca.

– Po-my-sły! – domaga się DSP. Mówi znacznie głośniejszym głosem od pilotów.

8.40.21 – załoga schodzącego samolotu obserwuje pomiar wysokości.

– 2-8-0 – melduje drugi pilot.

– 300! – prostuje nawigator.

– Zmieścisz się śmiało – zachęca tymczasem DSP, po dwóch sekundach dodając: »230«.

8.40.33 – drugi alarm TERRAIN AHEAD.

8.40.38 – trzeci alarm TERRAIN

Obietnica dotarcia do „prawdy”, którą co miesiąc składał Jarosław Kaczyński, dopingowała rzesze sympatyków prawicy.

AHEAD, tłumiający odczytane dopiero teraz słowa któregoś z członków załogi »To się nie uda«.

8.40.41 – czwarty alarm TERRAIN AHEAD.

8.40.42 – alarm PULL UP.

Alarmy TERRAIN AHEAD i PULL

8.40.54 – magnetofon rejestruje lekkie uderzenie w kadłub – samolot uderzył w pierwsze drzewo na swojej drodze.

– 20!!! – krzyczy nawigator.

8.41.00 – w kabinie słychać »odgłos przypominający niszczenie konstrukcji w kolizji«. Ostatni alarm PULL UP! odzywa się o **8.41.01**.

Potem nagranie zawiera odgłosy bardzo głośnego niszczenia konstrukcji samolotu.

8.41.02 – radio tupolewa odbiera ostatni sygnał z wieży kontroli lotów: »Odejdźcie na drugi krąg«. Na pokładzie samolotu słychać przerażające krzyki.

Zapis urywa się z silnym trzaskiem. Jest **8.41.04**.

*

Do tego zapisu dorzucimy dwie uwagi. Po pierwsze, dla fachowców nie do pomyslenia jest, że do kokpitu mógł wejść praktycznie każdy. I że kapitan znajdował się pod ciągłą presją. Tymczasem podczas lotu to on jest dowódcą, ważniejszym od prezydenta czy dowódcy Sił Powietrznych. On dowodzi i nie musi nikogo słuchać. A kokpit, zwłaszcza podczas lądowania, powinien być absolutnie sterylny.

To, jak bardzo zwyczajnie na pokładzie Tu-154M odbiegamy od cywilizowanych norm,

uzmysławia historia z roku 2013, z lotu kanclerz Angeli Merkel do Indii. Niemiecki samolot nie został wpuszczony w przestrzeń powietrzną Iranu. Kapitan prawie dwie godziny krążył po stronie tureckiej, czekając na zgodę. I dopiero po jej uzyskaniu poleciał dalej. Pani kanclerz dowiedziała się o tym siedem godzin po wylądowaniu (!). Kapitan nie pytał jej o nic, a i jej ludzie nie niepokoił go swoją ciekawością.

I druga uwaga – otóż na nagraniu słychać odgłosy katastrofy, uderzeń koron drzew o samolot, potem huk zderzenia z ziemią. Nie słychać wybuchu bomby ani innych odgłosów pirotechnicznych. To koronny dowód, że samolot nie rozpadł się 30 m nad ziemią, jak opowiadają zwolennicy



Dr. Kazimierz Nowaczyk – jeden z ekspertów podkomisji powołanej przez Antoniego Macierewicza.

UP pracują równolegle, w kabinie jest głośno.

8.40.48 – Narwańcy – mówi w kokpicie niezidentyfikowany głos. Samolot jest na 100 m.

– Dochodź wolniej – radzi drugi pilot.

Wysokość spada do 90, 80 m. – Odchodzimy – stwierdza drugi pilot.

Wysokość nadal spada: nawigator zgłasza kolejno 70, 60 m.

– Dobrze – pada w kokpicie o **8.40.52**.

Nawigator nadal melduje spadek wysokości: 50, 40, 30...

Przy »50« kontroler lotu nakazuje wyrównanie lotu: »Horyzont, sto jeden«. Ponownie, już podniesionym głosem, po »30«.

► teorii zamachu. Koronny – ale nie dla wszystkich. Zwolennicy teorii zamachu odpowiadają wówczas: czarna skrzynka została sfalszowana. „Rosjanie podmienili czarne skrzynki” – to tytuł czołówki „Gazety Polskiej” z 5 września 2018 r.

I w ten sposób przechodzimy płynnie do mitu, który zaczął nabierać mocy już kilka godzin po katastrofie.

Zdradzeni o świcie

Alternatywne wobec katastrofy wersje zaczęły powstawać niemal od razu. Jeszcze dopalały się szczątki samolotu, gdy w eter poszła wersja, że trzy osoby ocalały. To było przekłamanie, ale w zderzeniu z nagraniem z miejsca katastrofy, na którym słychać jakby trzaski, strzały – było pożywką dla pierwszych wersji spiskowych. Że samolot wylądował, a rannych dobijali żołnierze specnazu.

To szybko okazało się bzdurą. Zaczęły więc powstawać kolejne wersje. Że rozpylona została sztuczna mgła. Albo hel. Że na załogę oddziaływało specjalnymi falami, żeby źle pilotowała. Że wieża kontrolna specjalnie wprowadziła pilotów w błąd, wciągając ich w pułapkę. Potem pojawiały się teorie o bombie wewnątrz kabiny, o mikro-wybuchach, o bombie w skrzydle.

Szybko pojawili się też winowajcy. Tygodnik „W Sieci” zamieścił zdjęcie

„Gazeta Polska”
Tomasza Sakiewicza
niemal co tydzień ogłaszała
kolejną teorię zamachu.



prezydenckich, w których startował w dwojakiej roli – tragicznie zmarłego Lecha Kaczyńskiego i siebie samego, pogrążonego w bólu brata bliźniaka, smoleńska ideologia okrzepła. I nastąpił podział ról.

Do pierwszego szeregu powrócił Antoni Macierewicz – to on zaczął organizować zespoły, które miały „wyjaśnić” katastrofę smoleńską. I przedłużano żałobę. Dokonano przy tym podziału ofiar. Najważniejszą był Lech Kaczyński, no, ewentualnie jeszcze

Elementem niekończącej się żałoby stały się smoleńskie miesięcznice, z Jarosławem Kaczyńskim jako głównym żałobnikiem.

Wielką rolę w budowaniu mitu smoleńskiego odegrali bliscy PiS dziennikarze. „Gazeta Polska” niemal co tydzień ogłaszała kolejną teorię zamachu. Wszystkie one, co prawda, wzajemnie się wykluczały – bo jeżeli dobijano rannych, to samolot nie mógł rozpaść się w powietrzu – ale przecież nie o taką precyzję chodziło. Mit smoleński odwoływał się nie do rozumu, tylko do kulturowych kalek. Prezydenta pielgrzymą, zdradzonego o świcie itd.

W kontrze do niego budowano obraz ekipy rządzącej – uległej wobec Rosji, niekompetentnej, ukrywającej przed ludem prawdziwe przyczyny katastrofy. „Smoleńskie upokorzenie”, wołał na pierwszej stronie „tygodnik autorów niepokornych”, czyli „Uważam Rze”, wyjaśniając: „Od zniszczenia wraku do sfalszowanych sekcji (zwłok). Jak Rosjanie potraktowali nas po 10 kwietnia 2010”. Już można nie czytać – wiadomo, że okropnie. Ale ten ton miał szerszy zasięg. „Rzeczpospolita” w dodatku „Plus Minus” w roku 2013 pytała: „Czy można jeszcze ufać Rosji?”. A w środku Andrzej Nowak wyjaśniał: „Kapitulanka postawa polskiego rządu sprawia, że Rosja Putina nie musi liczyć się z naszym oporem”.

Ta niekończąca się żałoba budowała Jarosława Kaczyńskiego i PiS.

Katastrofa smoleńska pozwoliła prawicy zbudować przekaz odwołujący się do emocji i wyznaczający cele polityczne.

Tuska i Putina ze Smoleńska. Uśmiechniętych! „Ciesz się nad szczątkami!”, komentowały prawicowe media.

Obok mitu zamachu budowano mit prezydenta męczennika. Oto Lech Kaczyński leciał pokłonić się oficerom zamordowanym w Katyniu i także zginął. Poległ, wypełniając tę wielką patriotyczną misję. Teraz więc spoczywa na Wawelu.

Trzecim elementem był bój o pamięć. Już 14 kwietnia ustawiono przed Pałacem Prezydenckim krzyż symbolizujący pomnik smoleński, który miał stanąć w przyszłości. Wokół krzyża zaczęli gromadzić się ludzie, bój o to, czy ma być usunięty, czy nie, szybko stał się czynnikiem mobilizującym. W tym kotle już się gotowało.

A potem, już po przegranych przez Jarosława Kaczyńskiego wyborach

jego żona. Potem politycy PiS – banner z ich nazwiskami został ustawiony w Sejmie. Reszta – politycy innych opcji, generałowie, funkcjonariusze BOR, piloci, działacze społeczni – stała się zapomnianym dodatkiem. Ilustruje to zresztą los tablicy upamiętniającej ofiary katastrofy, którą w siódmą rocznicę odsłonięto w kancelarii premiera. Były na niej nazwiska prezydenta Lecha Kaczyńskiego, wicepremiera Przemysława Gosiewskiego i ministra Zbigniewa Wassermann. Jako polityków związanych z kancelarią. Ale pominięto wicepremier Izabelę Jarugę-Nowacką. Ona dla PiS już się nie liczyła.

Innym przykładem tego sposobu myślenia były wypłaty odszkodowań rodzinom ofiar. Suto więc uposażano ludzi PiS, pomijając innych, np. rodziny funkcjonariuszy BOR.

Budowała moralną wyższość żałobników – bo oni pamiętają, wyrażają szacunek dla ofiar, a tamci nie. My bronimy honoru polskich lotników, z gen. Błasikiem na czele, a oni przyjmują tezy z raportu rosyjskiego MAK, czyli tzw. komisji Anodiny, że zawinili piloci. Jakże to, polscy piloci mogli się pomylić? My chcemy wyjaśnić sprawę, a oni nie chcą.

Oskarżenia wobec rządu mnożyły się. Że Rosjanie przejęli śledztwo, że zwłoki ofiar leżały w błocie, że były pomieszane (zupełnie pomijano fakt, że często były to niemożliwe do zidentyfikowania kawałki ciała) itd. Wszystko to miało dowodzić słabości państwa. Uległości wobec Rosji. I cynizmu premiera.

*Krew na kamiennych szarych płytach
Na białych rękawiczkach Tuska
Krew która o nic was nie pyta
Krew jak złamana w sadzie brzoźka
(...)*

*Krew na fotelach tupolewa
Zmywana szlauchem o świtanie
Jeszcze wam ona pieśń*

zaśpiewa

*To będzie pieśń o zmar-
tych wstaniu*

Tak pisał Jarosław

Marek Rymkiewicz, bard prawicy.

W ten sposób – wierszem, mszą, demonstracją, sensacjami typu trotyl na wraku tupolewa – PiS budowało tożsamość swoich wyborców i dzieliło Polskę. I to brutalnie, odmawiając państwu rządzonemu przez Platformę legitymizacji – bo to nie była, w jego opowieści, niepodległa Rzeczpospolita, lecz państwo uległe, które zabiło Kaczyńskiego brata. Dzieliło mocniej, niż podzielił stan wojenny.

Gra Tuska i inne gry

A Tusk? Tusk na to się godził, było mu to na rękę. Podział Polski na dwie części – Kaczyńskiego i jego. Tylko na dwie części. W dodatku – tak myślał Tusk – jego jest większa.

Była grupa publicystów, która szybko to spostrzegła. O scenariuszu wzajemnie nakręcanej agresji pisał już na początku roku 2011 Robert Krasowski w tekście „Klasyczny pojedynek potworów” w „Rzeczpospolitej”: „I co? Musieliśmy wybierać. Między butą Tuska, który trzymając Klicha, urządza arogancką demonstrację własnej siły, a butą Kaczyńskiego, który oddając kwestie śledztwa w ręce Macierewi-

cza, postanowił śmierć swojego brata uczynić tworem dla politycznych bredni, którymi mamieć się będzie nie-mądrych wyborców”.

Pisał też o tym w „Tygodniku Powszechnym” Michał Majewski w drugą rocznicę katastrofy: „Sytuacja jest wygodna dla obu stron. Kaczyński, mobilizując swoich, neguje w całości »państwo Tuska«. A Tuskowi to na rękę: w końcu broni dobrze funkcjonującego państwa przed oszołomami. Te obozy zawłaszczyły sobie opowieść o 10 kwietnia. Zręcznie pomijają niewygodne dla siebie fragmenty. Budują czarno-białe scenariusze, które nijak się mają do faktów”.

Tuskowi nakręcanie smoleńskich emocji wydawało się więc korzystne. Przynajmniej w pierwszych latach. Z jego punktu widzenia porządkowało scenę – na oszołomów mówiących o zamachu, o bombie, i na tych normalnych, Europejczyków. I dzieliło ją według wygodnych dla niego kryteriów, tym samym spychając gdzieś

do kąta innych, np. lewicę. „Nie mam z kim przegrać!”, wołał więc do dziennikarzy, przekonany, że oto zbudował sobie polityczne perpetuum mobile. I przegrał.

Przegrał dlatego, że mit smoleński okazał się silniejszy, niż rachował. Nie był również tak jednowymiarowy, jak w Platformie na początku to widziano. Owszem, wiara w zamach była dla tego mitu kluczowa. Ale był on znacznie szerszy. Katastrofa smoleńska pozwoliła bowiem prawicy zbudować koherentny przekaz – odwołujący się do emocji i wyznaczający polityczne cele.

Dwa lata po Smoleńsku „Uważam Rze” wołało na pierwszej stronie: „Trumny nie zostały zamknięte”. A drobniejszymi literami stawiało pytania: „Tragedia smoleńska. Kto to zrobił? Kto na tym zyskał? Kto chce zgasić naszą pamięć?”. Z kolei siedem lat po Smoleńsku Piotr Lisiewicz w „Gazecie Polskiej” pisał: „Błogosławionym skutkiem Smoleńska jest wojna polsko-polska, czyli niezgoda na rządy dotychczasowych elit. A prawdziwe dobro ze Smoleńska uda się wyprowadzić wówczas, gdy ta wojna się zakończy. Poprzez eliminację z życia publicznego obozu Targowicy”.

Trudno o bardziej cyniczne wyjaśnienie tej wielkiej operacji politycznej, której doświadczyliśmy. Te wszystkie msze, marsze, modlitwy były, okazuje się, po to, żeby wywalić elity PO. I żeby w to miejsce, na te stołki, przyszły „elity” PiS. Naród tańczy i śpiewa z radości...

W ten sposób wielki mit smoleński zaczął gasnąć. Po dziewięciu latach jest jak senny koszmar. Macierewicz przez trzy i pół roku szukał, nikt mu nie przeszkadzał, i niczego nie znalazł. Członkowie jego podkomisji okazali się ludźmi niepoważnymi.

Poważne za to okazały się pieniądze, które pobierali. Koszty działalności podkomisji w samym roku 2017 wyniosły 3,5 mln zł. Ale to i tak drobne w porównaniu z odszkodowaniami dla rodzin ofiar. Sekretarz stanu MON Wojciech Skurkiewicz mówił w Sejmie, że w latach 2010-2015 rodziny ofiar katastrofy smoleńskiej otrzymały 71 mln zł. Odszkodowania od 2016 r. wyniosły 21,5 mln zł.

Dokonano podziału ofiar. Najważniejszą był Lech Kaczyński, ewentualnie jeszcze jego żona. Potem politycy PiS. Reszta stała się nieważna.

Jakiś czas temu głośno było o europosłance Beacie Gosiewskiej, wdowie po Przemysławie Gosiewskim. Kobieta domagała się aż 5 mln zł rekompensaty, mimo otrzymania 250 tys. zł na nią i na każde z dwójki dzieci, 40 tys. zł pomocy od rządu, 100 tys. zł od Kancelarii Sejmu i comiesięcznej renty na każde dziecko.

Co więc z tym zamachem? Kłamstwo wyszło na jaw i nie za bardzo widać, kto chciałby go bronić. Film „Smoleńsk”, który miał wzmocnić mit i wiarę w zamach, został wyśmiany. „Gazeta Polska”, która zbudowała się na smoleńskich sensacjach, właśnie bije rekordy spadku sprzedaży, a PiS przed zbliżającymi się wyborami nie wie, gdzie schować Antoniego Macierewicza. Ci, którzy przez lata kłamali o Smoleńsku, nabrali wody w usta. Inni racjonalizują – są pomniki, więc bitwa skończona.

Cóż, każdego dnia możemy się przekonać, jak łatwo w Polsce pomniki obalić... Bitwa też nie jest skończona. Bo dlaczego mamy odpuszczać tym, którzy przez lata oszukiwali Polaków? Bitwa trwa.

Robert Walenciak

Katastrofa smoleńska to był splot bardzo wielu błędów

Momentem przesądzającym o tym, że kończy się żałoba, a zaczyna polityka, była decyzja o pochowaniu pary prezydenckiej na Wawelu

Rozmawia Robert Walenciak

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI

Panie prezydencie, jest 10 kwietnia 2010 r.

– Byłem w Warszawie. Wróciłem ze spaceru z psami, przygotowywałem śniadanie, kiedy w radiu usłyszałem wiadomości. Że samolot, że coś się stało. Powiedziałem żonie, że stało się coś niedobrego, zaczęliśmy słuchać i już wiedzieliśmy, że jest źle. A potem telefony się rozdzwoniły.

Pojechał pan do stacji TVN.

– Mam niedaleko... Tam oglądałem kolejne doniesienia. Był taki moment, kiedy pojawiła się nadzieja. Dziennikarze podali listę pasażerów, był na niej Jerzy Bahr, wtedy ambasador w Moskwie, dobrze go znałem, pracował u mnie w Biurze Bezpieczeństwa

Południowej, i w Stanach Zjednoczonych, i w Ameryce Południowej. To był dobry samolot, bezpieczny. Z jedną wadą, jaką może mieć samolot zbudowany na bazie wojskowego – podchodził do lądowania przy dużej prędkości. Dużo większej niż typowe samoloty pasażerskie. Czyli jak lądowało się na lotnisku niewygodnym, niezadbany, takim jak Smoleńsk, a tam też kilkakrotnie byłem, to pasażerowie podskakiwali prawie że do sufitu. Ale poza tym nigdy nie było większych problemów. Moja teoria w sprawie tego wypadku jest bliska temu, co powiedziała komisja Millera – to był splot bardzo wielu błędów, popełnionych od samego początku.

przygotowani na różnego typu sytuacje. Później... Mogę się domyślać, że wraz z informacjami, które przynosił szef protokołu dyplomatycznego, że nie da się na czas wylądować, pojawiła się nerwowość i zaczęło poszukiwanie jakiegoś rozwiązania. A takim błędem, który jak kropla przelała tę czarę nieszczęścia, było moim zdaniem poproszenie szefa wojsk lotniczych, gen. Błasika, żeby wszedł do kokpitu i zorientował się, co tam się dzieje i co można zrobić. Zawsze mówię, że jeżeli lekarz prowadzi banalną operację, np. wycięcia wyrostka robaczkowego, i w jej trakcie wchodzi do sali operacyjnej dyrektor szpitala, ryzyko śmierci pacjenta rośnie gwałtownie. Bo to dodatkowy, niepotrzebny stres itd. Dlatego obecność generała w kokpicie była wielkim błędem. Błąd popełniła również wieża w Smoleńsku, bo powinna była twardo powiedzieć, że nie wolno lądować. Ale oni mogli sądzić, że samolot polskiego prezydenta ma takie urządzenia, że wylądować nawet w gorszych warunkach. Tym bardziej że chwilę wcześniej wylądował Jak-40 z dziennikarzami... Taki splot przyczyn doprowadził do tego nieszczęścia.

A 25% Polaków w pewnym momencie wierzyło, że w Smoleńsku był zamach.

– Na całym świecie tak spektakularne, dramatyczne wydarzenia, które wzbudzają powszechne emocje, zawsze polaryzują społeczeństwo. Są naturalną pożywką dla zwolenników teorii spiskowych. A w Polsce, proszę pamiętać, jest ich relatywnie więcej niż średnia światowa. Pokazała to historia gen. Sikorskiego, jego eks-humacji w roku 2008. Wiara części polskiego społeczeństwa w różne spiski jest duża.

Wielkim błędem była obecność gen. Błasika w kokpicie.

Narodowego. Zobaczyłem go w telewizji – więc może lista pasażerów nie jest dokładna? Ale poza Bahrem wszystko się zgadzało... A na niej... To był szok! Z Jerzym Szmajdzińskim widziałem się dzień wcześniej, na pogrzebie Krzysztofa Teodora Toeplitza. Rozmawialiśmy, mówił mi, że leci do Katynia i że chciałby, żeby poleciała z nim szefowa jego sztabu, Jolanta Szymanek-Deresz.

Szefowa pańskiej kancelarii.

– Znałem prawie każdego w tym samolocie. Generałowie... Każdy z nich otrzymał przynajmniej jedną gwiazdkę ode mnie. Znałem oficerów BOR, znałem różnych działaczy społecznych, choćby prezesa PKOl. To było wydarzenie, które zostawiło straszliwy ślad.

Zastanawiał się pan, jakie mogły być przyczyny katastrofy?

– Ja tym tupolewem przeleciałem właściwie cały świat. Byłem nim i w Chinach, i w Wietnamie, i w Korei

Jakich błędów?

– Błędem było to, że zignorowano informację o mgle w Smoleńsku. Po takiej informacji lot powinien być opóźniony. Za moich czasów wybudowaliśmy pawilon vipowski na lotnisku wojskowym, więc było gdzie poczekać. Gdyby ten samolot wyleciał dwie godziny później, wszystko byłoby dobrze. Mgła ma to do siebie, że przychodzi i odchodzi, to nie jest trzęsienie ziemi, którego skutki trzeba usuwać latami. To był błąd zasadniczy.

A inne?

– Przyczyną drugiego był fakt, że 36. pułk był w wyraźnym kryzysie. Ja niemal zawsze latałem albo z dowódcą pułku, albo z jego zastępcą, czyli z najbardziej doświadczonymi pilotami. A ten samolot, przy takim składzie pasażerów, był prowadzony przez na pewno dobrego i doświadczonego pilota, ale mniej doświadczonego niż ci zahartowani w boju dowódcy, także psychicznie lepiej



Wtedy pękła wspólnota. Pod Wawelem były pierwsze demonstracje. Ludzie zaczęli się orientować, że ktoś chce żałobę wykorzystać, chce ich ograć. Później nastąpiło pęknięcie społeczeństwa.

– Zderzyły się dwie postawy. Jedni uważali, że w Smoleńsku była katastrofa, że wydarzyła się rzecz straszna, trzeba ją przeżyć, ale trzeba ją zamknąć. A drudzy uznali, że to był zamach, więc trzeba go wyjaśnić. I ta narracja ciągłego dochodzenia, kto był winny – trwała i trwa. To nieuchronnie spolaryzowało społeczeństwo. Tylko że to nie było zdarzenie obiektywne, ale proces sterowany politycznie przez PiS.

Przez Jarosława Kaczyńskiego.

– Przez Jarosława Kaczyńskiego, a także przez jego otoczenie. Antoniego Macierewicza.... Nie lekceważyłbym tych, którzy szybko zrozumieli, że te miesięcznice i podtrzymywanie ognia w duszach ludzi mają sens, mają skutki.

Dlaczego to się udawało? Przyniosło to przecież PiS wielki sukces.

– Nie przesadzajmy. Smoleńsk jest jednym z elementów sukcesu PiS. Oczywiście nie wolno tego nie doceniać, ale PiS grało na kilka elementów, które dały mu zwycięstwo. Po pierwsze, zjednoczyło tych, którym się nie powiodło w okresie transformacji – jednym dlatego, że

Wykorzystanie katastrofy smoleńskiej do budowania mitu założycielskiego IV RP i martyrologii związanej z Lechem Kaczyńskim, z PiS, było świadomą decyzją.

Emocje, żałoba, tłumy przed Pałacem Prezydenckim nie były dla pana zaskoczeniem?

– Nie! Dlatego że ja tak samo to przeżywałem. Tych kilka dni po katastrofie smoleńskiej było takim bardzo uczciwym, wspólnym przeżyciem żałobnym. Mówię to także na podstawie późniejszych wydarzeń. Uczestniczyłem w bardzo wielu pogrzebach, spotykali się tam ludzie z zupełnie różnych politycznych rodzin i to była uczciwa żałoba.

Powszechna.

– Właściwie nie było grupy politycznej, która by kogoś nie straciła. I ta zbiorowa żałoba wydawała mi się całkowicie autentyczna i naturalna – do momentu, w którym nastąpiła jej polityzacja. Doszło do próby wykorzystania jej do budowy mitu założyciel-

skiego IV RP czy budowy martyrologii związanej z Lechem Kaczyńskim, z PiS. To już była decyzja świadoma.

Czyja?

– Kręgów politycznych bliskich Lechowi Kaczyńskiemu, jego przyjaciół politycznych. Momentem przesądzającym o tym, że żałoba się kończy, a zaczyna czysta – niestety, zła – polityka, była decyzja o pochowaniu pary prezydenckiej na Wawelu. Prezydentura Lecha Kaczyńskiego była kontrowersyjna, Kaczyński miał niewielkie szanse na reelekcję. Dlatego wydaje się, że przesadne potraktowanie, budowanie mitu wokół tej postaci przekreśliło możliwość wspólnotowego przeżywania wydarzenia. Polityka zniszczyła uczciwą żałobę. I określiła scenariusze tego, co stało się potem.

transformacja była trudna, drugim dlatego, że sami okazali się nie do końca zdolni wykorzystać szansę. Ale ten elektorat, sfrustrowany, jak u Trumpa, jak we Włoszech i gdzie indziej, został przez Kaczyńskiego skutecznie skonsolidowany. I to nie w ostatnim czasie, ale przez wiele lat. Po drugie, Kaczyński przy udziale Kościoła, o. Rydzyka trafił do najbardziej konserwatywnej części polskiego społeczeństwa. Do ludzi, na których globalizacja, Europa, gender i co tam jeszcze dopowiemy działają jak płachta na byka. Smoleńsk stał się dodatkowym elementem – naszych mordują, jesteśmy znowu ofiarą, zamordowali nam prezydenta! Do tego dołożyłbym kwestię czysto praktyczną – druga kadencja Platformy nie była udana. I część elektoratu PO ►

▶ odpłynęła albo została w domu. Smoleńsk odegrał więc swoją rolę, ale zgrał się również z innymi czynnikami.

Obserwował pan te miesięcznice, okrzyki, że już „dochodzimy do prawdy”. Przecież było jasne, że za miesiąc Kaczyński powie to samo.

– Wiadomo, że celem tej operacji było nie dojście do prawdy, bo prawda jest taka, jak to wcześniej opowiedziałem, tylko owo dochodzenie. Podtrzymywanie cały czas niepewności, dodawanie nowych elementów, które mają ludzi niepokoić, siać zamęt. Dokładanie węgla do pieca. Pamiętam, że w pewnym momencie miesięcznice zaczęły przeżywać wewnętrzny kryzys – wtedy pojawił się trotyl, jacyś amerykańscy specjaliści mieli wyjaśnić itd. To już polityczna technologia, która niewątpliwie jest cyniczna, ale w stosunku do części społeczeństwa okazała się całkiem skuteczna.

A pan nie miał chwili zawahania, gdy usłyszał pan o trotylu albo innych legendach?

– Nie. Mam tę przewagę nad innymi, że latałem tym samolotem 10 lat. Jako prezydent. Dlatego wiem, jak to wszystko wygląda. **Że pilot melduje coś, co nie musi się podobać prezydentowi?**

– Zdarzyła mi się historia, o której warto opowiedzieć. Lecieliśmy na pogrzeb króla Maroka Hasana II. Był czas urlopów. Pilotem nie był tym razem zatuszowany dowódców. Dolecieliśmy do Rabatu i zaczęliśmy krążyć nad lotniskiem, bo była kolejka samolotów wiozących delegacje z całego świata. Przyszedł do mnie kapitan i powiedział: „Panie prezydencie, ale paliwa mamy na 15 minut”. Był bardzo przejęty. Odpowiedziałem mu: „Panie kapitanie, my lecimy na pogrzeb Hasana II, a nie nasz. Jak nie możemy tu lądować, niech pan szuka innego portu, ten pogrzeb bez nas się odbędzie, daję panu na to gwarancję”. To go rozluźniło i za 15 minut wylądowaliśmy w Rabacie. Najwyraźniej jednak musiał bardzo natęrczywie domagać się lądowania, bo za karę, po pogrzebie, wylecieliśmy jako ostatni samolot z Rabatu, o godz. 5 rano. Ale to



grażał komukolwiek. To po prostu nie było żadnym tematem. Tym bardziej że prezydent Polski nie odgrywa, ze względów konstytucyjnych, aż takiej roli jak prezydenci USA, Rosji, Francji... Gdybym poszedł w najbardziej absurdalne teorie, to można powiedzieć, że jedyną formacją polityczną, która zyskała na tym nieszczęściu, jest PiS. Ale przecież to absurd! Oni stracili zbyt dużo ludzi, których kochali, cenili, żeby taką teorię rozwijać, więc te teorie spiskowe kupię się nie trzymają.

To dlaczego Polacy w nie uwierzyli?

– Proszę nie mówić Polacy! Mówmy: 30% społeczeństwa. Trzeba więc liczyć, że mamy po swojej stronie co najmniej 50% tych, którzy myślą racjonalnie. Mam też istotną grupę tych, którzy jeszcze nie wiedzą. Ale już są do odzyskania, bo racjonalne argumenty do nich trafiają.

Wcześniej nie trafiały?

– Od samego początku popełniono kilka błędów. Zastrzegam: mówię o tym z dzisiejszej perspektywy, w tamtym czasie inaczej na wszystko patrzono, inna była atmosfera, inne oczekiwania. Rząd wtedy starał się robić wszystko, żeby było tak jak trzeba. Żeby pochówki były godne, żeby wszystkich uszanować, żeby pomóc rodzinom... Ale z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć, że prawdą

Przeciwnicy Lecha Kaczyńskiego nie musieli się uciekać do zamachu, mogli wygrać normalnie.

nieważne! Żyjemy! Dlatego te różne historie trotylowe nie robią na mnie wrażenia, bo wiem, jak to bywało.

W spiski pan nie wierzy.

– Gdyby przyjąć, choć przez chwilę, że mamy do czynienia z jakimś spiskiem, to komu miałoby to służyć? Kto miałby być zainteresowany? Przecież Lech Kaczyński w tym momencie miał mniej szans, żeby wygrać reelekcję, niż żeby przegrać. **Bardzo pan łaskawy. Kaczyński miał szanse na wygraną bliskie zeru.**

– Dlatego mówię: jego przeciwnicy nie musieli się uciekać do zamachu, mogli wygrać normalnie. Jeśli chodzi o sprawy międzynarodowe – Lech Kaczyński nie uzyskał takiej pozycji międzynarodowej, żeby za-

podobnie, biorąc pod uwagę skłonność Polaków do teorii spiskowych, miało sens powołanie bardzo szanowanej, międzynarodowej komisji z udziałem najlepszych specjalistów na świecie, która by ten wypadek wyjaśniła. Myślę, że premier za szybko zrezygnował z pomysłu, żeby taka komisja działała. Druga rzecz, jeszcze trudniejsza – pośpieszono się z pochówkiem ofiar.

Takie były oczekiwania, żeby szybko ciała sprowadzić i pochować.

– W Niemczech, gdy Andreas Lubitz, pilot samobójca, rozbił samolot w Alpach, pogrzeby odbyły się po dwóch-trzech miesiącach. To brutalne, co mówię, ale znalezienie wszystkich szczątków, zbadanie DNA,

doprowadzenie do tego, że w tym wszystkim jest jaki taki porządek, wymaga czasu. Myśmy wtedy w Polsce chcieli szybko uhonorować ofiary. Myślę, że gdyby to trwało dłużej, nie byłoby zarzutów, że zostało zrobione niewłaściwie, i być może ostudziłoby emocje. Dało więcej czasu na oswojenie się z różnymi faktami, choćby takimi, że ciała były w bardzo złym stanie. Błędy popełniała również prokuratura. W przypadku Lubitz prokuratura informowała już trzeciego dnia, jakie ma dane... W Polsce zastaniała się przez wiele miesięcy tajemnicą śledztwa. To obróciło się przeciwko władzy. W próżnię informacyjną weszli szaleńcy z różnymi pomysłami. Po stronie władzy, szczególnie PO, nie doceniono mocy mitu, który się tworzył. Że będzie on znakiem niosącym trwałe emocje elektoratu.

Pan zawsze wołał: nie palcie mostów, bo będziecie chcieli przez nie przejść! Tymczasem mamy w tym przypadku nakręcanie atmosfery, świadome dzielenie.

– Problem polaryzacji Polski to temat na inną rozmowę. Ta polaryzacja zaczęła się wcześniej, Smoleńsk był tu akceleratorem. Zaczęła się, kiedy wielki obóz Solidarności wziął *de facto* całą władzę w Polsce. Wtedy, zamiast pięknie się podzielić, solidarnościowcy zaczęli ze sobą walczyć na śmierć i życie i dzielić społeczeństwo w stopniu nieznanym nawet w okresie PRL. Polska liberalna *versus* Polska solidarna, pojedynek w roku 2005, spory od 2007 między Tuskiem a Kaczyńskim... To wszystko były działania, w których mosty były palone jeden po drugim. Możemy dyskutować, kto bardziej zawinił, ja uważam, że PiS, natomiast odejście od ducha okrągłostołowego, który Polsce tak dużo przyniósł, okazało się fatalne.

Może takie są czasy...

– Ja w ogóle źle się czuję w polityce w roku 2019. Bo widzę coraz więcej krajów, w których polaryzacja staje się głównym elementem budowania pozycji politycznej. Jeżeli nie znajdziesz wroga, nie zbudujesz frontu przeciw niemu, nie wywołasz skrajnych emocji, to nie masz mocy, właściwie nie masz szans, by wygrać. Wybory, które się teraz odbywają, zaczynając od Stanów Zjednoczonych, są wyborami, które polaryzują. To mi się nie podoba, ale obawiam się, że w takim świecie żyjemy.

Gdy jeździł pan po świecie, pytano pana, co w tej Polsce się dzieje, jeśli chodzi o Smoleńsk?

– Wielokrotnie. A kiedy przedstawiałem swoją opinię, przyjmowano to ze zrozumieniem. Natomiast zastanawiano się, jak długo ta procedura śledcza może trwać. Proszę pamiętać, że mówimy o wypadku, który miał miejsce dziewięć lat temu.

Tymczasem prokuratura wciąż bada, bada też podkomisja Macierewicza...

– Prokuratura rosyjska także pracuje. Dlatego nie mogą oddać wraku. To jest totalny absurd, sytuacja, w której wszyscy wiedzą, co się stało, a jednocześnie wszyscy usiłują politycznie rozgrywać tę historię. Tak to na świecie odczytują.

Lech Kaczyński nie uzyskał takiej pozycji międzynarodowej, żeby zagrażał komukolwiek.

A wiary w zamach i bombę na świecie nie ma?

– Jest prosta odpowiedź: jeżeli są na coś dowody, proszę je pokazać. Ale też duża część moich rozmówców nie rozumie postawy rosyjskiej. Dlaczego oni przedłużają swoje śledztwo? Ja wiem dlaczego – bo nie chcą oddać wraku. I dopóki będziemy ciągnąć śledztwo z naszej strony, oni będą ciągnąć śledztwo ze swojej. Ale to wszystko wygląda jak czysta polityka, nikt nie wierzy, że istnieją jakiekolwiek fakty, które mogłyby zmienić opinię na temat tego, co się wydarzyło. Po prostu w tej chwili jest to wyłącznie działanie na użytek polityczny.

Jak polityk patrzący na polityka – czy nie jest pan pod wrażeniem skuteczności Kaczyńskiego, który potrafi tym grać, nakręcać atmosferę?

– Myślę i wierzę, że Jarosław Kaczyński byłby szczęśliwszym człowiekiem, gdyby jednak tej katastrofy nie było. I nie musiałby jej wykorzystywać do nakręcania atmosfery. Znam jego relacje z bratem, wiem, że były bardzo bliskie. A poza tym... Mnie się nie podoba tego typu polityka, polegająca na dzieleniu, na nakręcaniu atmosfery. Dla mnie polityka polega na osiągnięciu wspólnych celów, na budowaniu wspólnoty. To, co robi Kaczyński – nawet jeżeli robi to sprawnie, nawet jeżeli po wielu latach posuchy udało mu się wygrać wybory – słabo służy Polsce. Nie będę go

krytykował za to, że rozwinął pewne programy socjalne i że ludzie ubodzy otrzymali pieniądze. Jeżeli kraj na to stać – należało to zrobić wcześniej. Ale zapłacimy w przyszłości za „sukcesy” Kaczyńskiego srogą cenę.

Jakie „sukcesy”?

– Zapłacimy cenę za działania w polityce zagranicznej, które Polskę marginalizują i *de facto* skazują na wahlwią sympatię amerykańskiej administracji. Za działania, które nas antagonizują z najbliższymi sąsiadami, które kierują Polskę gdzieś na zupełne manowce w nowej Unii, tworzącej się po brexicie. Zapłacimy cenę za zrujnowanie instytucji demokratycznych naszego państwa, które z trudem zaczęliśmy budować. Sądy, media publiczne... Ale największą cenę zapłacimy za to,

co zrobił Kaczyński, jeśli chodzi o podzielenie społeczeństwa. Staliśmy się dwoma plemionami. Scalenie, zasypianie podziałów będzie wymagało wielkiego wysiłku w kolejnych dekadach. A obawiam się, że brakuje ludzi, którzy mogliby to zrobić.

Autorytetów...

– Kiedyś taką rolę mógł odgrywać Kościół, dzisiaj już nie. Dzisiaj środowiska intelektualne, akademickie, dziennikarskie są tak samo podzielone jak reszta społeczeństwa. Abdykował z takiej roli prezydent kraju. Powinien być spoiwem, a nie czynnikiem polaryzacji. Jesteśmy więc w trudnym momencie. Ale nie tylko my, więc to może nas trochę pocieszy.

Robert Walenciak

6 maja 2019 roku mija
dziesiąta rocznica śmierci

kmdr. Wojciecha Góry

o zachowanie wiecznej pamięci
proszą

żona z synem

„Nasi bliscy są z nami,
dopóki o nich pamiętamy...”



Tania siła robocza

„Nie chodzi tylko o zarobki, ale o godność”, powtarzają nauczyciele. Rzec w tym, że jej brak widać nie tylko w zarobkach

Katarzyna Wierzbicka

„Ile godzin pracuje nauczyciel tygodniowo? 10, 8, 12? Niech nauczyciele tak nie narzekają, zawód przecież można zmienić”, „Ledwo z domu wyjdziecie, a już wracacie. W sklepach ludzie dłużej robią zakupy, niż wy jesteście w pracy”, „Každy pracuje w tygodniu minimum tyle, ile nauczyciel w miesiącu. Doskonale mają gratis (...). Jeżdżą na wycieczki, czasem na krajowe, ale za to nie płacą, należy im się, na zagraniczne też jeżdżą” – to tylko niektóre opinie o nauczycielach i ich pracy krążące po internecie.

Jeśli wiedzę o powodach strajku nauczycieli brać z internetu i wypowiedzi niektórych przedstawicieli rządu, jawi się on jako wyraz lenistwa, roszczeniowości i nieodpowiedzialności – oto nauczyciele, którzy i tak

pracują mniej niż cała reszta, sabotują egzaminy swoich uczniów.

Nauczycielski protest brzmi jednak całkiem inaczej w świadectwach samych nauczycieli i nauczycielek. Z gorąco mówią o frustracji, biurokracji, eksploatacji i upokorzeniu.

Pani od wszystkiego

– Tu nie chodzi o zarobki, chodzi o całokształt – Agnieszka Wojnarowska, polonistka z 20-letnim stażem pracy, wygląda na zniecierpliwioną. – Przychodzę na godz. 8.00 trzy razy w tygodniu, pracuję wtedy do 16.30, licząc zajęcia dodatkowe dla uczniów. Przerwy – owszem, są. Jeśli akurat dyżur jest spokojny, żaden rodzic nie przychodzi ze sprawą i nigdzie nie trzeba interweniować, to zdążę zjeść kanapkę i skorzystać z toalety. Wracam do domu, czując się jak zwłoki, a jeszcze muszę sprawdzić wypracowania

Sławomir Broniarz przewidywał, że protestować może pół miliona nauczycieli.

i przygotować się do następnego dnia. Jestem jednocześnie nauczycielką, ciocią, psycholożką i urzędniczką, która ma się sama monitorować i opisywać.

– Prowadzenie lekcji nie polega na siedzeniu i przemawianiu – tłumaczy Karol Michalak, geograf z warszawskiej podstawówki. – Żeby przez 45 minut utrzymać uwagę trzydziścioro 11-latków, trzeba się wysilić: nie tylko mówić dość głośno, żeby każdy usłyszał, ale np. chodzić po klasie. Przez 45 minut jestem aktorem, który odgrywa napisany wcześniej scenariusz, niezależnie od tego, jak się czuje i czy ma dobry dzień. Muszę przy tym zadbać, żeby każdy nadązał i pracował: słabszemu wyjaśnić drugi raz, a mocniejszemu dać coś dodatkowego, żeby się nie nudził. A mówimy tu wyłącznie o czasie przy tablicy, który stanowi mniej niż połowę etatu. Przerwy mamy tylko teoretycznie. Często dopiero po lekcjach możemy usiąść z koleżankami w pokoju nauczycielskim, żeby zjeść przygotowane rano kanapki. Zupełnie nie pracuję jedynie w sobotę. W niedzielę odpowiadam na mejle rodziców i przygotowuję się na poniedziałek. Wyszłoby jakieś 50 godzin pracy tygodniowo.

– Bardzo bym chciała, żeby ktoś kazał mi siedzieć w szkole osiem godzin dziennie pięć dni w tygodniu, a po godz. 17 zwolnił mnie z pracy i zadań domowych. Tylko obawiam się, że wtedy zawaliliby się cały system, bo on działa dlatego, że tak naprawdę pracujemy więcej niż 40 godzin – dodaje Agnieszka Wojnarowska. – Jasne, że są wakacje. Ale są też rady i zebrania trwające do godz. 20 czy 21. I wycieczki, kiedy jesteśmy w pracy 24 godziny na dobę, bo w nocy mamy dyżury. Nie dostajemy za to żadnych dodatkowych pieniędzy. Materiały, których używamy na lekcji, również mamy najczęściej własne – nie chodzi tu tylko o podręczniki czy książki, ale o nożyczki, kleje czy kredki.

– Wielkim mitem jest przekonanie, że kończymy pracę wtedy, kiedy kończą się lekcje – potwierdza Joanna Szczepańska, nauczycielka edukacji wczesnoszkolnej, w zawodzie od 30 lat. – Sam czas spędzony w szkole jest bardzo intensywny, a docho-

dzą do tego godziny przepracowane w domu, których nikt nie liczy. Mówię tu nie tylko o sprawdzianach, ale chociażby o kontaktach z rodzicami. Koleżankom mającym wychowawstwo nierzadko zdarza się odbierać telefony

Lubię uczyć, chcę móc to robić dalej.

od rodziców w niedzielę wieczorem. Kiedyś tego nie było. Mamy też do wypełniania coraz więcej dokumentów – co kilka lat wchodzi nowy przepis, z którym musimy być na bieżąco, żeby wszystko zrobić poprawnie. Tylko że nie da się jednocześnie być skupionym na papierach i na dziecku. To nie tak, że od dwóch lat robiłam to wszystko, po cichu myśląc o strajku. Każdy chce wypełniać swoje obowiązki jak najlepiej. Coś w końcu pękło.

Według art. 42 Karty nauczyciela w ramach 40-godzinnego etatu nauczyciel „zobowiązany jest realizować: (...) zajęcia dydaktyczne, wychowawcze i opiekuńcze, prowadzone

bezpośrednio z uczniami lub wychowankami albo na ich rzecz (w ramach pensum – przyp. KW), inne czynności i zajęcia wynikające z zadań statutowych szkoły (...), zajęcia i czynności związane z przygotowaniem się do zajęć, samokształceniem i doskonaleniem zawodowym”. W Karcie wymienionych jest 15 obowiązków nauczyciela, z czego jedynie dwa są wypełniane „przy tablicy”: prowadzenie lekcji i realizacja programu. Wśród pozostałych punktów figurują m.in.: „troska o bezpieczeństwo uczniów w czasie zajęć dydaktycznych, na przerwach śródlekcyjnych, a także na wycieczkach, rajdach i uroczystościach szkolnych”, „wspieranie swojej postawą i działaniami pedagogicznymi rozwoju psychofizycznego uczniów, ich zdolności i zainteresowań”, „stężenie uczniom szkoły pomocą w rozwiązywaniu problemów osobistych i związanych z nauką” czy „inne prace zlecone przez dyrektora”.

Za realizowanie tych obowiązków nauczyciel dostaje od 1834 do 2492 zł netto – tyle wynosi jego wynagrodzenie zasadnicze. Jednak górna granica dotyczy jedynie nauczycieli z najwyższym stopniem zawodowym. A zdobywanie kolejnych stopni jest rozłożone w czasie, w dodatku coraz dłuższym. Jak bowiem informuje Związek Nauczycielstwa Polskiego, staż pracy uprawniający do ubiegania się o najwyższy stopień zawodowy został zmieniony z 10 lat na 15. *De facto* oznacza to zamrożenie pensji na okres o ponad pięć lat dłuższy.

Mam za sobą dwa lata w zawodzie i żadnej zdolności kredytowej.

Poza pensją zasadniczą są wprowadzone jeszcze tzw. dodatki. Jednak w większości nie przekraczają kilkudziesięciu złotych. Wyjątkiem jest tzw. dodatek motywacyjny, który sięga niekiedy 300 zł, ale jego wysokość zależy od zamożności wypłacającego ▶

Razem dla edukacji

Przedstawicielki i przedstawiciele ruchu „Uniwersytet solidarny ze szkołą”

Dlaczego strajk w oświacie jest wspólną sprawą środowisk nauczycielskiego i akademickiego?

– Ruch „Uniwersytet solidarny ze szkołą” poparcie dla walki o sprawiedliwe płace dla kadry pedagogicznej opiera przede wszystkim na przekonaniu, że obecne warunki pracy nauczycieli i nauczycielek nie odzwierciedlają społecznego znaczenia wysiłku, jakim jest kształcenie młodzieży. Chociaż to od nich zależy w kluczowym stopniu zarówno świadomość obywatelska, jak i zdolność przyswajania informacji i krytycznego myślenia uczniów i uczennic – szczególnie istotne w szybko zmieniającym się świecie – pracownicy i pracownice szkół są przeciążeni i nisko opłacani. Uważamy, że aby zapewnić młodemu najlepszym możliwości rozwoju, konieczne są odpowiednie warunki pracy nauczycieli i nauczycielek oraz ich poczucie elementarnego bezpieczeństwa. Nie możemy pozostawać obojętni wobec faktu, że sektor edukacji w Polsce od lat jest poważnie niedofinansowany. Wiemy to bardzo dobrze, ponieważ środowisko akademickie od dłuższego czasu podnosi kwestię zbyt niskich wynagrodzeń i stypendiów na uniwersytetach. W naszym wspólnym interesie jest więc nie tylko docenienie pracy osób biorących odpowiedzialność za wychowanie przyszłych pokoleń, ale także solidarność w walce o wyższe wynagrodzenia w sektorze edukacji – od podstawowej po wyższą.

W jaki praktyczny sposób studenci i studentki oraz pracownice i pracownicy nauki mogą wyrazić solidarność z protestującymi?

– Pierwsza rzecz to wsparcie symboliczne, które jest niezwykle istotne w sytuacji strajku. Na uczelniach można organizować wiece poparcia dla strajkujących (wiec na Uniwersytecie Warszawskim – 8 kwietnia o godz. 13.00). Można wywieszać flagi ZNP lub plakaty z wyraźną informacją o poparciu dla strajkujących. Pracownicy i pracownice nauki powinni także wysłać wyraźny komunikat w mediach, że postulaty nauczycieli i nauczycielek są popierane przez środowisko akademickie.

Można także podejmować konkretniejsze działania. Na przykład Wydział Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zorganizował opiekę dla nauczycielskich dzieci w trakcie strajku. Na kampusach uniwersyteckich mogą się odbywać otwarte wykłady i warsztaty dla młodzieży jako alternatywa dla nieodbywających się lekcji. Będą to widoczne gesty wsparcia i solidarności. Mogą one ponadto stać się okazją do rozmów z młodzieżą o sytuacji w szkolnictwie, o prawie pracy czy prawie do strajku. Bardzo ważne jest, by nie poddać się presji strony rządowej, która próbuje zaangażować pracowników naukowych do zastąpienia strajkujących podczas egzaminów. Z informacji, które do nas dochodzą, wynika, że ministerstwo dzwoni w tej sprawie nie tylko do emerytowanych nauczycieli i nauczycielek, ale także do osób ze środowiska akademickiego. Nie powinniśmy się na to zgadzać. Powinniśmy za to wyciągnąć najważniejszą lekcję z tego strajku: jedynie zorganizowani pracownicy i pracownice są w stanie zawalczyć o swoje interesy i o nasze dobro wspólne, jakim jest edukacja. Środowisko akademickie powinno pójść w ślady nauczycielek i nauczycieli i podjąć działania w kierunku uzwiązkowania osób pracujących na uczelniach i w instytutach badawczych.

Not. Michał Sobczyk

► go samorządu – im bogatszy region, tym większy dodatek motywacyjny. Wszystkie te zmienne sprawiają, że zasady wynagradzania nauczycieli są nietransparentne – żaden z cytowanych nauczycieli nie był w stanie określić, ile zarabiają inni.

„Według GUS przeciętne wynagrodzenie w grudniu 2018 r. wyniosło 5274,95 zł, czyli o 6% więcej niż rok wcześniej. Wynika z tego, że nie dość, że nauczycielskie pensje są niższe niż średnia krajowa, to – porównując je do nowej średniej krajowej – są niższe o 1-2% niż w zeszłym roku. Co oznacza, że nauczyciele nie tylko

30 lat. To upokarzające – Marta, anglistka ucząca od pięciu lat, chce pozostać anonimowa. – Bardzo wiele moich koleżanek z pracy jest finansowo zależnych od swojego partnera. Czyli co – albo znajdę sobie normalnie zarabiającego męża, albo do emerytury będę się zastanawiać, czy stać mnie na obiad na mieście?

Z pretensjami do mnie

– Jasne, że zarobki są ważne – przyświadcza Kaja Rupocińska, anglistka w liceum (15 lat pracy w szkole). – Jeśli nauczycielka po 20 latach

– Bardzo chciałam pracować z dziećmi. Na studiach uczono nas, że trzeba mieć indywidualne podejście, że uczeń lepiej przyswaja materiał, kiedy pozwala mu się samemu docierać do różnych rzeczy, odkrywać je. Każdy więc wchodzi w ten zawód ze swoimi pomysłami i entuzjazmem. Po czym trafia na ścianę – opowiada z kolei Agnieszka Wojnarowska. – Okazuje się, że jedynie, co mogę zrobić przy tak przeładowanym programie i tak małej liczbie godzin, to po prostu podać uczniom materiał. A i tak nie daję rady omówić całości. 60% przerabiam wtedy, kiedy klasa jest dobra.

Karol Michalak: – Do niedawna miałem przerobić z uczniami typy krajobrazów, mając na to dwie godziny w tygodniu. Według nowego rozkładu mam tylko godzinę, ale program pozostał niezmienny. Jeśli nie znajdę sposobu, żeby tę straconą godzinę zrobić z nimi dodatkowo, nie nauczą się tego. I razem zostaniemy za to rozliczeni – oni i ja.

Odpowiedzialność za wyniki w nauce spoczywa z kolei tylko na jednej osobie – jest nią nauczyciel. Powtarza się skarga, że wchodząc do zalogu, miało się ileś pomysłów, których zrealizować nie sposób. Ze słów

Przy tak przeładowanym programie i tak małej liczbie godzin mogę tylko podać uczniom materiał.

zarabiają mniej niż reszta obywateli, ale dostali też mniejsze podwyżki niż wszyscy inni”, mówił Marek Pleśniar, dyrektor biura Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty (PRZEGLĄD nr 12).

Wszyscy pytani nauczyciele i nauczycielki podkreślają jednak, że „nie tylko o pensję chodzi”. Choć głównym postulatem strajkujących są podwyżki, słowo całokształt najlepiej określa powód ich frustracji.

– Mam za sobą dwa lata w zawodzie i żadnej zdolności kredytowej. Mieszkanie wynajmuję z kolegą, o wyjeździe na wakacje nie ma mowy, mimo że jestem geografem i powinienem od czasu do czasu gdzieś pojechać – mówi Karol Michalak. – Jesteśmy traktowani jak misjonarze, którym za zapłatę powinno wystarczyć „spełnianie się w swojej pasji”. Jasne, że to moja pasja, ale chciałbym też kiedyś założyć rodzinę.

– W utrzymaniu się ciągle pomagają mi rodzice, choć mam prawie

pracy zarabia 2,5 tys. na rękę, to jest po prostu niegodne. Godność zawodu przekłada się więc na zarobki.

Marta: – Przez „godne warunki pracy” rozumiem, rzecz jasna, również zarobki. Ale także to, że tworzy mi się takie możliwości, żebym mogła wykonywać swoją pracę jak najlepiej. A tak nie jest – nie mogę skutecznie uczyć języka w klasie 29-osobowej, w której poziom waha się między prawie początkującym

Ledwo się spinam z budżetem pod koniec miesiąca.

a średniozaawansowanym. A jeśli nie uczę skutecznie – to ja jestem odpowiedzialna. To do mnie ministerstwo apeluje o niezadawanie prac domowych. To do mojej odpowiedzialności się odwołuje, kiedy organizowany jest strajk. Nie można na starcie pozbawiać ludzi narzędzi, pomagając jednocześnie, żeby wszystkim zrobili tak, jak powinni.

nauczycieli opowiadających się za strajkiem przebija jednak coś więcej niż gniew i przemęczenie. „Jestem za strajkiem, bo dalej chcę uczyć”, „bo chcę, żeby ten system w końcu działał” – takie deklaracje pojawiają się właściwie we wszystkich nauczycielskich wyznaniach.

– Bardzo chciałem zostać nauczycielem – kończy Karol Michalak. – Ale mam przed sobą jeszcze 30 lat w tym zawodzie i nie wyobrażam sobie wykonywania go dalej na tych warunkach. Dlatego jestem za strajkiem.

– Znajomi wiele razy radzili mi, żebym rzuciła to wszystko i poszła do korporacji – dopowiada Marta. – Skłamałabym, mówiąc, że o tym nie myślałam. Koleżanki, które tak wybrały, biorą kredyty mieszkaniowe i wyjeżdżają na wakacje, a ja ledwo się spinam z budżetem pod koniec miesiąca. Lubię uczyć, chcę móc to robić dalej.

Katarzyna Wierzbicka

Przekaż 1% podatku



na Fundację
**„KUŹNICY”
i „ZDANIE”**

numer KRS: 0000300613

Drodzy CZYTELNICY,
jesteśmy już razem od 20 lat. To dzięki Wam nasze pismo jest niezależne.
Każda wpłata przyczynia się do wydawania tygodnika, książek historycznych
wbrew wykładni IPN czy prowadzenia stron i portali internetowych.
Nie mamy dotacji ani reklam. Pomysłów i odwagi nam nie brakuje.
Brakuje ponad 300 tys. zł, które są nam dłuźni RUCH i Garmond.

CZYTAJ I POMAGAJ!

Przekaż darowiznę na rzecz fundacji PRZEGLĄDU

CZYTELNIKU,
kupując nasze książki, wspierasz PRZEGLĄD.
Zebrane środki przeznaczymy na sfinansowanie
nowych projektów wydawniczych

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Santander Bank Polska SA
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
W przelewie prosimy wpisać tytuł książki lub Darowizna
(i dopisać adres e-mail, byśmy mogli przesłać podziękowania)
Wpłaty darowizny można dokonywać także online, wchodząc na
www.tygodnikprzeglad.pl



Dziękujemy, każda złotówka ma znaczenie!

Tu chcę się zestarzeć

Czego Polacy szukają w Czechach

Anna Brzeska

W Czechach pracuje ponad 44 tys. Polaków. Według najnowszego raportu ONZ kraj ten zajmuje wysokie, 20. miejsce w rankingu najszcześniejszych na świecie (Polska – 40.). Zarobki nie są tu jednak dużo wyższe niż u nas, mieszkania nie są już tańsze. Co więc przyciąga rodaków?

Marta Czapla od dwóch lat mieszka z synkiem w Ostrawie. Początkowo zajmowała się rekrutacją pracowników z Polski dla czeskich firm, teraz ma własny biznes – wspiera polskich przedsiębiorców, którzy chcą tu ulokować swoje firmy. Prowadzi facebookową grupę „Biznes w Czechach”.

Jakie są zalety prowadzenia firmy za południową granicą? Marta wymienia niższy podatek od osób fizycznych

Dostajemy dokument, który rozpoczyna zwolnienie lekarskie. Aby je zakończyć, musimy iść na kontrolę.

(w Polsce – 18 i 32%, w Czechach – 15%, ale w praktyce samozatrudnieni drobni przedsiębiorcy o niskich dochodach często w ogóle nie płacą podatków) i niższe składki ubezpieczeniowe. Czesi chwalą się też uproszczoną ewidencją księgową, różnymi korzystnymi odliczeniami VAT, tańszym leasingiem czy wygodną elektroniczną komunikacją firm z urzędami.

**Czechy jak kobieta
– coś muszą w sobie mieć**

Ale Polacy przenoszą się do Czech nie tylko na papierze. Powodów jest wiele. Przede wszystkim świetnie działa tu rynek pracy, co daje większą możliwość negocjacji warunków, szczególnie w przypadku wykwalifikowanych pracowników. Stopa bezrobocia to 3,5%, nieco niższa niż w Polsce. Jak twierdzi Marta Czapla, do Czech przyjeżdżają również polscy imigranci mieszkający dotychczas w Wielkiej Brytanii i innych krajach Europy Zachodniej.

Czy przyciągają ich zarobki? Mediana wynagrodzeń w 2017 r. w Czechach wynosiła 24 896 koron czeskich (ok. 4141 zł). W Polsce było to ok. 3500 zł. Jednak polscy pracownicy w Czechach nie wymieniają pieniędzy jako głównego powodu zamieszkania w tym kraju.

Maciej Mucha, specjalista ds. planowania produkcji w branży motoryzacyjnej, mieszka w Písku, ok. 100 km od Pragi. 12 lat temu jego firma dała mu wybór – Czechy lub Niemcy. Wybrali z żoną Czechy, ponieważ „żona nie chciała jechać do Niemiec”. On sam też wołał Czechy, bo tu powstała zupełnie nowa fabryka: – Płace są ciut lepsze niż w Polsce, ale ta różnica się zaciera. Za to nieco wyższe są ceny żywności czy chemii. Ubrania natomiast kosztują bardzo podobnie, mamy te same sklepy, co w Polsce.

Pieniądzy jako głównego powodu przeprowadzki do Czech nie wskazuje także Paweł, pracujący przy produkcji telewizorów w fabryce w Pilźnie. – Zarobki zarobkami, ważne, że starcza nam na wszystko i dajemy radę jeszcze odłożyć – stwierdza. – Przyznaję jednak, że w Polsce, w Lublinie, zarabiałem dwa razy mniej, a tu, gdzie mieszkam z narzeczoną, jest naprawdę super. Warunki mieszkaniowe – prawie luksus.

Dlaczego przeprowadził się do Czech? – Czechy po prostu coś takiego mają w sobie. To jak z kobietą – musi mieć w sobie coś wyjątkowego, by się w niej zakochać. Ja mam podobnie z tym krajem – wyjaśnia. Pawłowi podoba się mentalność ludzi i piękno czeskich miast. – Tu chcemy z moją przyszłą żoną się zestarzeć. Ważne, że znalazłem swoje miejsce na ziemi i nie zamienilibym go na żaden inny kraj.

Paweł pokazuje mi zdjęcia swojego mieszkania pracowniczego. To estetycznie urządzone wnętrze po remoncie, idealne dla pary. Jako

powód pozostania w Czechach wymienia również dobre warunki pracy: – Są normalne, takie jak powinny być. Praca nie jest ciężka, zmiany po osiem godzin.

On i jego narzeczona wcześniej pracowali w Niemczech i Wielkiej Brytanii. U zachodnich sąsiadów przeskadzało mu traktowanie pracowników z góry. Z kolei w Anglii – bezнадziejna pogoda. W Czechach nie ma żadnego z tych problemów.

Justyna Ziemak, w Pradze od trzech lat, menedżer globalnego zespołu HR, podkreśla: – Tu o pracownika się walczy. W Polsce, gdzie pracowałam przez osiem lat, za bardzo tego nie doświadczyłam. Ponadto dużo osób jest zmęczonych chwiejną sytuacją polityczną w naszym kraju, a w Czechach mają to z głowy, choć pozostają blisko domów rodzinnych. Trudno generalizować, dlaczego się przenoszą, bo ilu ludzi, tyle motywacji. Wielu przyjechało do Czech z rekomendacji znajomych, którzy czują się tu jak w domu. Bo rzeczywiście – jakoś tu swojsko.

Mieszkaniowy bum

Marta Czapla mówi o finansowych realiach życia w Ostrawie: – Można zarobić tu od 16 tys. koron (ok. 2660 zł). Tyle mniej więcej dostają osoby sprzątające czy inni pracownicy o najniższych kwalifikacjach. Na produkcji w fabrykach – ok. 20 tys. (ok. 3200 zł) i więcej. Wynajem mieszkania – 8,5 tys. koron za dwupokojowe mieszkanie. Zarabiając więc już te 20 tys. koron, można spokojnie żyć.

Zaznacza jednak, że Czesi, podobnie jak Polacy, wolą kupować mieszkania. Dwupokojowe lokum o powierzchni 48 m kw. w Ostrawie, mieście wielkości Katowic, kosztuje ok. 900 tys. koron (150 tys. zł). Większe, po remoncie, ok. 65 m kw. – 1,8 mln koron (300 tys. zł).

Polacy dłużej mieszkający w Czechach pamiętają jednak znacznie lepsze czasy. – Teraz w rejonie Ostrawy

jest bum mieszkaniowy – tłumaczy Marta. – W ciągu ostatnich dwóch-trzech lat ceny poszły w górę o jakieś. 50%. Znajomi, którzy mieli tu cztery mieszkania, sprzedali wszystkie, niektóre ze 100-procentowym zyskiem.

Zdecydowanie drożej jest w Pradze. Trzypokojowe mieszkanie o powierzchni 60-70 m kw. kosztuje już ok. 5-6 mln koron, czyli ponad 800 tys. zł.

Także koszty kredytów w Polsce i Czechach raczej się wyrównały, choć stopa oprocentowania (RRSO) jest w Czechach trochę niższa i wynosi ok. 2,5-3% (w Polsce ok. 3,5-3,7%). Nie jest to więc różnica na tyle duża, by skłaniać do natychmiastowego

tów ginekologicznych. Dodaje, że chodzi tu nie tylko o tzw. kliniki aborcyjne, którymi straszą prawicowe media, ale również o zwykłe kliniki, gdzie wiele par, nie tylko z Polski i Czech, ale też np. z Austrii, leczy bezpłodność.

Za najważniejsze jednak Marta uznaje to, że w Czechach za wizyty w niepublicznych placówkach płać ubezpieczalnie. Działa ich tu siedem i wszystkie są prywatne, a jakość i dostępność leczenia refundowanego równa jest tej, jaką u nas znajdziemy poza NFZ. – Kiedyś straciłam przytomność, poszłam więc do lekarza rodzinnego – opowiada. – Dostałam od razu skierowanie do neurologa i kardiologa. Po dwóch tygodniach miałam rezonans magnetyczny,

Dobre doświadczenia z opieką medyczną ma również Monika Pintér. Dwa lata temu wyszła za Czecha i z Krakowa przeniosła się do Ostrawy. Teraz jest na urlopie rodzicielskim (jeszcze u polskiego pracodawcy). – Korzystałam tu z usług ginekologa, dermatologa, dentysty – zazwyczaj terminy były maksymalnie do tygodnia. Wszystko oczywiście w ramach ubezpieczenia. Mam dwóch synków, obaj urodzeni w Czechach. Pierwszy w wieku trzech tygodni musiał spędzić kilka dni na oddziale dziecięcym. Dostaliśmy pokój wyposażony w wygodne łóżko, fotel do karmienia, podgrzewacz do mleka, zlew, wodę do sterylizacji. Tuż obok była kuchnia, gdzie były do dyspozycji elektryczne laktatory, lodówka, czajnik. Śmialiśmy się z mężem, że warunki lepsze niż w domu, bo dopiero urządzaliśmy kuchnię.

Marta Czapla wyjaśnia różnice w zwolnieniach lekarskich. – Dostajemy dokument, który rozpoczyna nasze zwolnienie. Aby je zakończyć, musimy iść na kontrolę. Pielęgniarka wypisująca zwolnienie pyta, kiedy chcemy mieć *vyhazki*, czyli godziny, kiedy możemy wychodzić z domu. Jest to ustalane na wypadek kontroli.

Czeska służbę zdrowia chwali też Gosia Horáková. Mieszka w Czechach od 10 lat (wcześniej w Pradze, teraz na wsi, blisko polskiej granicy), pracuje jako trener/ka rozwoju osobistego i coach. Przyjechała tu po studiach, na staż, w ramach programu Erasmus. Pracowała przy projektach i kampaniach w praskiej organizacji pozarządowej zajmującej się promocją wielokulturowości. Została.

Gosia ma dobre szpitalne doświadczenia: – Leżałam z synkiem na chirurgii. Dostałam dwuosobowy pokój, były tam dwa łóżka dla dzieci i dwa dla mamy czy taty. W Czechach do szóstego roku życia dziecka rodzic może być z nim w szpitalu w ramach ubezpieczenia. Standardem jest pełne wyżywienie zarówno dla rodzica, jak i dziecka. Matki lub ojcowie starszych dzieci mogą wynająć odpłatnie osobny pokój w szpitalu.

Jakie świadczenia systemowe otrzymują rodzice? Gosia Horáková: – Przez pierwsze pół roku dostaje się tu zasiłek macierzyński, który wynosi 70% pensji (w uproszczeniu, bo w pewnym stopniu zależy to też od wysokości zarobków). Potem jest wychowawczy, taki sam dla wszystkich



Czesi są liberalni obyczajowo. Fontanna – rzeźba Davida Černého Sika (czarna świnka) na Małej Stranie w Pradze nikogo nie gorszy.

pakowania walizek. Może o przeprowadzce decyduje coś innego?

Niebo a ziemia, czyli służba zdrowia

Marta Czapla sądzi, że Polaków często przyciąga dobra służba zdrowia. – Mój synek chorował na epilepsję. Miał jej najcięższą odmianę – padaczkę lekooporną. A tu większa jest m.in. dostępność medycznej marihuany, choć w przypadku mojego synka pomogło inne leczenie. Niebo a ziemia w porównaniu z Polską.

Mówi poza tym, że często widuje polskojęzyczne reklamy ośrodków leczących zaćmę. I oczywiście gabinety

EEG i EKG. Na wizytę u neurologa czekałam trzy tygodnie. Zresztą gdy idzie się do lekarza na podstawową wizytę, od razu można zrobić wszystkie podstawowe badania bez dodatkowych skierowań. Zniżki na leki też są o wiele, wiele większe.

Prywatne ubezpieczalnie zachęcają do aktywnego stylu życia, w ramach wspierania profilaktyki zdrowotnej. – Syn ma basen w przedszkolu. Płaciłam 1000 koron za 20 lekcji, zwrócili mi z tego połowę – mówi Marta. Wylicza także możliwość opłacania niedrogiego indywidualnego ubezpieczenia zdrowotnego, nawet jeśli się nie pracuje. Standardowy pakiet to 1400 koron, czyli niecałe 200 zł.

► kobiet – 220 tys. koron, a od przyszłego roku ma być 300 tys. Tę sumę można sobie rozłożyć dowolnie, na maksymalnie cztery lata. Jest wtedy dzielona na odpowiednią liczbę miesięcy i każda ubezpieczona mama co miesiąc dostaje pieniądze, niezależnie od tego, ile wcześniej zarabiała.

Przeliczam. Nawet 220 tys. koron to znacznie więcej niż polskie „kosińakowe” – równowartość 1,5 tys. zł miesięcznie, jeśli rozłożymy sumę na dwa lata. Po zmianie będzie jeszcze lepiej – 2 tys. zł miesięcznie przy dwuletnim wychowawczym.

Co więcej, jak wyjaśnia Gosia, na wychowawczym mamom wolno pracować, np. w ramach umowy-zlecenia lub własnej działalności.

Fizyka zamiast religii

W Czechach jest jeszcze coś, co oprócz służby zdrowia może się podobać Polakom. Zamiast wszechobecnej religii – tolerancja i szacunek dla spraw sąsiadów. – To ateistyczny kraj, co najmniej 80% mieszkańców nie przyznaje się do żadnego wyznania – wyjaśnia Marta. – W kościołach organizuje się

ludzie prawdziwie wierzący. Religii uczy się oczywiście w kościele, nie w szkole. Kościół jest totalnie oddzielony od polityki i nie miesza się do niej.

Monika jest tego świadkiem, bo sama jest wierząca. Dodaje, że za kilka dni będzie chrzczyć w Czechach już drugiego syna.

Z brakiem religii wiąże się również większe wyzwolenie seksualne. Marta: – Ach, ta ich bezpośredniość... Dla nas może być nieco szokująca. Nie mogę spać, bo jak nie w bloku naprzeciwko, to na górze coś się dzieje – śmieje się. – Kiedyś wychodzę na główny rynek w Ostrawie, a tam z otwartego okna słysząc jęki. Nie dało się obok przejść obojętnie. Ale dla nich to normalne. Od znajomego słyszałam też historię, jak jego znajomi zostali zaproszeni na urodziny. Na miejscu okazało się, że to rozbierana impreza!

Jak twierdzi Marta, ta czeska „rozwiązłość” ma jednak drugą stronę, bo wśród nastolatków panuje większa świadomość seksualna. W sklepach widać, jak kupują prezervatywy, nie jest też niczym nadzwyczajnym, że dziewczyny regularnie chodzą do ginekologa.

Trudno tu wprowadzić system motywacyjny oparty na wizji wspólnej pracy czy hasłach typu „damy radę”.

koncerty czy wystawy. W niedziele i święta są oczywiście msze, ale odkąd tu mieszkam, tylko raz widziałam siostrę zakonną. Moja koleżanka Czeszka mówi, że na palcach jednej ręki może policzyć, ile razy przez całe swoje życie widziała księdza.

Marta dodaje, że popularnym hobbym jest za to... fizyka kwantowa. Czesi chodzą na jej kursy, mają związane z nią zebrania. Potocznie nazywa się ich kwanciakami.

Inaczej wyglądają też pogrzeby. – Nie schodzą się na nie tłumy. To bardziej kameralna ceremonia wspominająca zmarłego: co robił, jakim był człowiekiem. Pogrzeby bardzo rzadko są obrzędkiem religijnym. O wiele popularniejsza niż w Polsce jest tu kremacja. Prochy można zabrać na cmentarz, ale można je rozsypać na działce – wyjaśnia.

Monika Pintér: – Myślę, że wielu Polaków jest niewierzących, lecz praktykujących. W kraju chodzą do kościoła, bo wypada. Tu nikt nikogo nie zmusza, dlatego ci, którzy już w kościele są, to

Pytam innych o rozbierane imprezy, o których mówiła Marta. Nikt się z tym nie spotkał, ale ogólnie mają podobne wrażenia na temat czeskiej obyczajowości. – Parę razy byłam w saunie w różnych hotelach – opowiada Monika Pintér. – Jestem przyzwyczajona, że jakiś ręcznik trzeba mieć. Czesi? Golutcy. Nie wstydzą się niczego. Jedynie byłam zdziwiona, że to niezależne od wieku.

Gosia Horáková: – Wśród czeskich znajomych widzę dużo luźniejsze podejście do związków, szukanie partnerów bez założenia, że zostaniemy z nimi do śmierci. Jest też bardzo dużo rozwodów.

Gosia podkreśla większą niż w Polsce tolerancję dla osób LGBT+ (choć zastrzega, że w tej kwestii ma doświadczenia głównie z Pragi) i otwartość na różne układy rodzinne, które u nas wykraczają już poza „normę”. – Widać to nawet w przedszkolach. Osób przyprowadzających dzieci nikt nie pyta, czy przyjdzie mąż, ale czy przyjdzie partner.

Marta dodaje, że powszechnym rozwiązaniem jest opieka naprzemienna nad dziećmi w przypadku par po rozstaniu. Wszystkie te zjawiska są widoczne również na wsi. Maciej Mucha przyświadcza: – Tak, nawet w takich miastach jak Písek nikogo nie razi widok osób jednej płci trzymających się za ręce. A to miasto z ok. 30 tys. mieszkańców, więc żadna metropolia. W Polsce w takim miasteczku pary jednopłciowe na pewno nie czułyby się tak swobodnie.

Marta Czapla zwraca jednak uwagę, że choć Czesi cenią sobie wolność, wierne i rodzinne Polki są tu stawiane za wzór partnerki.

Czy oni nas lubią?

W kwestii stosunku do Polaków opinie są podzielone. Gosia Horáková: – Tutaj ludzie nie zajmują się czyimiś poglądami. Każdy pilnuje swojego nosa i pozwala drugiemu żyć. To coś pomiędzy tolerancją a ignorancją bardzo mi się spodobało. Jako Polka spotkałam się z zainteresowaniem i życzliwością, ale nigdy z dyskryminacją.

Maciej Mucha: – Kiedyś miałem rozmowę z Czechem na temat 1968 r., kiedy żołdgi Układu Warszawskiego, m.in. polskie, wjechały na terytorium Czechosłowacji. Pytałem, czy przez tamte wydarzenia są do nas uprzedzeni. Stwierdził, że nie. Z tego, co zauważyłem, są do nas nastawieni sceptycznie raczej przez takie afery jak ta mięsna. Widzę, jak czytają etykiety. Jeżeli produkty są z Polski, szukają zamienników z Czech.

Maciej zaznacza jednak, że nie przeszkadza to Czechom z regionów przygranicznych jeździć do Polski i hurtowo robić tam zakupy. Tu przywiązanie do dobrej ceny zwycięża nad dbaniem o jakość.

Monika: – Myślę, że darzymy Czechów większą sympatią niż oni nas. Zwłaszcza teraz, po różnych aferach z polską żywnością. Polacy traktowani są tu troszkę pobłażliwie jako wykonujący pracę, której Czesi nie chcą się podejmować.

Monika zastrzega, że nie jest to przejaw dyskryminacji, ponieważ Czesi równie często śmieją się sami z siebie: – Mają specyficzne poczucie humoru. Zdarza się, że obrażają inne narody, lecz w tych żartach zawierają częśćkę prawdy. Dla mnie ich prześmiewcze reklamy czy filmiki są

zabawne. Była tu też afera z czeskim alkoholem metylowym. Gdy tu przyjechałam po raz pierwszy, Czesi sami mnie ostrzegali, bym nie piła ich wódki, bo oślepnę.

Justyna Ziemak tolerancję wobec Polaków uzależnia od takich czynników jak wiek czy miejsce pracy: – Nie za bardzo lubią obcokrajowców, zwłaszcza starsze pokolenie. Widać to szczególnie przy wynajmie mieszkania. Wielu Czechów mówi wprost: żadnych cudzoziemców. Jednak w pracy jesteśmy traktowani raczej na równi. Zresztą dominujące tu wielkie korporacje same wymuszają pewną etykę pracy.

15.50 – mycie kubeczków

Co do pracy – tu już jednomyślność. Wszyscy sobie chwalą wolniejsze tempo życia. Gosia Horáková: – Lepiej tu się żyje, spokojniej, bez napięcia czy presji. Czesi pracują

go. – Są bardzo racjonalni, nie dają się pociągać ideom i wzniosłym słowom. Trudno tu wprowadzić system motywacyjny oparty na wizji wspólnej pracy czy hasłach typu „damy radę”. Czechów to absolutnie nie rusza – śmieje się. – Oni przyszli tu popracować, a potem mają swoje sprawy. Jeśli dasz im premię motywacyjną w postaci kasy, to OK. Jednak żeby pociągnąć ich wizją udowodnienia czegoś wspólnie? To w ogóle nie działa. Ale pracuje się z nimi fajnie. Potrzebują argumentów, konkretnych narzędzi, którymi można coś poprawić w ich pracy. Są pragmatyczni. To oczywiście generalizowanie, ale wynika z mojego doświadczenia.

Marta Czapla potwierdza, że czeski pragmatyzm jest widoczny także w życiu społecznym: – Dla nich to fascynujące, że tak się jednoczymy,

Świetna komunikacja, dużo lepszy tabor kolejowy.

pierwszy raz jechałam z czeskiego Cieszyna do Ostrawy. Musiałam pytać, czy to na pewno druga klasa. Było jakby luksusowo.

– To może chociaż pociągi się spóźniają? – pytam z nadzieją.

– Zdarza się, aczkolwiek w przypadku jednego z przewoźników zawsze przy większym spóźnieniu dostawałam mejl lub SMS z informacją, o ile minut spóźni się pociąg. W przypadku większych opóźnień można było liczyć na zwrot kosztów dojazdu.

Są też minusy

Co Polacy zmieniliby w Czechach? Marta i Gosia narzekają na biurokrację i niski poziom informatyzacji. Gosia podkreśla jednak, że nie jest

beznadziejnie. W Nachodzie, miejscowości, w której teraz mieszka, można rezerwować wizytę w urzędzie przez internet – potem przychodzi się na konkretną godzinę.

Według niej Czesi są także mało otwarci na wyrażanie swojego zdania. – Jeśli w pracy coś się dzieje i trzeba zająć stanowisko na forum, „robią podziemie”. Wcześniej mówią, że wszystko OK, potakują, a potem skarżą się potajemnie przy piwie czy na papierosie.

Marta: – Są przyjaźni, ale potem zdarza się, że podkładają świnię. Bywają wredni i uszczypliwi, choć z uśmiechem na twarzy, przez co można mieć w pierwszej chwili wrażenie, że chcą powiedzieć coś miłego. Jest też np. problem z odyskaniem kaucji za mieszkanie. Pokazują jakieś ryzyki na ścianie i liczą sobie za nie 2 tys. koron.

Krążą poza tym złe opinie na temat agencji pracy, zwanych tu agenturami. Na facebookowej grupie „Polacy w Czechach” można znaleźć opowieści o nieuczciwych firmach niepłacących składek za pracowników. Narzeka się również na drożące mieszkania.

Zanim więc spakujemy walizki, by uciekać od wojen politycznych, presji w pracy i coraz gorzej działającej służby zdrowia, zasięgnijmy języka i uważnie wybierajmy cel podróży.

Anna Brzeska



Czeskie koleje cieszą się bardzo dobrą opinią.

po prostu wolniej. Mają ustawową przerwę na obiad (30 minut przy ośmioipółgodzinnym czasie pracy), ale już godzinę wcześniej sprawdzają, co jest do zjedzenia w okolicznych restauracjach. O 15.50 zaczynają myć kubeczki, bo o godz. 16 wychodzą do domu. Po pracy zajmują się sobą, mają liczne hobby, uprawiają sporty. Wszyscy moi znajomi chodzą na różne zajęcia – strzelanie z łuku, garncarstwo, kaligrafia, basen. Nie żyją tylko pracą.

Jako coach Gosia zwraca uwagę na jeszcze jeden ważny szczegół w czeskim podejściu do życia zawodowe-

organizujemy jakieś marsze, jak ten po zamordowaniu Pawła Adamowicza. Tutaj nie ma tego rodzaju zrywów. Uważają nas nie tylko za walecznych, ale też sprytnych. Sami nie wychodzą poza schematy.

Kolejne ułknięcie zazdrości czuję, gdy Monika opowiada mi o transporcie publicznym: – Świetna komunikacja, dużo lepszy tabor kolejowy. Jeśli chodzi o połączenie Praga-Ostrawa, mogę wybierać spośród wielu różnych prywatnych i publicznych przewoźników. Ceny są bardzo konkurencyjne.

Warunki podróżowania określa jako rewelacyjne. – Pamiętam, jak

Jest dług czy go nie ma?

Dług istnieje, dopiero gdy się go udowodni

Rozmawia Roman Kurkiewicz

Czy dług w ogóle istnieje?

– Istnieje dopiero wtedy, gdy się go udowodni. Do tego momentu wszystko jest „rzekome”. Inaczej równie dobrze mógłbym powiedzieć, że jest mi pan winien milion i ma mi pan go oddać, a pan mówi, że nic mi nie jest winien. A ja znowu, że pan jest winien, wtedy pan mówi: „Idź pan do sądu i udowodnij”. I kiedy udowodnię, a sąd zasądzi, to znaczy, że był dług. Jeżeli pana pozwę i przegram, to znaczy, że żadnego długu nie było. Tak samo jest w sytuacji bank-klient. Jeżeli bank twierdzi: „Panie, masz pan dług, oddaj kasę”, ja mówię: „Nie mam żadnego długu, jak chcecie, idźcie do sądu”. Idą do sądu i albo wygrają, czyli był dług, albo przegrywają, co znaczy, że długu nie było, lub inaczej – powód nie był w stanie udowodnić jego istnienia co do zasady lub co do wysokości.

Czyli tak naprawdę rozmawiamy nie o tym, czy długi istnieją, tylko o systemie prawnym, który to reguluje. Cały system windykacyjny, przeżywający dzisiaj w Polsce bum, jest konsekwencją tego, że państwo mówi: rozstrzygnijcie to między sobą. Nie istnieją mechanizmy kontroli. Firmy windykacyjne mają gdzieś to, że są długi przedawnione, bazują na ignorancji prawniczej i braku środków ludzi, którzy nie są w stanie zaważać o swoje prawa. Mamy potężne firmy, notowane na giełdzie, z przychodami liczonymi w setkach milionów, które zyski zbudowały na oszustwie – skupowaniu i odzyskiwaniu długów przeterminowanych, niewymagalnych.

– Oszustwo to odrobinę za mocne stwierdzenie. Powiedziałbym, że na niewiedzy, ignorancji, naiwności i strachu. Firmy windykacyjne wykorzystują wszelkie dostępne środki i metody, aby zarobić jak najwięcej. Najczęściej unikają drogi sądowej, bo tam może się okazać, że wcale nie mają racji, lub z wielu innych



PIOTR SOBON

– założyciel i partner zarządzający w Kancelarii Doradztwa Prawnego i Gospodarczego AntyWindyk, antywindyk.pl

przyczyn sąd może to powództwo oddalić. Ich głównym orężem jest zastraszanie ludzi poprzez uporczywą windykację, bardzo często niezgodną z obowiązującym prawem i naruszającą dobra osobiste. Przekonują, że warto podpisać ugodę, że warto się dogadać, współpracować, czyli tak naprawdę...

Że warto im płacić.

– No tak. Złożenie pozwu w sądzie wiąże się z wniesieniem opłaty, trzeba jeszcze zapłacić prawnikowi, jakieś kancelarii, więc dobrowolna spłata jest najszybszym, najtańszym i najskuteczniejszym sposobem ściągania rzekomych długów, które kupiło się od kogoś. Najpierw ktoś zadzwoni, postraszy, za chwilę zadzwoni inna pani, która będzie miła i będzie zachęcać do ugody, potem przyjdzie pan, który powie, że jutro będzie meble wynosił...

Dobry windykator i zły windykator.

– To w Polsce działa. Dlatego firmy kupują takie duże pakiety długów, często nie zwracając uwagi na to,

czy są przedawnione, czy nie, bo ze statystyk wynika, że ponad 98% ludzi i tak nie podejmie obrony w sądzie. Zaledwie niecałe 2% wyśle jakiegokolwiek pismo. Abstrahuję od tego, czy zostanie ono złożone w terminie, czy będzie poprawne, skuteczne i merytoryczne. Czysto statystycznie i tak opłaca się pozywać ludzi o długi przedawnione lub nawet takie, których nie dałoby się udowodnić w uczciwym procesie. Windykatorzy wykorzystują to, że system sądowy niespecjalnie wnika w pozwy i zasądza z zasady. A zasada mówi: „Skoro mówią, że jest winien – to tak jest”. **Skala zjawiska przekłada się bezpośrednio na pieniądze.**

– Bardzo duże pieniądze. Mówimy nie o milionach, ale o miliardach złotych.

Bank nie poczeka na raty

Skoro są tam takie ogromne pieniądze, to dlaczego pańska kancelaria nie zajmuje się windykacją, tylko

nazywa się AntyWindyk i pomaga tym 2% ludzi, którzy są skłonni zareagować?

– Pracowałem w banku jako doradca finansowy i pomagałem ludziom uzyskać kredyty, których, jak im się wydawało, potrzebowali. I często okazywało się np. po roku, że potrzebują więcej pieniędzy, a później jeszcze więcej. Byli pewni, że za chwilę to odrobiją. A jest milion powodów, dla których raczej coś się nie uda. I w pewnym momencie ktoś zostaje z wielkimi długami i nie ma gdzie zwrócić się o pomoc. Sam byłem w takiej sytuacji. Związałem się z branżą bankową, współpracowałem z bankiem na wyłączność, oferując kredyty hipoteczne. Szło całkiem dobrze przez dwa, trzy lata, po czym bank z dnia na dzień wycofał się z akcji kredytowej i podziękował nam za współpracę. Dochody i oszczędności się skończyły, pojawił się problem. Rozpocząłem na własną rękę działalność jako niezależny doradca, pośrednik już niezwiązany z jednym bankiem, ale rozkręcenie czegoś takiego po kilkuletniej współpracy z jednym podmiotem wymaga miesięcy. A system bankowy jest tak skonstruowany, że bank nie poczeka na raty. Bank daje miesiąc, dwa, trzy, po trzech miesiącach, czasem wcześniej, wypowiada umowę i sprawa musi trafić do sądu. A jeszcze niedawno wystawiał bankowy tytuł egzekucyjny, szedł do sądu po klauzulę wykonalności i po dwóch miesiącach wkraczał komornik. Na wnioski o restrukturyzację dostawało się krótką odpowiedź odmowną, bez wyjaśnień.

Windykatorzy najczęściej unikają drogi sądowej, bo może się okazać, że wcale nie mają racji.

Coś jednak się zmieniło.

– Tak, wszedł art. 75c Prawa bankowego, który mówi, że bank musi pouczyć o możliwości restrukturyzacji, złożenia wniosku. Jeżeli bank odmawia zgody na restrukturyzację, musi pisemnie, obszernie uzasadnić tę decyzję. Próbuje się działać, które pozornie cywilizują tę sytuację. Ale tak naprawdę żadnej restrukturyzacji nie ma i nigdy nie będzie. Bankowi nie opłaca się utrzymywać kredytu, który jest restrukturyzowany, podlega ugodom czy jakimkolwiek innym

negocjacja, bo na niego musi odprowadzać rezerwy, musi go wpisać do puli kredytów zagrożonych, w związku z czym odprowadza kolejne środki. Dużo bardziej opłaca się wypowiedzieć umowę, zrzucić go jako kredyt niespłacany całkowicie. A najlepiej w ogóle się go pozbyć, sprzedając funduszowi za 10%, 15%, a czasem 1% wartości. I co z tego, że klient informował bank, że zmienia pracę, że za dwa miesiące znów będzie miał dochody albo że potrzebuje wakacji kredytowych na pół roku i wróci do spłaty. Tutaj system działa

Firmy windykacyjne wykorzystują wszelkie dostępne środki i metody, aby zarobić jak najwięcej.

zupełnie odwrotnie, najlepiej klientowi odmówić, poszczuć go windykatorami, zgnoić, potem kredyt sprzedać za bezcen i wprowadzić to jako zysk do bilansu.

Czyli bank poprzez działania reklamowe zachęca do brania kredytów, na których spłaceniu mu nie zależy?

– Tak, bo to nie jest w jego interesie. Bank nie tylko zachęca do kredytów w mediach, on te kredyty wciska ludziom, którzy w ogóle ich nie potrzebują. Nakłada na doradców w oddziałach plany sprzedażowe, a ci muszą te plany zrealizować. Doradca łąpie telefon, obdzwaniania ludzi i wciska im kredyt na siłę. Pół biedy, jeśli ktoś ma potrzebę, gorzej, jeśli jej nie ma, ale kredyt bierze. A jeszcze gorzej, jeżeli nie stać go na spłatę, a i tak bierze, bo doradca „doradza”, namawia, kusi. Celem

nałem kolejne na spłatę poprzednich. A wiedziałem, że tak dobrze, jak było, nie będzie. Ludzie często się łudzą, że za chwilę los się odmieni, jeszcze pół roku i będą więcej zarabiać. Guzik prawda, życie pokazuje, że w ponad 90% jest tylko gorzej, zaciąganie kolejnych zobowiązań na spłatę poprzednich nic nie daje. Trzeba szukać innego rozwiązania – przynajmniej czasowo wstrzymać spłatę, a jeśli się uda, to w ogóle spłacić mniej, na zasadzie ugody. Po pewnym czasie okazało się, że to niemożliwe i albo spłacamy wszystko, albo nic.

W związku z tym, że nie było mnie stać na spłatę wszystkiego, wybrałem opcję nic. I obserwowałem, jak to dalej się potoczy.

W 2015 r., kiedy zaczynaliśmy, w Polsce nie było żadnej kancelarii, która zajmowałaby się obsługą dłużników czy osób mających problemy z płatnościami. Nikt na tym się nie znał. Kiedy konsultowałem swój przypadek u znakomitych prawników, na koniec każdy mówił, że trzeba spłacać, bo bank zawsze wygra. Ale okazało się, że jak się wyczyta w przepisy, to one wcale nie są takie jednoznaczne, albo inaczej – są jednoznaczne, ale w drugą stronę. Tyle że nikt nie podnosi argumentów, które sprawiłyby, że sąd nabierze wątpliwości w sprawie tego, co twierdzi bank. *De facto* na sobie rozpracowywałem ten system, po to by dojść do wniosku, że to jednak działa.

Prowadzi pan kancelarię antysystemową?

– Nie miałem takiego celu i nie lubię tego określenia, bo naszym celem nie jest walka z systemem. Nam chodzi o ratowanie ludziom życia, żeby nie umierali w wyniku chorób, na które często zapadają pod wpływem stresu, nerwów, zastraszania. O to wreszcie, żeby nie odbierali sobie życia – w 2016 r. mniej więcej 1,7 tys. osób zginęło w Polsce w wypadkach drogowych. A ofiar samobójstw było ponad dwa razy tyle. Według mojej wiedzy długi to jeden z głównych powodów samobójstw. Znam kilka rodzin, w których ktoś popełnił samobójstwo po wizycie windykatorów z firmy pożyczkowej, którzy przyszli

► i powiedzieli, że jak pani do jutra nie spłaci, to wyniesiemy meble, telewizor... A ona nie wiedziała, że tak nie można, że to są tylko werbalne groźby i zastraszanie. Nie wytrzymała psychicznie i tego samego dnia się powiesiła.

Czyli AntyWindyk to kancelaria nie antysystemowa, ale humanitarna?

– Myślę, że w jakiś sposób na pewno. Kancelaria nie robi tego bezinteresownie, natomiast cieszę się, że jesteśmy po stronie zadłużonych, a nie po tej drugiej. Wiem, że tym ludziom trzeba i warto pomóc, i wiem, że nie ma w Polsce innych miejsc, które zrobią to rzetelnie i skutecznie.

Ziemia zaludniona dłużnikami

Czy nadzór państwa nad systemem bankowym, przez instytucje, stanowienie prawa, jego egzekucję, jest fikcją? Państwo się wycofało, pozwoliło bankom i windykatorom na to wszystko?

– Dokładnie tak jest. Zdarzają się pozorne ruchy zmieniające prawo, które miałyby ucywilizować sytuację. Na początku roku weszły np. zmiany w ustawie o komornikach i w prawie cywilnym. Generalnie są to dobre zmiany. Natomiast problem jest tak obszerny, że nie ma możliwości uzdrowienia systemu pojedynczymi zmianami. Konieczna byłaby zmiana nadzoru, zmiana przepisów zakazująca pewnych praktyk. Jednak lobby drugiej strony jest tak potężne, że żaden rząd nie zdecyduje się na wprowadzenie takich zmian.

Spłacamy wszystko albo nic. Czy ma się pięciu komorników, czy jednego, konsekwencje są te same.

Zobaczył pan lukę i ziemię niczyją, ziemię zaludnioną dłużnikami. I okazało się, że...

– Większość dłużników pracuje, osiąga jakieś dochody, ale to nie wystarcza na spłatę zobowiązań. Czasem chodzi o jeden kredyt z ratą 500 zł, a czasem tych zobowiązań jest na 10-30 tys. zł miesięcznie. Tylko sporadycznie dłużnik przychodzi z prośbą, by go uwolnić od długów, żeby nie musiał nic spłacać. Ludzie mają zakorzenione poczucie sprawiedliwości – jeżeli wziętem, powinienem oddać. Ja to widzę. Bardzo łatwo mi wyczuć cwaniaka, który

wziął ileś kredytów, stwierdził, że nie będzie spłacać, i chce, żeby go teraz wybronić za ułamek procenta tego, co wzięł. Takich przypadków miałem może trzy, cztery na kilka tysięcy zgłoszeń i nie podjęliśmy się tych spraw.

Jak pan działa?

– Banki są dużymi instytucjami, mają takie, a nie inne procedury, im po prostu się nie opłaca spłacanie

Ponad 98% ludzi nigdy nie pójdzie do sądu w sprawie swoich długów. Zaledwie niecałe 2% wysła jakiegokolwiek pismo.

przez dłużników. Skoro tak, trzeba znaleźć rozwiązanie spośród tych, które są możliwe. Jeżeli ktoś ma pięć zobowiązań, to jeśli będzie spłacał jedno czy dwa, a trzy odpuści, to będzie miał na głowie jednego albo dwóch komorników. Zabiorą mu część pensji, zostanie mu 1,5 tys. zł gwarantowane ustawowo na zapewnienie podstawowego bytu. On by chciał z tych 1,5 tys. zł jeszcze 700 zł przeznaczyć na raty i zostanie mu 800 zł na utrzymanie siebie i trójki dzieci. Tak się nie da. Spłacamy więc wszystko albo nic. Czy ma pan pięciu komorników, czy jednego, konsekwencje są takie same. Jeżeli to jest zobowiązanie na kilkadziesiąt tysięcy, a pan zarabia 1,8 tys. zł, i tak nigdy w życiu pan tego nie spłaci. Jedyna możliwa opcja – przestajemy spłacać wszystko, walczymy w sądzie, próbujemy wygrać jak najwięcej spraw, jeżeli uda się wygrać wszystkie, to super. Jeżeli nie uda się wygrać,

to 25 tys. zł. Im by wystarczyła rata 350-400 zł miesięcznie. I ktoś mówi: „Stać mnie na to, czy mam podpisać ugodę?”. Odpowiadam wtedy: „Może pan podpisać ugodę, jeżeli ma pewność, że będzie pana stać na spłatę tego do końca. Bo jeżeli za miesiąc czy za pół roku przestanie pan spłacać, tą ugodą tylko się pan pograży”. Bo celem ugody jest ściągnięcie należności, ale też uznanie długu. Cza-

sem warto tę ugodę podpisać, ale jeżeli ktoś ma cztery, pięć zobowiązań, każde po kilkadziesiąt tysięcy, to wysokość rat przekroczyłaby jego dochody. W takiej sytuacji nie ma sensu podpisywanie żadnej ugody, trzeba przyjąć komornika na klatę. Dlatego każdorazowo musimy poznać pełną sytuację klienta, jego zobowiązania, dochody, ich źródło, posiadany majątek i wiele innych danych, żeby zaproponować mu najlepsze dla niego rozwiązanie. Przedstawić plusy i minusy każdego, a on sam zdecyduje, którą ścieżką pójdzie.

Nie wszystko stracone

Prowadzi pan też blog. Pojawiają się w nim zdroworozsądkowe porady, za które nie bierze pan pieniędzy. Opisuje pan różne historie, kiedy udało się wygrać sprawę rzekomego długu, w rzeczywistości niestusznego. Już został pan zauważony przez banki jako trudny przeciwnik?

– Banki początkowo nas ignorowały. Dość szybko jednak zauważyły, że pojawił się na rynku podmiot – pełnomocnicy, którzy skutecznie podejmują obronę i zaczynają wygrywać. Zaczęto o nas mówić na zamkniętych forach internetowych, na których pełnomocnicy banków wymieniają się informacjami, ciekawostkami z sal rozpraw, doświadczeniami. Dowiedziałem się tego niezależnie od kilku osób. Banki zaczęły też inaczej formułować pozwy, składając inne dokumenty. Teraz wytaczają naprawdę ciężkie działa i coraz trudniej z nimi wygrywać. Między tym, jak banki reagowały na nasze pisma procesowe cztery lata temu, a nawet dwa lata temu, a obecną sytuacją jest przepaść.



Polak zadłużony

1 191 368 – liczba dłużników kredytowych

34,04 mld zł – łączna kwota zaległych zobowiązań kredytowych

28 575 zł – średnia wartość zaległego zobowiązania kredytowego na osobę

170 270 zł – średnia wartość zaległego kredytu hipotecznego

22 279 zł – średnia wartość zaległego kredytu konsumpcyjnego

5121 zł – średnia wartość kredytu na karcie, koncie osobistym

Źródło: Raport InfoDług, marzec 2019 r. Na podstawie danych z baz Biura Informacji Gospodarczej InfoMonitor oraz Biura Informacji Kredytowej

Nie boję się zaryzykować stwierdzenia, że wprowadziliśmy dużo zamieszania w systemie bankowym, jeśli chodzi o egzekucję roszczeń w sądach. Natomiast nadal są na rynku banki, które mimo wielu przegranych spraw popełniają te same błędy. Na szczęście w mojej ocenie cały czas wyprzedzamy banki o dwa, trzy kroki i dzięki temu utrzymujemy wysokie statystyki wygranych. Jednak jest to okupione bardzo ciężką pracą.

A jak reszta środowiska przyjęła pana antywindykacyjną specjalizację?

– Bardzo szybko zostaliśmy zaawansowani przez komorników. Zdarzają się nam klienci, którzy zostali skierowani do nas przez komornika. On oczywiście swoje czynności wykonał, ale powiedział: „Pani się zgłosi do takiej kancelarii”, bo widział, że coś nie gra. Z niektórymi komornikami współpracujemy, konsul-

tujemy trudniejsze zagadnienia, które wymagają ścisłej wiedzy lub doświadczenia, ale przede wszystkim oni bardzo chętnie dzielą się wiedzą, żeby uzdrowić ten system i eliminować takie czarne owce jak komornik, który zabrał traktor sąsiada.

Bank nie tylko zachęca do kredytów w mediach, on te kredyty wciska ludziom, którzy w ogóle ich nie potrzebują.

Mówił pan, że prawo mamy dobre.

– Nie widzę tutaj jakichś ogromnych luk, błędów i gdyby sędziowie bardzo ściśle się go trzymali i faktycznie stosowali jego wykładnię, wygrywalibyśmy 90% spraw z bankami. Niestety, sądy mają różne podejście. Są sędziowie przekonani, że „długi trzeba spłacać” i koniec. I choćby sprawa była oczywista, bank i tak wygra. Są takie miejsca w Polsce i to mnie najbardziej boli, a nie to, że cza-

sem przegramy. Jeżeli sędzia potrafi w trzech zdaniach napisać, że bank udowodnił swoje roszczenie i koniec, to co to jest za sąd, co to jest za sędzia? Gdzie tu prawo do uczciwego procesu, prawo do obrony?

Banki mają kredyt... zaufania.

– Mają, choć wielokrotnie udowodniły, że na niego nie zasługują, nie są instytucjami zaufania publicznego. To już tylko pusty slogan, i to od dawna, a w sądach są dalej uprzywilejowane. W 80% wyrok pierwszej instancji zostaje podtrzymany w apelacji i często nie dlatego, że jest prawidłowy, ale dlatego, że wtedy nie trzeba tracić czasu na pisanie obszernego uzasadnienia. Łatwiej zrobić kopiuje-wklej i przyklepać to, co orzekła pierwsza instancja, szczególnie gdy wielkość kwoty nie pozwala na kasację czy inne odwołania.

To niewesoła wiadomość.

– Taka jest prawda. Jeżeli bym przeprowadził 30 czy 50 spraw, nie miałbym prawa wysnuwać żadnych wniosków, bo to może być zbyt mała próba. Ale jeżeli tych wyroków mamy ponad tysiąc, a spraw w toku kilka tysięcy, i to rozsianych po całej Polsce, można już pewne wnioski wysnuwać. Jak sprawa trafia do tego i tego sądu albo do konkretnego sędziego, z góry mogę się spodziewać albo sprawiedliwej oceny materiału, albo przegranej, bo to jest taki sędzia. Są sądy i miasta, w których żadnej sprawy jeszcze nie wygraliśmy i pewnie nigdy nie wygramy, mimo że identyczne sprawy w innych sądach wygrywamy prawie wszystkie. Nie dlatego, że źle poprowadziliśmy sprawę, tylko nastawienie jest takie, a nie inne. Trudno tu, niestety, mówić o uczciwym, rzetelnym procesie.

Ma pan współpracowników w całej Polsce.

– Siedziba kancelarii jest w Gdańsku. Tam jest większość zespołu. Współpracujemy z różnymi osobami rozsianymi po Polsce. Czy to z komornikami, czy z pełnomocnikami procesowymi, którzy reprezentują naszych klientów na rozprawach. To niezbędne, bo pomaga w reprezentowaniu klientów z całego kraju, a nie tylko z naszego miasta.

► Jaką rolę odgrywają wpisy na blogu, porady, sugestie? To budowanie wiarygodności firmy?

– Niektóre rzeczy można, a nawet trzeba, mówić ludziom otwarcie, żeby sami mogli z tego korzystać. Mamy mnóstwo opinii na blogu, dostajemy też mejle, że przeczytali to, zastosowali i zadziałało. Są w szoku, bo nie wierzyli, że to się uda, ale teraz ich życie się odmieniło. To bardzo budujące. To, co piszemy, stanowi jakiś mały ułamek naszej wiedzy. Nie możemy pisać wszystkiego, żeby nie zdradzać naszego *know-how*, które zdobywaliśmy przez ileś lat, i żeby nie uczyć strony przeciwnej, co ma robić. Inna rzecz, że później wykorzystują to pseudofirmy, które reklamują się, że pomagają, wyciągają z długów, a tak naprawdę biorą kasę i wiele nie robią. To też duży problem, bo pojawia się wielu naśladowców, których klienci potem do nas trafiają i okazuje się, że oni nie dość, że nie pomogli, to jeszcze pogorszyli sytuację.

A co z tymi, którzy już wszystko stracili?

– Pomagamy nie tylko ludziom, którzy obecnie mają problemy, ale i tym, którzy w kłopoty wpadli wiele

lat temu, np. zlicytowano im mieszkanie. Oni myślą, że już wszystko jest zamknięte, długi zostały, bo jak komuś zlicytują mieszkanie, to za ledwie jeden na dziesięciu ma spłacony w ten sposób dług – pieniądze z licytacji przeważnie nie pokrywają zadłużenia. Czasem na licytacji takie

Znam rodziny, w których ktoś popełnił samobójstwo po wizycie windykatów z firmy pożyczkowej.

mieszkanie sprzedaje się za 100 tys. zł, czasem za 500 tys., czasem za milion. Bardzo często po dokładnej analizie sprawy okazuje się, że nie wszystko było do końca zgodne z prawem albo wręcz było bezprawne. Co wtedy możemy zrobić? Możemy udowodnić, że były błędy, coś się wydarzyło niezgodnie z prawem, i odzyskać pieniądze, które wierzyciel uzyskał na licytacji. Mało tego, możemy odzyskać różnicę między realną wartością nieruchomości a kwotą, za którą mieszkanie zostało sprzedane, i jeszcze pociągnąć bank do odpowiedzialności za zlicytowanie komuś dorobku całego życia, jakim był wymarzony dom, mimo że formalnie w dokumentach

były błędy. Tu uczulam ludzi, którzy myślą, że jest po sprawie i nic się nie da zrobić. Właśnie w tych sytuacjach osiem na dziesięć przypadków jest do odwrócenia. Wiele jest powodów i argumentów, dzięki którym można sprawę przywrócić, wygrać i odzyskać dużo pieniędzy,

często majątek życia. To dotyczy nieruchomości, ale też wieloletnich egzekucji z wynagrodzenia, kiedy np. ktoś dobrze zarabiał, ale połowę przez ileś lat mu ściągali. Potrafią się uezierać kwoty 50, 150 tys. zł i okazuje się, że cała egzekucja to była wielka lewizna. Nie tylko cofamy sprawę, wygrywamy i pozbywamy się długu, ale jeszcze odzyskujemy pieniądze dla naszego klienta. Fajnie jest przywracać ludziom poczucie wiary w jakąś sprawiedliwość, w to, że nie zostali sami, że warto czasem powalczyć. Odmienia się ludzkie życie i to daje olbrzymią satysfakcję.

Roman Kurkiewicz

Książki o długu



Brawurowa i monumentalna opowieść o historii długu. Autor, aktywista, antropolog, wykładowca London School of Economics, jedna z najważniejszych postaci ruchu Occupy Wall Street, nieoficjalnie autor ówczesnego hasła „We are 99%”, prześledził fenomen długu, stereotypy, kłamstwa, mity i manipulacje związane z tym pojęciem, wędrując poprzez epoki, kultury, religie, szkoły gospodarcze, tradycje i instytucje społeczne, państwowe

czy globalne, lichwę oraz kryzysy finansowe. David Graeber nieakademicko wraca „Długiem” do filozoficznej tradycji zadawania Wielkich Pytań.

David Graeber, *Dług, Pierwsze pięć tysięcy lat*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2018

Janis Warufakis, ekonomista, przez kilka miesięcy 2015 r. minister finansów Grecji z ramienia Syriza, twardo negocjował z tzw. Trojką: Europejskim Bankiem Centralnym, Międzynarodowym Funduszem Walutowym i Komisją Europejską, warunki spłaty i przyszłości greckiego zadłużenia.



Jego książka wypełniona jest zapisami zakulisowych rozmów i rozgrywek z najważniejszymi graczami polityczno-ekonomicznej Europy. Czytamy o kuchni politycznej współczesnej Europy, poznajemy skrywaną arogancję przedstawicieli najbogatszych państw oraz ustalających reguły gry szefów instytucji finansowych i europejskich.

Janis Warufakis, *Porozmawiajmy jak dorośli. Jak walczyłem z europejskimi elitami*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2019

François Chesnais, wykładowca ekonomii Uniwersytetu Paris 13 Nord, próbuje znaleźć i nazwać główne, systemowe przyczyny wielkiego kryzysu gospodarczego 2008 r. Wskazuje patologiczną, powszechną finansjeryzację gospodarki. Zajmuje się argumentacją na rzecz anulowania (bezpprawnych) długów publicznych. Postuluje, że „najwyższy czas zająć (a nie niszczyć) banki, by mogły wypełniać swoje, właściwe im, istotne funkcje”.

François Chesnais, *Bezpprawne długi. Jak banki sterują demokracją*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2012



Z Galicji



Jan Widacki

TAK MÓWIĆ, ABY NIE POWIEDZIEĆ

Wkomunikacie Konferencji Episkopatu Polski (bełkocik zajmujący odczytującemu ponad kwadrans) jest mowa o „wykorzystywaniu dzieci” przez osoby duchowne. Gdyby ktoś nie wiedział, że chodzi o wykorzystywanie seksualne, z tekstu komunikatu by się nie dowiedział. Mógłby myśleć, że chodzi o wykorzystywanie przy pracy, intelektualne albo jeszcze inne. Instytucjonalny Kościół przeprosza za to, że dzieci były wykorzystywane przy robieniu zakupów, przy noszeniu ławek albo wykorzystywane były ich prace przy pisaniu kazań? To ostatnie, jeśli wziąć pod uwagę poziom homilii, mogłoby się wydać prawdopodobne. Określenie wykorzystywanie seksualne jakoś nie mogło przejść przez gardło biskupom. Zadanie nałożone przez Watykan odrobili. Włożyli wiele wysiłku w to, by mówiąc, nie powiedzieć. A w Piśmie jest powiedziane: „Niech mowa wasza będzie: Tak, tak; nie, nie” (Mt 5,33-37). No to nie była, proszę arcybiskupie.

O konferencji prasowej Episkopatu w tej sprawie już nie wspominam. Faryzejskość w klasycznym wydaniu! Biskupi, jak się zdaje, dawno już przerośli swoich mistrzów izraelskich, biblijnych arcykapłanów, czy kastę kapłanów opisaną przez Prusa w „Faraonie”. Wstyd i żenada.

W artykule w Onecie mowa o bohaterstwie i męczeństwie rodziny Ulmów, która zapłaciła życiem za ukrywanie Żydów w czasie okupacji. Dowiadujemy się z niego, że w morderstwie uczestniczyli „niemieccy żandarmi” i „granatowi policjanci”. Co to za narodowość ci „granatowi”? Był taki naród „granatowi”? Tak trudno napisać, że to Polacy w mundurach granatowej policji?

Nasza historia i tradycja to zarówno bohaterstwo i męczeństwo Ulmów, jak i podłość i zbrodnicość denuncjującego ich Polaka oraz uczestniczących w zbrodni polskich policjantów w granatowych mundurach. Opowiadać o jednych, a przemilczać tych drugich, to głupota i krzywda dla następnych pokoleń, w których edukacji fałszywa historia ma być przewodniczką. Dokąd je zaprowadzi?

Polski narodowiec kwestionuje prawo Izraela do przyznawania się do „polskich Żydów” mordowanych w czasie okupacji i bezpośrednio po niej. Argumentuje, że gdy ich mordowano, Państwa Izrael nie było. Ale ten sam narodowiec i jemu podobni bezmyślni „patrioci” chętnie przyznają się do husarzy czy choćby „żołnierzy wyklętych”, choć ci istnieli, zanim narodowiec i „patrioci”

pojawił się na świecie. To sztuka nie widzieć w takim podejściu sprzeczności.

Kilku księży z Gdańska, w otoczeniu m.in. dzieci oddanych im pod duchową opiekę, publicznie paliło „nieprawomyślnie” ich zdaniem książki. W tym o Harrym Potterze. To zastanawia podwójnie. Po pierwsze, publiczne palenie jakichkolwiek książek w tej części Europy musi się kojarzyć jak najgorzej. Po drugie, w moim dzieciństwie czytaliśmy bajki braci Grimm albo „Baśnie z tysiąca i jednej nocy”. Także bajkę o Pinokiu (ostatnio uważanym za pierwowzór premiera Morawieckiego) albo „O krasnoludkach i sierotce Marysi”, napisaną przez autorkę patriotycznej „Roty” (skądinąd – fe! – lesbijkę), Konopnicką. I jakoś te bajki nie były kontestowane przez księży. W czym bajki braci Grimm były lepsze od Harry’ego Pottera? Czyżby XIX-wieczni czarodzieje byli bardziej zgodni z nauką Kościoła niż czarownicy z bajek XXI-wiecznych i dlatego Kościół z nimi nie walczył? Co się zmieniło? Księża bardziej przenikliwi, bardziej wyczuleni na zagrożenia wiary czy po prostu głupszy i bardziej fanatyczni?

Czekam na ofensywę przeciw przygodom Koziołka Matołka. Też robi konkurencję treściom nauczającym na lekcjach religii? Ależ nie, nobilituje przecież matołków. Tych palących książki również! Tyle że Koziołek Matołek ośmiesza wojsko i pośrednio osłabia zdolność obronną

Rzeczypospolitej. „Powieś spodnie swe na kołku, dziś dostaniesz mundur nowy. Czas do wojska iść, Matołku”. Czy to nie

ośmiesza zapalą patriotycznej młodzieży do wstępowania do obrony terytorialnej?! Agent Putina z tego Makuszyńskiego albo nawet z samego Koziołka Matołka. Na wszelki wypadek spalić!

A weźmy bajeczki Brzechwy. Żyd pod polskim nazwiskiem bałamuci polskie dzieci! „Akademia Pana Kleksa” – czy nie jest to aluzja do reformy nauki wicepremiera Gowina? Spalić! To samo z Tuwimem. Czy pisząc „Lokomotywę”, nie chciał wpływać na podświadomość czytelników, aby Lenin, „parowóz historii”, był dla nich bardziej swojski i przyswajalny? Ktoś w końcu przygotowywał grunt dla nadchodzącej komuny. Spalić tę „Lokomotywę”!

Okazuje się, że ciemnota i fanatyzm religijny w XXI w. są u nas jeszcze większe, niż były w wieku XVIII czy XIX. A świat poszedł naprzód! Wleczemy się wciąż w ogonie pracy do przodu Europy.

Ale jesteśmy z tego dumni! Alleluja i do przodu!

Ciemnota i fanatyzm religijny w XXI w. są u nas jeszcze większe, niż były w wieku XVIII czy XIX.

Niepoprawny ambasador

Przedstawiciel dyplomacji USA Richard Grenell mocno irytuje niemieckich polityków

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Kryzys migracyjny zaszkodził Merkel, bo nie miała planu. Tu nie chodzi o to, by mieć dobre serce, lecz o to, by mieć plan. Jej błędy zmusiły ją w końcu do rezygnacji z kierowania CDU. Ale w Niemczech nie wolno o tym głośno mówić, bo od razu jest się posądzanym o bliskość ze skrajnymi partiami – mówił jesienią w telewizji Fox News Richard Grenell. 52-letni Amerykanin był kiedyś komentatorem tej stacji i gdyby nim pozostał, miałby święte prawo wyrażać swoją opinię. Obecnie jednak jest ambasadorem USA w Berlinie.

Tę ważną funkcję pełnili w przeszłości osoby o umiejętnościach godnych mistrzów dyplomatycznego rzemiosła. – Niemcy tęsknią za silnymi liderami, którzy zapewnią im wreszcie bezpieczne granice – ciągnął zaś Grenell w programie „Tucker Carlson Tonight”. Po każdym jego komentarzu w bliskim Partii Republikańskiej medium niemieckie gazety kipią oburzeniem. – Grenell to kompletna katastrofa dyplomatyczna – powiedział poseł SPD Carsten Schneider, po tym jak ostatnio ambasador znów sięgnął na siebie falę krytyki. W marcu pupil Donald Trumpa skrytykował plany budżetowe niemieckiego rządu, który jego zdaniem od lat redukuje wydatki na obronność. W Niemczech takie zaczepki są odbierane jak ingerencja w sprawy wewnętrzne, a słowa o tęsknocie za silnymi przywódcami zostały przyjęte jako wyraźny apel o zmianę władz.

Kilka tygodni temu wiceprzewodniczący Bundestagu Wolfgang Kubicki (FDP) powiedział, że Grenell zachowuje się jak przedstawiciel „mocarstwa okupacyjnego”, i zażądał wydalenia go z kraju. Tymczasem ambasador po każdym medialnym wybuchu nagle wykazuje się dyplomatyczną giętkością, utrzymując, że oburzeni niemieccy politycy jak zwy-

kle nie widzą potrzeby zapoznać się z tym, co ich oburzyło.

Oficer kolonialny

Zanim Grenell wylądował w Berlinie, w latach 2001-2008 pracował jako rzecznik ambasady USA przy ONZ. Jego przełożonym był wtedy John Bolton, obecny doradca ds. bezpieczeństwa w Białym Domu. Potem Grenell został rzecznikiem kandydata republikanów na prezydenta, Mitta Romneya, i wspierał go podczas kampanii w 2012 r. Gdy Romney przegrał z Barackiem Obamą, Grenell zajął się dziennikarstwem i podpisał umowę z telewizją Fox News, medialną dźwignią budowania wizerunku kolejnego republikańskiego kandydata na fotel prezydencki – Donalda Trumpa. Nowojorski deweloper szybko zauważył, że nowy komentator stacji jest mu

Żaden z poprzedników Grenella nie zachowywał się tak mało dyplomatycznie.

niemal bezwarunkowo oddany. I mimo że homoseksualizm Grenella już wtedy budził w obozie republikanów spore kontrowersje, Trump powierzył mu w 2018 r. synekurę w Berlinie. Od tamtego czasu Grenell nie pomija żadnej okazji, aby pokazać swojemu wodzowi, jak niezmiernie jest wdzięczny, i regularnie wygłasza peany na jego cześć. – Towarzyszyłem prezydentowi przy negocjacjach z przywódcami innych państw. Zapewniam, że w życiu nie widziałem tak uzdolnionego w tej dziedzinie polityka jak Donald Trump – oświadczył Grenell niedawno drżącym głosem w zaprzyjaźnionej telewizji. Jednocześnie – i tu z niemieckiego punktu widzenia żarty już się kończą – jest twardym wyrazicielem jego linii w Berlinie, równie intensywnie korzystając z Twittera jako narzędzia walki politycznej. Gdy USA wycofały się z porozumienia nuklearnego

z Teheranem, ambasador zażądał, aby wszystkie niemieckie firmy niezwłocznie zerwały z Iranem kontakty biznesowe. Cały Grenell. Nawet jeśli nie grozi wprost, wszyscy wiedzą, że chodzi o amerykańskie sankcje.

Lewicowe media zatrzęsły się z oburzenia, a były kandydat SPD na kanclerza Martin Schulz nazwał przedstawiciela Waszyngtonu oficerem kolonialnym. Na ile tego rodzaju metody są skuteczne, pokazuje choćby przypadek Banku Melli. Irańska instytucja, mająca placówki także w RFN, pozwała niedawno Deutsche Telekom. Mimo że Berlin i Bruksela oficjalnie sprzeciwiają się narzuconej im przez Trumpa polityce wobec Teheranu, lider niemieckiej branży telekomunikacyjnej odciął filiom Banku Melli dostęp do internetu i linii telefonicznych, obawiając się zerwania współpracy z USA. Podobnie było z irańskimi liniami lotniczymi Mahan Air. Zdaniem Grenella transportują one sprzęt wojskowy na Bliski Wschód i wspierają działalność irańskich służb. Waszyngton objął Mahan Air sankcjami już za rządów Obamy, ale dopiero Trump tak wyraźnie „poprosił” niemieckich przyjaciół, aby zrobili to samo. Decyzja Berlina została niewątpliwie podjęta pod naciskiem Grenella, dwa dni przed wizytą ministra spraw zagranicznych Heika Maasa w USA. On sam oczywiście twierdzi, że nie doszło do zmiany paradygmatów w polityce Berlina wobec Teheranu.

Obmyślona strategia

Czasem można odnieść wrażenie, że Grenell nie rozstał się jeszcze z zawodem publicysty. Niekiedy do złudzenia przypomina swojego idola w Białym Domu. Dyskrekcja i kompromisy, czyli wszystko to, co charakterystyczne w działalności dyplomaty, niepomniernie go nudzą. Urzędowanie w stolicy Niemiec rozpoczął od deklaracji, że będzie wspierał alternatywne siły w Europie, bo dostrzega niezadowolenie społeczne z unijnego



Richard Grenell nie unika wydarzeń kulturalnych i towarzyskich. Tu na światowej premierze rewii drag queen Olivii Jones w Berlinie.

że Niemcy chcą amerykańskiej ochrony wojskowej, lecz nie zamierzają zrezygnować z powiązań gospodarczych z Rosją. Z kolei Niemcy zarzucają Trumpowi, że forsuje projekt Trójmorza, aby sprzedawać gaz łupkowy na europejskim rynku.

Niedawno ambasador w Berlinie wysłał kolejny list, tym razem do ministra gospodarki Petera Altmaiera, w którym podpowiada politykowi CDU, by zastanowił się raz jeszcze nad współpracą z chińskim producentem Huawei w sprawie rozwoju sieci 5G na niemieckim rynku, bo inaczej służby USA ograniczą kooperację z wywiadem niemieckim. – Kryzysy zdarzają się w najlepszych małżeństwach, ale Grenell zachowuje się wobec nas jak adwokat rozwodowy – twierdzi Martin Schulz. Tymczasem w redakcji Fox News i w konserwatywnym środowisku w Waszyngtonie Grenell jest obsypywany komplementami jako strażnik amerykańskich interesów w Europie. Wpływowy dziennik „The Hill” uznał jego nominację za jedną z najbardziej trafnych decyzji Trumpa. Sam Grenell uważa się zaś za człowieka o krystalicznym charakterze, którego zmieniła na lepsze choroba nowotworowa. – Nie chcę grozić niemieckim firmom, chciałbym jedy-

establishmentu. Kanclerza Austrii Sebastiana Kurza Grenell nazwał „wschodzącą gwiazdą polityki europejskiej, o której Niemcy mogą tylko pomarzyć”. Można sobie wyobrazić, co działyby się w Białym Domu, gdyby Emily Haber, ambasador RFN w Waszyngtonie, skrytykowała w niemieckiej telewizji ARD politykę migracyjną Trumpa, wychwalając za to np. kanadyjskiego premiera Justina Trudeau, z którego Trump miałby brać przykład.

Prestiżowe stanowisko ambasadora USA w Berlinie ma długą tradycję, raczej sprzeczną z metodami, po które sięga dziś Grenell. Jego poprzednicy też czasem korzystali z pozycji przetargowych wobec RFN, jednak bardziej dyplomatycznie. Siła niemiecko-amerykańskiego sojuszu nie budziła nigdy wątpliwości. Kiedy w 2013 r. zęgnął się z Berlinem ówczesny ambasador Philip Murphy, obecny gubernator New Jersey z ramienia demokratów, miał tylu niemieckich przyjaciół, że na imprezę pożegnalną musiał wynająć stadion olimpijski. Natomiast Grenell po zaledwie kilku miesiącach znalazł się w izolacji. Z drugiej strony trzeba przyznać, że niemieccy politycy zawsze mieli pewne problemy, kiedy w USA do władzy dochodzili republikanie. Gdy w 2003 r. Gerhard Schröder odmówił udziału w operacji wojskowej w Iraku, sekretarz stanu Donald Rumsfeld nazwał Niemcy „starą” Europą, jednocześnie kierując pochwałą na wschód, głow-

nie do Polski. Z niemieckich radioodbiorników wylewała się zaś narracja o „siermiężnym Bushu”, który nie potrafi nawet czytać zwykłej mapy.

– Republikanie już nieraz rozszadzali jedność Europy, to nic nowego – uważa Claudia Kemfert z Niemieckiego Instytutu Badań Gospodarczych (DIW). Zachowanie Grenella wydaje się zatem częścią nie tyle strategii administracji Trumpa, ile ogólnego podejścia amerykańskich konserwatystów do Unii Europejskiej jako projektu politycznego.

Kiedy listy pisze...

To wrażenie jest jeszcze silniejsze, gdy przyglądamy się metodom ambasadora USA w Warszawie, George’a Mosbacher, która z zamiłowaniem pisze „listy” do polskiego rządu, zawierające ostrożne próby nacisku. Gdy w grudniu wyszło na jaw, że reportaż o USA Claasa Relotiusa, dziennikarza wrogiego republikanom „Spiegla”, były wysłane z palca, Grenell nie krył irytacji (PRZEGLĄD 2/2019). Napisał do redakcji hamburskiego tygodnika list z ognistym protestem przeciw rzekomo szerzonemu przez nią antyamerykanizmowi. Wkrótce zasiadł do pisania kolejnego listu, tym razem do niemieckich firm, które angażują się w budowę gazociągu Nord Stream 2. Groził, że ściągną na siebie sankcje, jeśli nie wycofają się z projektu. Dyplomata uskarża się,

W nowym numerze tygodnika „NIE” o tym, jak się uprawia politykę rok świetlny od Warszawy. Na przykład w powiecie dębickim...



► nie jasno przedstawić amerykańską politykę – powtarza.

Najmocniej artykułowanym przezeń rozczarowaniem jest polityka RFN wobec Moskwy. Utrzymuje, jakoby amerykańscy podatnicy nie rozumieli, dlaczego tak silna gospodarka jak Niemcy tak mało inwestuje w NATO.

Dziwna awersja

Reakcje impulsywnych polityków, takich jak Schulz i Kubicki, nie pociągają jednak za sobą lawiny ogólnego oburzenia, rząd federalny na temat Grenella stara się milczeć. Szef dyplomacji Heiko Maas zaznaczył tylko, że „polityka energetyczna Europy jest tworzona w Europie”. Angela Merkel zaś utrzymuje dystans do awanturnika z Waszyngtonu. Im usilniej ten wbija jej szpile, tym spokojniej ona reaguje, karząc go ostracyzmem. Na jej spotkaniu z Trumpem w Białym Domu Grenell wprawdzie był, ale w Berlinie szefowa rządu go nie przyjmuje. Merkel z reguły rzadko spotyka się oficjalnie z ambasadorami, ale np. z Murphym łączyła ją szczerza przyjaźń. Mimo to gdy ostatnio były ambasador chciał wpaść do niej na kawę, musiała mu z ciężkim sercem odmówić. Nie chciała dolewać oliwy do ognia, zapraszając do siebie gorliwego krytyka Trumpa. W końcu zależy jej na dobrych stosunkach z USA, bo Ameryka istotnie może kiedyś obciążyć Nord Stream 2

sankcjami. Zresztą po ostatnich nominacjach prezydenta USA trudno się spodziewać, by jego karuzela personalna wyłoniła kogoś lepszego niż Grenell. Zwłaszcza że nie sposób odmówić mu doświadczenia dyplomatycznego, w odróżnieniu choćby od Georgette Mosbacher. Tak czy owak ambasador pozostaje marionetką Trumpa, który żywi dziwną awersję do ojczyzny przodków.

Wiceprzewodniczący Bundestagu zażądał wydalenia Grenella z kraju.

W przypadku RFN i UE chodzi jednak przede wszystkim o gospodarkę. – O lekceważeniu przez Trumpa Unii świadczy np. obniżenie rangi dyplomatycznej jej przedstawicieli w Waszyngtonie. I nikt nawet się nie pofatygował, aby w Brukseli kogoś o tym poinformować. Natomiast dla Trumpa UE to głównie Niemcy, które są także głównym rywalem na rynku. Żaden z jego poprzedników nie zachowywał się tak mało dyplomatycznie, ale potęgą eksportowa RFN stała w konflikcie z naszymi interesami już za czasów Obamy, który nie zawahał się uderzyć np. w niemiecką branżę motoryzacyjną – tłumaczy Michael Burda, amerykański profesor ekonomii na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie. Grenell pojmuje politykę wobec Europy w podobnych kate-

goriach, wychodząc z założenia, że Berlin jest właściwie stolicą UE, a on sam z tego powodu najważniejszym ambasadorem USA w całej Wspólnocie. Dlatego w Fox News komentuje na bieżąco nie tylko wydarzenia w RFN, ale też rozruchy na francuskich ulicach i kolejne debaty brytyjskich parlamentarzystów o brexicie. Zarazem zdaje sobie sprawę z kredytu zaufania, jakim obdarzył go Trump

– by podzielić UE, klin trzeba wbić najpierw w samo jej serce, czyli stolicę Niemiec. Toteż dyplomata nie jest szczególnie zmartwiony niesnaskami z nie-

mieckimi politykami. Nie szuka w Berlinie sympatii, obecne stanowisko jest dlań trampoliną do odegrania ważniejszej roli w Waszyngtonie. Zależy mu tylko na sumiennym odrobieniu lekcji zadawanych przez Białą Dom. Płaci cenę izolacji w Berlinie, aby wkupić się w łaski swojego mentora.

Szeroko otwarte drzwi

Zresztą Grenell ma w Berlinie kilku przyjaciół. Minister zdrowia Jens Spahn, który podobnie jak on potrafi godzić homoseksualizm z konserwatywnymi poglądami, twierdzi, że rzadko spotykał tak charyzmatycznych polityków. – On przekonuje dopiero na drugi rzut oka – śmieje się polityk CDU. Spahn zauważył, że jego amerykański przyjaciel ma w RFN wielu wrogów, za to szeroko otwarte drzwi do Białego Domu. Niektórzy niemieccy dyplomaci zachodzą w głowę, jakim cudem minister zdrowia tak szybko otrzymał zgodę na spotkanie z doradcą ds. bezpieczeństwa w Białym Domu Johnem Boltonem, podczas gdy oni musieli obejść się smakiem. Natomiast w listopadzie Grenell urządził w swoim berlińskim mieszkaniu huczną imprezę halloweenową, na której rekomendował Spahna na następcę „spalonej” jego zdaniem minister obrony Ursuli von der Leyen.

Amerikanin jest także mile widziany na bankietach AfD i CSU, a wyborcy tych partii chcą robić sobie z nim *selfie* na stołecznych ulicach. I choć współpracownicy odradzają mu spotkania z posłami AfD, on nie waha się wykorzystać ich do pokazania, kogo wspiera w Europie. Pytanie tylko, jak długo niemieckie władze będą przymykać oko na zaczepki małego Trumpa.

Wojciech Osiński

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Zwraca się do Państwa z prośbą o wsparcie działalności naszej organizacji poprzez przekazanie na konto SDRP

1% podatku dochodowego.

Każda wpłata to Państwa wsparcie funduszu pomocy naszym Koleżankom i Kolegom znajdującym się w trudnej sytuacji.

Przekazanie na konto SDRP 1% podatku dochodowego, poszerzy zakres naszych możliwości.

Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej
Zarząd Główny – Nr KRS: 0000043110

Liczy się każda wpłata. Za każdy gest dobrej woli serdecznie dziękujemy.




Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Rozum fka, żeby napisać o olbrzymich nierównościach w Polsce, które sygnalizowały opublikowane ostatnio badania „Jak nierówna jest Europa”, sporządzone przez Thomasa Blancheta, Lucasa Chancela i Amory’ego Gethina z World Inequality Lab – ośrodka związanego z Thomasem Piketty’em, badaczem nierówności, autorem bestsellera ekonomicznego „Kapitał w XXI wieku”, który mimo krytyk przynosi rozległy obraz procesu narastania nierówności w Europie. Polska, jak się okazało, skutecznie potrafiła ukrywać przez lata rzeczywistą skalę nierówności, co niektórzy tłumaczą faktem, że najbogatsi i najlepiej zarabiający po prostu masowo nie wypełniali ankiet na temat swojej zamożności i majątku. Kiedy zastosowano szersze spektrum pozyskania danych (ankietowe – GUS, podatkowe – MF i z rachunków narodowych), wyszło, że Polska jest liderem nierówności w Europie. Jak piszą autorzy omówienia, „10% osób o najwyższych dochodach dysponuje

w książki jako takie”. Jak ktoś ma taki bigos w głowie, to może powinniśmy spokojnie wrócić do nierówności i dywagować o Piketty’em *alla Polacca*. Ale jeszcze nie. Sam Jarosiewicz zmagając się nie od wczoraj z nowoczesnością, zastąpił mobilnym konfesjonalem zamontowanym w dostawczym mercedesie (a może to już jest o nierównościach? Czy pan książkę wypełnił ankietę GUS?), chciał też wypożyczyć od Tatrzańskiego Parku Narodowego krzyż z Giewontu... No, twórczy baca. Tylko owce pogubione, kiedy szamocze się na dawną, ogniową modłę ze złymi mocami. Hierarchowie, jak zawsze, kiedy wyskok dotyczy ich stanu, milczą niemądrością krajobrazu stosów, wykłębłych odszczepieńców, ekskomunikowanych reformatorów, potępionych kobiet i mężczyzn. Prezes od SMS-ów z nieba musi teraz sam zagasić i posprzątać po sobie, a może jeszcze mandat wlepiony za palenie śmieci zapłacić. Co uważam akurat za naprawdę niefortunne – on palił

CO BY TU JESZCZE SPALIĆ, KSIĘŻA?

u nas ok. 40% dochodu narodowego”. To przypomina krajobraz nierówności w USA, co może tłumaczyć polską irracjonalną fascynację Wielkim Bratem i bezkrytyczne zapatrzenie w niego. Rozum pcha w stronę rozważań, dlaczego nierówności w ogóle, a w takim rozmiarze w szczególności, to ZłO (czy jak piszą młodzi „zuo”), a równość i lepsza, i sympatyczniejsza, i korzystniejsza dla większości oraz całego społeczeństwa (tu zawsze nie dosyć polecenia i przypominania klasycznej pozycji Richarda Wilkinsona i Kate Pickett „Duch równości. Tam, gdzie panuje równość, nawet bogatszym żyje się lepiej”). Jednak felietonistyczna dusza i woreczek żółciowy felietonisty wyją, żeby maglować palenie książek, słoników z podniesioną trąbą, maski afrykańskiej i Hello Kitty przez księży w Gdańsku, którzy awangardowo – z prezentacją w mediach społecznościowych – postanowili odnowić wielowiekową tradycję palenia niewygodnych książek (a potem heretyków i tzw. czarownic), ten, wydawałoby się, wstydlivy w drugiej dekadzie XXI w. proceder. Pewnie można zrozumieć tęsknotę bezradnego umysłu kapłanów, urojenia, że magicznym aktem spalenia uda się pokonać „złe moce” potężnego maga Harry’ego Pottera czy nawet groźniejszej, bo pozornie niewinnej, Hello Kitty, kotka bez ust, japońskiej postaci z kreskówek powstałej jeszcze w latach 70. Jeśli duch wieje, kędy chce, to szatanisko może być kotkiem w różowościach.

Rafał Jarosiewicz, książdź i prezes fundacji, a jakże, SMS z Nieba (operator nieznany, a może trzeba dużą literą, Nieznany), najpierw spalił (ale się nie zaczytywał) „Harry’ego Pottera”, sagę „Zmierzch”, wspomnianego słonika z podniesioną trąbą (gdybyś ty, nieszczęsny słoniku, miał trąbę opuszczoną jak nos na kwintę...), a następnie szybko podjął jeszcze bardziej nieudaną próbę przeprosin: „To było niefortunne, nikogo nie chciałem urazić, spalenie książek nie było wymierzone

wroga, którego tylko potraktował jak śmieci. Pewnie warto tu jednak zauważyć inną prawidłowość – symbolicznie to pochodnie płonące na Jasnej Górze, niesione przez polskich faszystów i faszystki, przy błogosławieństwie Kościoła podłożyły ten ogień w realnie odległym Gdańsku. Tu jest prawdziwa odpowiedzialność, na tej linii.

Pochylę się teraz nad teoretycznie słusznym oświadczeniem dystansującym się od palenia książek – tekstem Biblioteki Narodowej. Czyżby, jeśli nie jej, uczucia religijne winny być tym aktem spalenia urażone? Biblioteka napisała: „Publiczne spalenie książek w Polsce budzi wyjątkowe skojarzenia. Odsłania historyczne konteksty, zwłaszcza tu – w kraju dotkniętym w sposób wyjątkowo okrutny barbarzyństwem totalitaryzmów, które z palenia książek uczyniły symbol zniszczenia; w kraju, w którym w czasie II wojny światowej zniszczono 70% zasobów bibliotek; którego Biblioteka Narodowa jako symbol niepodległości została świadomie podpалona przez niemieckich okupantów i w rezultacie niemal całkowicie unicestwiona”.

Przy tej kuriozalnej okazji, gdzie sprawcą jest przedstawiciel potężnej instytucji, roszczącej sobie prawo do nauczania, a nawet mającej prawo uczyć w szkole (jak wytłumaczyć dzieciom w klasie, że książdź pali jedyną taką książkę, którą czytają same z siebie, a nie z przymusu?!), pojawia się jak *deus ex machina* widmo „totalitaryzmów”, chociaż wszystkie przywołane przykłady zniszczeń i barbarzyństwa odnoszą się do hitlerowskiego faszyzmu. Miał komunizm wspólną z Kościołem brzydką kartę cenzury książek i tekstów, ale publiczne palenie książek „niechcianych i niewygodnych” nie weszło tam nigdy do symbolicznego imaginarium, inaczej niż w przypadku faszyzmu z niezapomnianymi obrazami z Berlina z 1933 r. (pisał o tym naoczny świadek Antoni Sobański). Mniej dymu, więcej lektur, chciałoby się zaapelować do narodowej księżnicy.

Pamela Anderson pod Stalingradem

Ruch Europejska Wiosna stworzył pierwszą w historii Unii Europejskiej ponadnarodową listę wyborczą

Organizacja Diem25 jest silna w Niemczech.



Łukasz Dąbrowiecki

Paneuropejska organizacja DiEM25 (Democracy in Europe Movement 2025, Ruch Demokracji w Europie 2025) zaprezentowała Nowy Zielony Ład dla Europy. Wraz z afiliowanymi partiami w ramach listy wyborczej o nazwie Europejska Wiosna proponuje natychmiastowe zmiany w polityce finansowej Unii, koniec cięć i rozpoczęcie inwestycji w zieloną i – jak mają nadzieję – post - kapitalistyczną przyszłość. Będzie można na nich głosować już w maju.

Obywatelskie przejęcie instytucji europejskich

25 marca nieopodal brukselskiej dzielnicy o wdzięcznej nazwie Stalingrad, w sali teatralnej BOZAR, czyli Pałacu Sztuk Pięknych, ruch Europejska Wiosna zainaugurował swoją europejską kampanię wyborczą. Wydarzenie to, nazwane obywatelskim przejęciem instytucji europejskich (*A citizen takeover of the european institutions*), jest momentem przełomowym. Stworzona została pierwsza w historii UE ponadnarodowa lista wyborcza jednocząca pod wspólnymi hasłami i ze wspólnym programem

polityczki i polityków od Skandynawii po Grecję i od Półwyspu Iberyjskiego po byłą Jugosławię. Współtworzona jest również przez Polki i Polaków.

– Kiedy odebrano nam parlamenty, przejęliśmy teatry, aby dyskutować nad przyszłością Europy! – wołał ze sceny Janis Warufakis, będący liderem listy Europejskiej Wiosny. Nawiązywał tym do pierwszego spotkania sprzed dwóch lat w berlińskim teatrze Volksbühne. Wtedy wraz z pochodzącym z Chorwacji pisarzem i aktywistą Srećką Horvatem oraz działaczami z różnych stron Europy zarysowali projekt stworzenia paneuropejskiego lewicowego ruchu politycznego.

Bezpośrednim impulsem do jego budowy była porażka Warufakisa w negocjacjach z Trojką (zespołem złożonym z Komisji Europejskiej, Europejskiego Banku Centralnego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego). Trojka odrzuciła program wyciągnięcia Grecji ze spirali zadłużenia przy jednoczesnej ochronie usług publicznych przed drażniącym spekulacyjnym kapitałem prywatnym. Odrzuciła politykę solidarności na rzecz polityki eksploatacji.

Obok Warufakisa na scenie w Brukseli zasiedli zarówno aktywiści i aktywistki nieznani szerszej publiczności, jak i osoby rozpoznawalne, np. były

kandydat na prezydenta Francji, lewicowy dysydent Partii Socjalistycznej i twórca Génération.s, Benoît Hamon. – Musimy znów uczynić politykę *sexy*! – Warufakis nawiązał do wypowiedzi kolejnej uczestniczki wydarzenia, Pameli Anderson. Kanadyjka z pochodzenia, będąca obecnie rezydentką Francji, postanowiła wesprzeć rodzącą się formację swoją rozpoznawalnością medialną – aktorka znana z seriali „Słoneczny patrol” czy „V.I.P.” identyfikuje się jako feministka, działa na rzecz praw zwierząt, a pod koniec zeszłego roku zasłynęła wnikliwą analizą i obroną francuskiego ruchu Żółtych Kamizelek.

Uczestnicy ruchu uważają, że państwa narodowe nie potrafiły ochronić obywateli i obywateli przed miazdzącą machiną kapitalizmu. Indywidualnie nie poradzą sobie również z powiązanymi kryzysami: klimatycznym, migracyjnym, ekonomicznym. Europa tkwi w prawicowym klinchu, między liberalnym establishmentem spod znaku *business as usual*, niezamierzającym niczego zmieniać w nierównych relacjach społecznych, a faszyzującymi nacjonalistami fałszywie prezentującymi się jako alternatywa wobec zjednoczonej Europy. – Nie byłoby Macrona bez Le Pen, nie byłoby Salviniiego bez Macrona i Junckera – mówił Warufakis.

Europa nie jest wyłącznie biała!

Green New Deal jest przede wszystkim planem inwestycji w wysokości 500 mld euro rocznie w infrastrukturę i zielone technologie. To także, jak podkreśliła austriacka kandydatka Europejskiej Wiosny Daniela Platsch, plan gwarancji zatrudnienia. – Zaoferujemy każdemu pracę, opłacaną w wysokości umożliwiającej godne życie – mówiła.

– Możemy to robić od jutra, z wykorzystaniem już istniejących europejskich instytucji. W tej chwili w europejskim obiegu bankowym zalegają nieinwestowane 3 tryliony euro – wtórował jej ekonomista i były minister finansów Warufakis. – Europejski Bank Inwestycyjny zgodnie z naszym planem będzie emitował obligacje w wysokości 500 mld euro przez pięć lat. Te obligacje będą się sprzedawać jak ciepłe bułeczki. W Niemczech wielu ludzi chomikuje pieniądze i nie wie, co z nimi zrobić. Zainwestujemy je w zielony przemysł, zielony transport i rolnictwo. Mamy plan.

Jednak ów plan to nie tylko ukrócenie polityki cięć przez inwestycje, to cięcia dla arystokracji pieniądza. To koniec braku transparentności w przepływie kapitału i władzy między instytucjami europejskimi a biznesem.

– *Welcome to Brussels!* – wołają do zgromadzonych belgijscy kandydaci z listy Europejskiej Wiosny Laurent de Sutter i Rosita Allickx. – Witamy w Brukseli! Witamy w mieście, w którym na 30 tys. pracowników instytucji europejskich przypada 30 tys. lobbystów, ludzi o niejasnym statusie i nieujawnionym wpływie na legislację. Tutaj każdemu pracownikowi instytucji odpowiada jego cień, a przepływy między tymi grupami nie należą do rzadkości.

– Transparentność jest powietrzem, którym oddycha demokracja! – mówią liderzy Europejskiej Wiosny. Wszystkie europejskie dokumenty mają być publicznie dostępne, wszystkie spotkania organów europejskich transmitowane *online*. Żadnych złotych wiz dla bogatych – wszyscy mają podlegać temu samemu prawu wizowemu w UE. Wprowadzenie ochrony sygnalistów na terenie całej Unii. Koniec rajów podatkowych – banki, korporacje i osoby indywidualne, które nie będą mogły udowodnić, jakie interesy prowadzą w rajach podatkowych, zostaną obję-

te zakazem prowadzenia działalności na terenie UE, a nawet mogą zostać pozbawione praw własności. Ostatnie postulaty wywołują gromki aplauz sali.

Kandydatki i kandydaci z Grecji, Danii i Francji zapowiadają koniec oligarchicznej Europy. Europejska Wiosna będzie walczyć o reformę instytucji unijnych. Parlament Europejski miałby prawo wyboru Komisji Europejskiej i osoby na funkcję prezydenta UE, a także odwoływania jej poprzez wotum nieufności. Nowy ruch będzie się domagać zwołania zgromadzenia, które byłoby władne spisać prawdziwą europejską konstytucję.

Europa tkwi w prawicowym klinczu między liberalnym establishmentem a faszyzującymi nacjonalistami.

To nie znaczy, że z pola widzenia stracono europejską lokalność. Europejska Wiosna współpracuje z burmistrzami „zbuntowanych miast” – nie tylko w zakresie polityki integracyjnej, ale też wspierając np. postulaty rekomunalizacji sprywatyzowanych usług publicznych.

– Europa nie stwarza możliwości pełnej integracji migrantów, którzy czują się osobami drugiej kategorii i dlatego nie biorą udziału w procesie politycznym – grzmi czarnoskóra Portugalka Joacine Katar Moreira. – Ale nie ma co się czarować, nawet wygląd tej sali o tym świadczy. A Europa nie jest wyłącznie biała!

Paneuropejskie listy

Na brak reprezentacji mniejszości zwraca uwagę również Joanna Bronowicka. Od kilku lat jest członkinią Razem. Będzie startować obok Janisa Warufakisa z berlińskiej listy partii Demokratie in Europa. Joanna zawodowo zajmuje się wpływem nowych technologii na środowisko pracy i jest związana z Uniwersytetem Viadrina. W PE chciałaby się skupić na ponownym uregulowaniu rynku pracy, likwidacji śmieciówek oraz wyrównaniu praw i płac osób zatrudnionych poza krajem pochodzenia. – To m.in. problem pracowników delegowanych. Kilkaset tysięcy Polaków pracuje w ten sposób np. w Niemczech i we Francji. Według regulacji ustalonych tu, w Brukseli, pozwala się płacić tym ludziom mniej, ale również nie opłacać składek w kra-

jach, z których pochodzą. Przede wszystkim musimy też zharmonizować opiekę społeczną, tak żeby każdy, kto płaci składkę do systemu, wiedział, że niezależnie od tego, dokąd się wyprowadzi na terenie Unii, otrzyma swoje świadczenia w postaci zasiłku czy emerytury – mówi.

Na scenie w BOZAR prezentowała postulaty dotyczące równości praw kobiet, polityki integracyjnej migrantów, a także równego traktowania osób LGBT+. – Częścią mojej biografii politycznej jest współpraca z migrantami. W Polsce – z emigrantami ukraińskimi, we Francji – z Senegalami i z Mali,

w Stanach – z brazylijskimi. Ze względu na to wybrano mnie z grona Europejskiej Wiosny do przedstawienia tych punktów programu. W Berlinie zaś jako emigrantki stałyśmy się awangardą walki o prawa kobiet w Europie. I jesteśmy autentycznie wkurzone, bo co to jest, że gdy w Polsce wybucha np. czarny protest, na forum europejskim muszą mówić w naszym imieniu parlamentarzystki ze Szwecji i z Niemiec! Brakuje nam własnej reprezentacji – to musi się zmienić!

Na Joannę Bronowicką i na dwójkę innych kandydatów z Polski na liście Demokratie in Europa, Mirka Woźniaka i Renatę Kamińską, mogą głosować zarówno Niemcy, jak i wszyscy obywatele Unii mieszkający w Niemczech, którzy do 5 maja zgłoszą w urzędzie miasta chęć głosowania w miejscu zamieszkania.

Europejska Wiosna przeciera ścieżki organizacyjne i prawne. Partia Demokratie in Europa została zarejestrowana kilka miesięcy temu, aby w niemieckich warunkach sprawdzić możliwość budowania międzynarodowej listy.

Już dziś w sieci możemy sprawdzić, którzy z obecnych europarlamentarzystów głosują w sposób najbliższy naszym opiniom. Często okazuje się, że nasze poglądy lepiej reprezentują Hiszpanki, Szkoci czy Francuzi, a nie przedstawiciele wyłonieni w Polsce. Niewykluczone, że w przyszłości będziemy mogli głosować na listy paneuropejskie. Stworzenie takiego rozwiązania jest jednym z postulatów Europejskiej Wiosny. ■

Tomasz Skowronek

Tysiące członków i sympatyków włoskiej Partii Demokratycznej na początku marca ustawiło się w kolejkach do punktów ulicznych, w których głosowano na lidera obecnie największego centrolewicowego ugrupowania nad Tybrem. Liczy ono prawie 1,7 mln członków. Miejsca, gdzie można było głosować, zorganizowano na placach, skwerach i w parkach, a nawet za granicą.

Zdecydowane zwycięstwo odniósł Nicola Zingaretti, który pokonał Roberta Giachettiego, polityka centrowego porównywanego do poprzedniego lidera Partii Demokratycznej, byłego premiera Mattea Renzi'ego, i Maurizio Martiny, pełniącego kiedyś funkcję ministra rolnictwa.

Koniec epoki Renzi'ego

Wybory przewodniczącego miały m.in. pokazać, że lewicowe włoskie centrum jednak żyje, mimo że PD w ciągu pięciu lat zanotowała potężny spadek poparcia z 40% do zaledwie 19%. Demokraci pragną przekonać Włochów, że są wiarygodną przeciwwagą dla rządzącej koalicji.

– Dziękuję Włochom, które nie uginają się pod niebezpiecznym rządem. Musimy ożywić partię i stworzyć nowe sojusze – powiedział Zingaretti w przemówieniu zaraz po ogłoszeniu wyników. – Partia Demokratyczna musi się opierać na chęci zmiany i jedności. Dostajemy już niezrozumienia i oddalania się od potrzeb ludzi. (...) Nie chcemy tylko krytykować przeciwnika i być opozycją dla rządu. Jesteśmy tu, gdyż jesteśmy przekonani, że możemy zaproponować rozwiązania o wiele lepsze od prezentowanych przez obecny rząd.

Nowy przywódca zaznaczył, że jego partia musi odejść od centryzmu i liberalizmu, stać się sensowną i aktywną opozycją wobec polityki Salvini'ego, poświęcać więcej uwagi kwestiom socjalnym i nierównościom społecznym oraz zaprezentować rzeczowy program skierowany do biednych i bezrobotnych Włochów.

W Partii Demokratycznej już od dłuższego czasu dochodziło do poważnych starć między starą gwardią, usiłującą skierować partię na socjaldemokratyczne tory, a tzw.

Zingaretti zakopuje topór

Nowy lider włoskiej centrolewicy chce doprowadzić do porozumienia różnych środowisk lewicowych



Nicola Zingaretti zyskuje sympatię bezpośrednio w kontaktach z ludźmi.

renzistami (od nazwiska byłego premiera Włoch) twierdzącymi, że ugrupowanie powinno podążać raczej w stronę liberalizmu promowanego przez Emmanuela Macrona we Francji. Zingaretti wyraźnie reprezentuje tę pierwszą opcję. W przemówieniu zaapelował o uspokojenie napięć wewnętrznych. Wezwał zarówno swoich zwolenników, jak i przeciwników do zakopania topora wojennego i zjednoczenia się, aby pokonać „niebezpieczną falę skrajnej prawicy”.

Dziennik „La Repubblica” pisze, że przed Partią Demokratyczną otwiera się nowy rozdział, a zwycięstwo Zingarettiego, cieszącego się prawie 67-procentowym poparciem, to ostateczne zakończenie epoki byłego premiera Renzi'ego, który po przegranej w wyborach parlamentarnych w 2018 r. zrezygnował ze stanowiska sekretarza generalnego partii. Turyńska „La Stampa” porównuje nowego lidera do radykalnego lewicowego polityka Jeremy'ego Corbyna, przewodniczącego brytyjskiej Partii Pracy. Natomiast

największy francuski dziennik „Le Monde” przewiduje, że partia przesunie się mocno na lewo i spróbuje odzyskać wielu lewicowych wyborców, których utraciła pod rządami Renzi'ego.

– Bardziej lewicowa pozycja jest naturalna, kiedy twoim głównym rywalem jest nacjonalistyczna prawica... Ale Zingaretti nie jest radykałem, nie należy go porównywać do Jeremy'ego Corbyna – zaznacza Andrea Romano, dziennikarz i członek Partii Demokratycznej. Jego zdaniem nowego lidera można określić raczej jako umiarkowanego socjaldemokratę.

Starszy brat komisarza Montalbana

Choć Nicola Zingaretti uchodzi za rozpoznawalnego polityka, większość Włochów bardziej kojarzy jego młodszego brata Lucę – aktora wcielającego się w postać komisarza Montalbana w popularnym serialu nadawanym na kanale Rai 1 (jeden z odcinków miał aż 11 mln widzów).

Zingaretti urodził się w Rzymie w 1965 r. Jego ojciec był menedżerem w banku, matka zaś Włoszką żydowskiego pochodzenia – podczas II wojny światowej udało się jej wraz z babcią Zingarettiego uciec przed nazistami. Prababka polityka Ester Della Torre zginęła w obozie koncentracyjnym Auschwitz. Rodzinne doświadczenia z pewnością wpłynęły na antyrasistowskie poglądy nowego lidera lewicy. Był on jednym z założycieli stowarzyszenia *Nero e non solo!* (Czarne i nie tylko!), które promowało tolerancję.

W politykę Zingaretti zaangażował się już w wieku 17 lat. Skłoniła go do tego książka „*L'Agnese va a morire*” („Agnieszka idzie na śmierć”) Renaty Viganò, opowiadająca o małżeństwie, które w swojej chacie udzieliło schronienia włoskiemu dezertrowi. Gdy sprawa wyszła na jaw, mąż głównej bohaterki został aresztowany i wywieziony do Rzeszy, a ona sama przyłączyła się do konspiracji.

W połowie lat 80. Zingaretti zapisał się do młodzieżówki Partii Komunistycznej. W tym czasie czytał Karola Marksa i włoskich lewicowych intelektualistów: Piera Paola Pasoliniego i Antonia Gramsciego. Do dziś tego ostatniego uważa za jednego ze swoich politycznych idoli. Drugim politykiem, na którego często się powołuje, jest Aldo Moro – były premier związany z chadecją, brutalnie zamordowany przez Czerwone Brygady w 1978 r.

W ruchu młodzieżowym Zingaretti doszedł do funkcji przewodniczącego Międzynarodowego Związku Młodzieży Socjalistycznej i wiceprzewodniczącego Międzynarodówki Socjalistycznej, co umożliwiło mu nawiązanie ważnych kontaktów zagranicznych. Miał okazję poznać m.in. Nelsona Mandelę, Billa Clintona, Szimona Peresa czy Felipe Gonzáleza. Był także zaangażowany w promowanie procesu pokojowego między Izraelem a Palestyną. Zorganizował wiele inicjatyw wspierających dialog między izraelską Partią Pracy a organizacją Al-Fatah. Przygotowywał też podróż Dalajlamy do Rzymu.

W 2004 r. został eurodeputowanym i od tamtego czasu jego kariera polityczna nabrała tempa. Cztery lata później wybrano go na urząd prezydenta prowincji Rzym, a w 2013 r. z powodzeniem ubiegał się o urząd

prezydenta regionu Lacjum i w ubiegłym roku jako jedyny prezydent w historii tego regionu utrzymał stanowisko na drugą kadencję.

Specjalista od kompromisów

Według Zingarettiego porozumienie różnych środowisk lewicowych to jedyny sposób, by zmarginalizować antyeuropejskie ugrupowania, które wraz z narastającym kryzysem gospodarczym i migracyjnym także rosną w siłę. Zamierza on zbudować sojusz obejmujący lewą stronę sceny politycznej, m.in. z takimi partiami jak +Europa byłej komisarz europejskiej ds. zdrowia i ochrony konsumentów Emmy Bonino. Spotkał się też z Federikiem Pizzarottim – burmistrzem Parmy, który odszedł z Ruchu Pięciu Gwiazd i założył własne ugrupowanie Italia in Comune.

– Zingaretti bardzo dobrze wie, jak tworzyć sojusze i szerokie koalicje – przyznaje Andrea Romano, a Paola De Micheli, członkini Partii Demokratycznej, dodaje: – Jest osobą bardzo powściągliwą i niezwykle solidną. Zawsze unikał bezpośrednich konfrontacji i zamiast kłócić się, woli szukać platformy porozumienia.

Niektóre włoskie media sugerowały nawet, że nowy lider centrolewicy byłby w stanie dogadać się z rządzącym Ruchem Pięciu Gwiazd.

Wielu Włochów nie popiera polityki obecnego rządu i mogłoby zagłosować na nowoczesną socjaldemokrację.

Faktem jest, że polityka Zingarettiego w zakresie ochrony środowiska, pracy i spraw społecznych jest zbliżona do polityki M5S. W rozmowach z dziennikarzami nowy lider podkreśla, że walczy o przywrócenie sprawiedliwości społecznej. Politycy Partii Demokratycznej liczą na to, że przestanie Zingarettiego trafić do wszystkich, którzy obawiają się o swój dobrobyt i pozycję społeczną. W ten sposób planują przejąć część elektoratu M5S.

Renziści z kolei obawiają się, że odzyskanie niezadowolonych wyborców lewicowych i należących do klasy robotniczej może się odbyć kosztem utraty poparcia przedstawicieli klasy średniej i zwolenników liberalizmu. Sprzymierzeńcy nowe-

go lidera PD uważają jednak, że jeśli ich partia nie przejdzie metamorfozy, może skończyć tak jak jej odpowiedniki – PASOK w Grecji czy Partia Socjalistyczna we Francji – których miejsce zajęły ugrupowania tzw. nowej lewicy bądź populistyczne.

Ponadto zmiana kierunku partii na bardziej liberalny spowodowała, że centrolewica straciła sporo wyborców w Emilii-Romanii i Toskanii, uchodzących do tej pory za bastion lewicy. W tokańskich miastach, m.in. w Sienie, Pizie czy Massie, po kilkudziesięciu latach lewica straciła władzę na rzecz prawicy bądź Ruchu Pięciu Gwiazd.

Członkowie PD mają nadzieję, że nowa strategia nie tylko pozwoli odzyskać dawnych wyborców w Toskanii, ale również wywinduje ich kandydata na fotel premiera, a przynajmniej sprawi, że socjaldemokraci ponownie staną się potężnym graczem na włoskiej scenie politycznej. Wydaje się, że rozwój wypadków może sprzyjać Zingarettiemu. Zapowiadane przez M5S rewolucja społeczna, walka z korupcją i poprawa jakości życia pozostają w sferze haseł, a wyniki gospodarcze są coraz bardziej niepokojące. Powstają nowe ruchy obywatelskie sprzeciwiające się polityce rządu, oskarżanego o skłonności autorytarne. Burmistrzowie różnych włoskich miast (m.in. Florencji, Neapolu czy

Palermo) próbują realizować własną politykę, sprzeciwiając się głównie decyzjom ministra spraw wewnętrznych Mattea Salvini. 2 marca ponad 200 tys. ludzi demonstrowało w Mediolanie przeciwko rasizmowi i polityce migracyjnej rządu. To pokazuje, że wielu obywateli nie popiera polityki obecnego rządu i mogłoby zagłosować na nowoczesną socjaldemokrację.

W najnowszym sondażu Partia Demokratyczna po raz pierwszy od czasów przegranej w wyborach parlamentarnych w marcu 2018 r. wyprzedziła Ruch Pięciu Gwiazd. Jednak najbliższym sprawdzianem dla Zingarettiego będą wybory do Parlamentu Europejskiego pod koniec maja. ■

Nie tak miało być

Za analfabetyzm polityczny wcześniej czy później trzeba będzie zapłacić cywilizacyjną zapaścią

Czesław Sikorski

Transformacja ustrojowa budziła w Polsce wielkie nadzieje. Wzorem dla nas były kraje Europy Zachodniej, w których wolny rynek i demokracja liberalna wydawały się szczytowym osiągnięciem ludzkości, zapewniającym dobrobyt i ład społeczny. Rynek w Polsce szybko stawał się coraz bardziej atrakcyjny. Siermiężne czasy kolejek, kartek żywnościowych i talonów zacierały się w pamięci. Jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać wielkie centra handlowe, oferujące w sklepach produkty światowych marek i zachęcające do spędzania czasu w licznych restauracjach, kinach lub kręgielniach. Pojawiły się nieznane dotąd możliwości wypoczynku i rekreacji. Zamiast ubogich w atrakcje placów zabaw – urzekające ich bogactwem figloraje dla dzieci. Zamiast zwykłych pływalni miejskich i parków dla spacerowiczów – aquaparki, parki tematyczne na wzór Disneylandu, parki linowe, ścianki wspinaczkowe, tereny do gry w paintball, siłownie itp.

Nic dziwnego, że szansa na zaspokojenie potrzeb dotychczas tłumionych lub zupełnie nieznanymi urzekła polskich konsumentów. Z entuzjazmem rzucili się w wir kampanii marketingowych i promocji – każdy nowo otwierany dyskont był oblegany przez klientów zachęconych sugestywną reklamą. Tak rodził się i umacniał w Polsce konsumpcjonizm, nurt kreowany przez biznes za pomocą reklamy i środków masowego przekazu, widzący w pożądanym i posiadaniu dóbr materialnych sposób na udane życie. Firmy walczyły o klienta za pomocą coraz bar-



dziej wyszukanych i agresywnych działań promocyjnych. Działania te, natrętne i powszechne, kształtowały potrzeby, aspiracje i styl życia. Przyczynił się do tego także rozwój środków masowego przekazu, a zwłaszcza telewizji i internetu. W dzisiejszym świecie przeważająca część wiedzy ludzi o rzeczywistości społecznej i ekonomicznej pochodzi nie z bezpośredniej obserwacji i doświadczenia, ale z mediów. Ci, którzy często oglądają telewizję, wytworzą sobie różne przekonania na temat świata, zgodne nie tyle z rzeczywistością, ile z jej telewizyjnym obrazem.

Zauroczeni potęgą marketingu

W przeciwieństwie do krajów zachodnich, w których społeczeństwa

stopniowo dojrzewały do kultury wolnego rynku i demokracji liberalnej, w Polsce zmiana ustrojowa nastąpiła gwałtownie i w zupełnie innym kontekście kulturowym. W odniesieniu do marketingowego oblicza kapitalizmu zabrakło nam dystansu i umiejętności krytycznej oceny. Stąd tendencja do całkowitego nim zauroczenia, co oznacza podatność na rozmaite uproszczenia i mity.

Działania stosowane we współczesnym marketingu szybko przeniosły się na grunt polityki. Widać tutaj silny wpływ adeptów psychologii stosowanej zajmujących się kształtowaniem wizerunku publicznego osób aspirujących do pełnienia ważnych funkcji. Ich rola wzrasta niepomnie w kampaniach wyborczych, w których rozmaici spin doktorzy pracują usilnie nad wrażeniem, które w odbiorze społecznym ma wywołać kandydat odpowiednio ubrany, odpowiednio gestykulujący i mówiący w spo-

sób uwodzący słuchaczy. Wyborcom trzeba umieć sprzedać atrakcyjną dla nich legendę.

Tysiące ludzi pracują dziś nad rozwojem fałszywych potrzeb i fałszywej świadomości.

Wizerunkowe szaleństwo polityków w kampaniach wyborczych, poszukiwanie emocjonalnych narracji i tworzenie mitów, aby przekonać i uwieść wyborców, do złudzenia przypomina współczesną propagandę rynkową, a zarazem ośmiesza, a przez to niszczy, demokrację, nadając jej wymiar ludyczny i infantylny. Wiece i spotkania z wyborcami mają najczęściej charakter festynu, na którym jest kolorowo, głośno

i wesoło. Można tam coś zjeść, posłuchać muzyki, a także nośnych haseł, które wywołują zaplanowany entuzjazm, nie psując przy tym zabawy swoją treścią, która zmuszałaby do głębszych refleksji. Zarówno we współczesnym biznesie, jak i w polityce usiłuje się nadawać znaczenie detalom i sprawom marginalnym, a nie zasadniczym. Upowszechniając taką postawę spece od reklamy, marketingu i *public relations*, rozmaici trenerzy osobiści, wizażyści i spin doktorzy. Są to specjaliści od stwarzania wrażeń. Tysiące ludzi pracują dzisiaj nad rozwojem fałszywych potrzeb i fałszywej świadomości. Dzięki temu bowiem łatwiej można pozyskać zarówno klientów, jak i elektorat.

Charakterystyczne dla działań propagandowych jest dążenie do uproszczeń i powierzchowności. Przekaz informacyjny kieruje się na wywoływanie emocji, a nie odwoływanie do rozumu. Informacja musi być krótka, jednoznaczna, pozbawiona wątpliwości, musi uruchamiać określone potrzeby lub resen-

tymenty. Opinię publiczną dobrze jest epatować skandalami i aferami. Afera goni zatem aferę, bo w czasach powierzchowności nikt nie ma ochoty zbyt długo zajmować się poszczególnymi sprawami, wnikać

Przekaz informacyjny skierowany jest na wywoływanie emocji, a nie odwoływanie się do rozumu.

w motywy i okoliczności. Ludzie lubią sensacje, ale szybko się nudzą. Dlatego trzeba im dostarczać ciągle nowych podniet i uwodzić ich nowymi obietnicami. Telewizja dawno porzuciła ambicje kształtowania gustów. Liczy się wyłącznie oglądalność.

Postępujący infantyizm

Skutkiem wszechobecnego PR jest postępujący infantyizm dużych grup społecznych. Politycy PiS czę-

sto tak właśnie traktują obywateli. Beata Szydło, która na konwencji Zjednoczonej Prawicy cieszy się, jak wspaniały prezent zrobił Polakom prezes Kaczyński obietnicami socjalnymi, traktuje elektorat jak dzieci, które powinny okazać wdzięczność dobremu wujkowi. Mateusz Morawiecki, który na wiecu domaga się, aby zebrani odpowiedzieli, czy to dobrze, czy źle, że PiS realizuje swój program socjalny, zwraca się do ludzi jak do przedszkolaków.

O infantyлизmie świadczy tendencja do pozbywania się odpowiedzialności. Klienci przyzwyczajeni do gorliwych zabiegów sprzedawców rozmaitych usług łatwo przenoszą na nich odpowiedzialność za siebie. Wymownym przykładem może być reakcja turystów, którzy zbyt długo zabawili nad Morskim Okiem i przegapili możliwość powrotu wozem konnym – zażądali zwiezienia ich pojazdami TOPR i policji. Widać, przywykli do tego, że firmy, z których usług korzystają, oferują im *full service*. Wielu ludzi skłonnych jest również odpowiedzialność za siebie ▶

BRAKUJE CI KLIENTÓW? CHCESZ SIĘ WYPROMOWAĆ? NA CO CZEKASZ? TU MOŻE BYĆ TWOJA FIRMA!

Tylko teraz w supercenie!

1200 zł (+ VAT) za kolorową reklamę (175 x 121 mm) w tygodniku PRZEGLĄD

Nie masz grafika ani pomysłu?

Nie martw się, przygotujemy Twoją reklamę GRATIS

**Wykup miejsce w podwójnym wydaniu na majówkę i zyskaj!
Twoja reklama tydzień dłużej w kioskach**

Zapraszamy do współpracy: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl, tel.: 22 635 84 10 wew. 111

► powierzyć politykom – niech oni zajmują się sprawami publicznymi i nie zwracają nimi głowy zwykłym obywatelom. Ale kiedy potem nie są zadowoleni z obrotu spraw w kraju, obrażają się i albo radykalnie zmieniają preferencje wyborcze, albo w ogóle nie uczestniczą w wyborach. Stara to prawda, że politycy są tacy jak ich wyborcy.

W tych warunkach więzi społeczne ograniczają się do członków rodziny, grona znajomych i lokalnych grup interesów. Brakuje chęci angażowania się w sprawy publiczne, ważne dla całego kraju. Oznacza to słabość społeczeństwa obywatelskiego. Poziom zaangażowania obywatelskiego mierzony aktywnością w organizacjach pozarządowych jest w Polsce jednym z najniższych w Europie. Tymczasem warunkiem dobrego funkcjonowania systemu demokratycznego jest silne społeczeństwo obywatelskie, będące w stanie równoważyć wpływy sfery biznesu i polityki. Inteligenckiej tradycji zaangażowania w sprawy publiczne często przeciwstawia się u nas koncentrację na konsumpcji i życiu prywatnym, traktowaną jako przejaw normalności.

W Polsce oznaczało to rozprawienie się z inteligencją, jako warstwą ponoć niestudnie wyniesioną ponad inne, bo mało dynamiczną i niewyczuwającą trendów rozwojowych współczesnego kapitalizmu. Źródeł rozwoju społecznego szuka się w klasie średniej, której zasadniczym elementem stali się przedsiębiorcy z ich dążeniem do sukcesu ekonomicznego. Konsumpcja była

Beata Szydło traktuje elektorat jak dzieci, które powinny okazać wdzięczność dobremu wujkowi.

czymś nowym i upragnionym, więc dążenie do posiadania coraz nowszych gadżetów uznano za symbol dobrostanu społecznego. W ślad za tym pojawiła się prostota w tłumaczeniu rzeczywistości, zachodzących w niej zjawisk i procesów; prostota w określaniu kryteriów sukcesu i sposobów jego osiągania. Zamiast myślenia krytycznego i wsłuchiwania się w opinie profesjonalnych autorytetów świadomością spo-

łeczną zaczęły rządzić wyniki sondaży, rankingi popularności, rozmaite gwiazdki i lajki w portalach społecznościowych. Skutek jest taki, że w Polsce upadło czytelnictwo. Niemal połowa Polaków ma problemy ze zrozumieniem tekstu, więc woli nie czytać w ogóle. Szerzy się analfabetyzm funkcjonalny. Według badań przeprowadzonych przez Bibliotekę Narodową w 2017 r., tylko 38%

Świadomością społeczną rządzą wyniki sondaży, rankingi i lajki w portalach społecznościowych.

Polaków przeczytało w ciągu roku przynajmniej jedną książkę. W porównaniu do 2004 r. jest to spadek aż o 20%. Prognozy na temat społeczeństwa opartego na wiedzy wydają się w tej sytuacji absurdalne. Jak bowiem można zbudować społeczeństwo oparte na wiedzy bez wiedzy?

Iluzja łatwego życia

Czy w tej sytuacji może dziwić zalew bezwstydną głupoty? Zorganizowana grupa przeciwników szczepień ochronnych, fanteści przekonani o płaskości Ziemi, zwolennicy leczenia raka witaminą C, wyznawcy religii smoleńskiej głuś na wszelkie argumenty komisji Millera... Te negatywne zjawiska społeczne są mniej lub bardziej związane z inwazją zarówno konsumpcjonizmu, jak i populistycznych polityków, którzy w dążeniu do zdobycia i utrzymania władzy gotowi są schlebiać najbardziej prymitywnym gustom i przekonaniom.

Wolny rynek zaczął w Polsce wywracać kryteria i wartości. Iluzja łatwego czerpania z życia wszystkiego, co najlepsze, zawładnęła wyobraźnią wielu ludzi. O prestiżu społecznym stanowią dziś pieniądze i popularność medialna. Odrzucone zostały tradycyjne reguły awansu społecznego. Z kolei politycy, wsłuchując się w głos suwerena, wykazują kompromitującą niekiedy ignorancję wobec wyników badań naukowych. Tak zachował się prezydent Duda, który na szczycie klimatycznym w Katowicach zapew-

nił, że w Polsce węgiel będzie nadal podstawowym źródłem energii. Tak zachowała się Beata Szydło, uznając, że argumenty przeciwników szczepień i zwolenników mogą być równoważne.

Koncentracja na konsumpcji i brak większego zainteresowania sprawami publicznymi stworzyły szerokie pole do działania partiom populistycznym. Tak doszło w 2015 r. do wyboru Zjednoczonej Prawicy, która natychmiast zapoczątkowała zawrócenie z drogi cywilizacji zachodniej i demokracji liberalnej na rzecz autorytarnego państwa, narzucającego obywatelom zasady życia dyktowane przez Kościół. Skutkiem ogłupiającego konsumpcjonizmu jest analfabetyzm polityczny. Większość wyborców nie orientuje się, jak funkcjonuje system demokratyczny, na czym polega trójpodział władzy i jaką rolę odgrywają Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy czy Krajowa Rada Sądownictwa. Próba podporządkowania tych instytucji partii rządzącej nie robi zatem na nich większe-

Telewizja dawno porzuciła ambicje kształtowania gustów. Liczy się oglądalność.

go wrażenia, podobnie jak utarczki polskiego rządu z Unią Europejską, które prowadzą do izolacji Polski na arenie międzynarodowej. Również dążenie do ograniczenia uprawnień samorządów terytorialnych i próby ingerencji w działalność organizacji pozarządowych, wskazujące na tendencje centralistyczne i ograniczanie demokracji, nie wywołują większego poruszenia elektoratu. Za ten analfabetyzm wcześniej czy później trzeba będzie zapłacić cywilizacyjną zapaścią.

Można oczywiście się pocieszać, że obecna sytuacja jest tylko przejściowym etapem w drodze do świata wolności w rozumieniu kultury Zachodu. Niestety, rozbudzony w całej Europie populizm nie uzasadnia takiego poglądu. To nie my zbliżamy się do Europy, to raczej Europa zaczyna zbliżać się do nas.

Prof. dr hab. Czesław Sikorski jest pracownikiem Katedry Zarządzania Uniwersytetu Łódzkiego

Oko w oko



Tomasz Jastrun

PARALIŻ POSTĘPOWY

Wstyd się przyznać, ale w sprawach publicznych praktykuję czasami pocieszanie się cudzymi nieszczęściami, dlatego proszę moją koleżkę w Waszyngtonie, by napisać, jak widzi Donalda Trumpa. Odpowiada: „Nie mam żadnych wątpliwości, że jego rządy będą miały katastrofalne konsekwencje dla Ameryki i w znacznej mierze dla świata. Szczególnie jeśli wygra wybory ponownie, na co wiele wskazuje. Nie wiem, czy potrafię wyliczyć wszystkie przymiotniki opisujące Trumpa: psychopata, rasista, hejter, półgłówek, prostak, cham, egomaniak. Patentowany kłamca i mitoman, który wierzy we własne kłamstwa. Toksyczna, narcystyczna i impulsywna osobowość. Pozbawiony moralności i godności. Niezdolny do zrozumienia, a zatem i zachowywania ładu konstytucyjnego i praworządności. Niewątpliwie osobnik zaburzony umysłowo”.

No to ładnie, myślę. Nie tylko my mamy polityczny paszтет. Tyle że tam ma to wymiar globalny.

W tym samym czasie zaskakuje mnie telefonem przyjaciel z Los Angeles. Przybył do Warszawy. Jest operatorem filmowym. Nie widzieliśmy się kilka lat, jak zwykle najpierw rozmowy o tragediach, kto ze znajomych umarł, kto nagle stał się pisowcem i jakie to niepojęte, a są trzy takie osobliwe przypadki w naszym kręgu towarzyskim. Cytuję Boya: „Bo paraliż postępowy najzaciejsze trafia głowy”. A potem gadamy oczywiście o polskim nieszczęściu politycznym i o amerykańskim. Obaj śledzimy jedno i drugie. „W normalnej sytuacji – mówi – każde zdanie, jakie wypowiada ten kretyń, spowodowałoby w Stanach trzęsienie ziemi. A teraz tak się nie dzieje”. To też świadczy o skali problemu. I dodaje: „Mieszkałem przez wiele lat w różnych krajach, ale najlepiej czułem się zawsze w Stanach. Też dlatego, że tam nikt nigdy nie interesował się i nie pytał, skąd jestem. A teraz nagle zacząłem się czuć źle”. Wyjaśnia, że nie ma skłonności do myślenia spiskowego, ale nie może się oprzeć wrażeniu, że jednak ten dramat rozegrał się wedle rosyjskiego scenariusza.

Czytam właśnie, że w Kanadzie mają problem. Dorastający chłopcy rysują wszędzie penisy, a firmy chętnie wypuszczają na rynek różne produkty o fallicznych kształtach. Tymczasem obraz łechtaczki jest praktycznie nieobecny w społecznej świadomości i faceci nie wiedzą, jak dawać rozkosz kobietom. To chyba prawda, pamiętam, jak moja znajoma narzekała kiedyś obrazowo: „Dla czego mężczyźni nie wiedzą, gdzie mieszka łechtaczka?”. I właśnie dlatego w Kanadzie zrodził się pomysł na kam-

panię edukacyjną, która zachęca do rysowania łechtaczek. Ciekawe, co o tym sądzą nasi eksperci w sprawach seksu, czyli prezes i biskupi.

Prezes musi znać się również na tym, bo zna się na wszystkim. Okazał się nawet niespodziewanie wybitnym specjalistą od internetu. Do pięciu cudownych podarunków na kolejnej konwencji miał dołączyć szósty, co wcześniej zostało zapowiedziane. Szykowała się wielka niespodzianka. Cała Polska wstrzymała oddech. I jest! Prezes zagwarantował Polakom wolność, jakiej nie ma nigdzie w Europie. Słysząc wielki lament od Tatr do Bałtyku. Naród myślał, że będą znowu jakieś pieniądze, a to tylko wolność, jakby tym można było się najeść. Prezes wołał z trybuny: „Wolność to szczególne słowo, którego treścią jest wartość, która leży w centrum cywilizacji europejskiej, naszej kultury. Wolność to wartość, która określa sens naszej historii”. Długo filozofował na temat wolności, ostrzegał, że Europa wcale nie jest jej gwarantem, bo chce nałożyć cenzurę. I piękna puenta: „Polska w dzisiejszym świecie, gdzie wolność się cofa, w Europie pozostanie wyspą wolności”.

Prezes zagwarantował Polakom wolność, jakiej nie ma nigdzie w Europie.

Jak wiadomo, rzecz dotyczy dyrektywy unijnej w sprawie praw autorskich i internetu, prezes straszy, że internet będzie cenzurowany. Tu celem wyborczym – nie

znoszę słowa target – jest młodzież, która internet traktuje jak ryby wodę. Ją teraz trzeba postraszyć i uwieść.

Morawiecki, monsturalny lizus, wtóruje prezesowi. „Ja chcę z tego miejsca obiecać wszystkim naszym wspaniałym youtuberom, blogerom, influencerom, forumowiczom, wszystkim internautom, że będziemy walczyć o wolność słowa w internecie, że to jest dla nas niezbywalny imperatyw wolności gospodarczej. Internauci, jesteście z wami”, zapewnił. Tak się zaplątali w swoje kłamstwa, że w nie wierzą. Polska jako wyspa wolności atakowana przez mroczne siły, ale my się nie damy, bo z nami jest prezes. Ale spektakl!

SŁUCHAJ NAS W AUDIODELIC

PRZEGLĄD co tydzień w wersji audio.

Pobierz aplikację i słuchaj tekstów czytanych przez profesjonalnych lektorów! Nieograniczony dostęp do bazy naszych artykułów. Wydania aktualne i archiwalne.

SUBSKRYPCJA PRZEGLĄDU
19.99 zł MIESIĘCZNIE



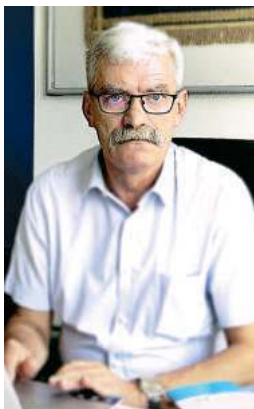
Audiodelic



Dlaczego nauczyciele mają dość

14 lat walki o godność nauczycieli. Nie pomogły pikiety, manifestacje, pogotowia strajkowe

Janusz Jerzy Gołąb,
dyrektor Zespołu Prezydialnego i Dialogu
Społecznego Biura OPZZ



Oświata i nauczyciele od początku transformacji społeczno-gospodarczej nie mają szczęścia i przez rządy różnych opcji politycznych zawsze byli traktowani po macoszemu. Ich wynagrodzenia nie były priorytetem żadnego rządu. Także obecny unikał podjęcia decyzji i lawirował. Mimo wcześniejszych zapowiedzi strajku rozmowy związków nauczycielskich trzech central związkowych w ramach Rady Dialogu Społecznego rozpoczęły się dopiero 25 marca z inicjatywy OPZZ w Centrum Partnerstwa Społecznego „Dialog”. Ponieważ ostatnie wydarzenia w oświacie interesują wielu Polaków, szczególnie rodziców dzieci, które mają przed sobą ważne egzaminy, warto wyjaśnić, dlaczego związki domagają się podwyżek i dlaczego zdecydowały się na ostateczną formę protestu, jaką jest strajk.

Porównajmy wysokość miesięcznego minimalnego wynagrodzenia za pracę oraz przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce narodowej z minimalnym wynagrodzeniem nauczycieli w latach 2006-2018.

Rok	Minimalne	Przeciętne	Stopień awansu zawodowego			
			Stażysta	Kontraktowy	Mianowany	Dyplomowany
2006	899,10	2477,23	1160,00	1375,00	1742,00	2090,00
2007	936,00	2691,03	1218,00	1444,00	1829,00	2195,00
2008	1126,00	2943,88	1418,00	1644,00	2014,00	2380,00
2009	1276,00	3102,96	1906,00	1962,00	2227,00	2616,00
2010	1317,00	3224,98	2039,00	2099,00	2383,00	2799,00
2011	1386,00	3399,52	2182,00	2246,00	2505,00	2995,00
2012	1500,00	3521,67	2265,00	2331,00	2647,00	3109,00
2013	1600,00	3650,06	2265,00	2331,00	2647,00	3109,00
2014	1680,00	3783,46	2265,00	2331,00	2647,00	3109,00
2015	1750,00	3899,78	2265,00	2331,00	2647,00	3109,00
2016	1850,00	4047,21	2265,00	2331,00	2647,00	3109,00
2017	2000,00	4271,51	2294,00	2361,00	2681,00	3149,00
2018	2100,00	4585,03	2417,00	2487,00	2824,00	3317,00

Kwoty brutto w złotych. Źródło: GUS, ZUS, Katarzyna Maj-Waśniowska, System finansowania oświaty w Polsce, www.puls.hr.pl, wynagrodzenia.pl, www.forbes.pl

Dane nie pozostawiają cienia wątpliwości, że wynagrodzenia nauczycieli są daleko w tyle za całą sferą gospodarki narodowej (nie porównuję ich wynagrodzeń z sektorem przedsiębiorstw, gdyż tutaj przepaść jest jeszcze większa). Nauczyciel stażysta w 2006 r. zarabiał 41,8%, a dyplomowany 75% przeciętnego wynagrodzenia. W 2018 r. odpowiednio 52,7% i 72,4%.

Zaangażowanie Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych, a przede wszystkim jego organizacji członkowskiej, Związku Nauczycielstwa Polskiego, w walkę o wzrost wynagrodzeń nauczycieli przedstawia kalendarium:

9 czerwca 2006 r. – pikietą ZNP przed gmachem Sejmu.

8-15 lutego 2007 r. – ZNP przeprowadza referendum strajkowe.

17 marca 2007 r. – manifestacja ZNP w Warszawie.

29 maja 2007 r. – ZNP przeprowadza dwugodzinny strajk ostrzegawczy.

12 października 2007 r. – rozpoczyna się pogotowie strajkowe ZNP.

25 października 2007 r. – pikiety ZNP przed gmachami urzędów wojewódzkich.

18 stycznia 2008 r. – w Warszawie odbywa się ogólnopolska manifestacja ZNP.

8 kwietnia 2008 r. – ZNP ogłasza pogotowie protestacyjne.

9-16 maja 2008 r. – ZNP przeprowadza referendum strajkowe.

27 maja 2008 r. – ogólnopolski strajk zorganizowany przez ZNP.

1 września 2008 r. – pikietą ZNP przed gmachem MEN.

5 listopada 2008 r. – ZNP uczestniczy w zorganizowanej przez OPZZ pikiecie przed gmachem Sejmu i Kancelarią Prezesa Rady Ministrów.

19 listopada 2008 r. – pod Sejmem pikietują pracownicy oświaty z ZNP oraz przedstawiciele innych central związkowych.

14 września 2013 r. – ZNP uczestniczy w manifestacji trzech central związkowych w Warszawie.

18 listopada 2013 r. – początek Ogólnopolskiej Akcji Protestacyjnej „Dość tego!”.

23 listopada 2013 r. – ogólnopolska manifestacja ZNP w Warszawie.

18 kwietnia 2015 r. – ogólnopolska manifestacja nauczycieli i pracowników oświaty.

19 maja 2015 r. – pikietą ZNP pod Kancelarią Prezesa Rady Ministrów.

27 czerwca 2016 r. – pikietą ZNP w Toruniu podczas podsumowania zorganizowanej przez MEN debaty o edukacji „Uczeń. Rodzic. Nauczyciel – Dobra Zmiana”.

18 października 2016 r. – rozpoczyna się ogólnopolska akcja protestacyjna ZNP.

19 listopada 2016 r. – Ogólnopolska Manifestacja Pracowników Oświaty w Warszawie.

22 września 2018 r. – ZNP uczestniczy w manifestacji OPZZ pod hasłem „Polska potrzebuje wyższych płac”.

31 stycznia 2019 r. – brak postępu w negocjacjach z rządem w sprawie podwyżek płac dla nauczycieli.

4 marca 2019 r. – ZNP podejmuje decyzję o przystąpieniu do strajku w dniu 8 kwietnia br. W dniu następnym Prezydium OPZZ udziela pełnego poparcia związkowi w tej sprawie.

Piszący te słowa 3 kwietnia br. nie zna wyników negocjacji, które trwają w CPS „Dialog”. Jednakże całe OPZZ ma nadzieję na szybkie i skuteczne rozwiązanie zaognionego do granic możliwości konfliktu.

Sherry Brandy



Ludwik Stomma

PROSTO Z MOSTU

A gdyby tak raz, od święta, odłożyć na półkę, do późniejszego rozpatrzenia, sprawy o wszelkich odcieniach szarości czy „dyskusyjności” i w jednym, wyjątkowym felietonie wypunktować tylko te czarno-białe, niebudzące żadnych logicznych, prawnych czy metodologicznych wątpliwości? „Koń jaki jest, każdy widzi”, pisał dziekan rohatyński ks. Benedykt Chmielowski w „Nowych Atenach” – „mądrym dla memoryału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki” erygowanych. I tak rzeczywiście jest. Ba, na tym opiera się właściwie nasza cywilizacja. Można zakładać, że istnieją byty niewidzialne, niemożliwe do ogarnięcia rozumem, niepojęte, jeszcze niepoznane. Znajdujemy się wówczas w kręgu wiary. Aliści koń jaki jest, każdy widzi. Jeżeli więc, widząc konia, upieramy się, że jest on żabą, to albo mamy zwiidy, albo dobrze by było (w przypadku zwidów również) oddać się w ręce specjalisty, który spróbuje nam wytłumaczyć, że husaria nie jeździła na grzbietorodach, a kijanka to nie żrebak. Może nam służyć zoolog, może hipolog, ale najbardziej przydałby się psychiatra. Tak przynajmniej dosyć powszechnie się uważa.

Nie w Rzeczypospolitej jednak. Oto garść stwierdzeń, od Sasa do Lasa, w których rozum i zmysły opowiadają się jednoznacznie i definitywnie za koniem (skoro stoi przed nami z grzywą i kopytami i rzy, a nie kumka), lecz raz jedni, raz drudzy usiłują mi wmówić, że to jednak żaba, a przynajmniej przynależność gatunkowa jest tu do dyskusji:

- Pod Smoleńskiem miała miejsce tragiczna katastrofa, a nie żaden zamach.
- Przy przeprowadzaniu „reformy sądownictwa” łamana była konstytucja.
- Katarzyna Lubnauer wygryzła Ryszarda Petru nie z żadnych powodów polityczno-ideowych, tylko przez ambicje stołkowe.
- Leszek Miller skompromitował siebie i SLD, wystawiając na prezydenta (*sic!*) pannę Ogórek.
- Donald Tusk pozbył się z Platformy Obywatelskiej bez względu na kompetencje i zasługi tych, którzy mogliby zagrozić jego partyjnemu przywództwu.
- Lech Kaczyński nie był ani królem, ani wieszczem, ani bohaterem narodowym, nie powinien więc zostać pochowany na Wawelu.
- Premier Morawiecki ma dotkliwe kłopoty z prawdomównością, znajomością historii i literatury polskiej.
- Jarosław Kaczyński kultywuje spiskową teorię dziejów i współczesności.
- IPN jest instytucją propagandowo preparującą i fałszującą historię, a w żadnym razie nie placówką naukową.
- Polska prasa prawicowa z „Gazetą Polską” na czele, Radio Maryja, przeważająca część kleru itd. tylko ze względów tak-

tycznych ukrywają (zresztą nie zawsze) ich antysemityzm i antyeuropejskość.

- NSZZ Solidarność jest przypochlebnym klientem PiS.
- Ani jedna, ani druga reforma szkolnictwa nie miały praktycznego sensu.

Oto tylko 12 koni polskich spośród ich wielkiego tabunu. Każdy to wie, każdy rozumie, koń jaki jest, każdy widzi. Kiedy jednak przyjdzie co do czego, natychmiast pojawia się żaba. Czarne przestaje być czarnym, białe – białym, szare – szarym. Jakiś przedziwny, przyprawiający o chęć womitowania, dekokt z końsko-żabich bebechów warzy się w narodowej kadzi. Obywatele próbują. Mówią: smaczne! Wracają potem do domów, żeby cichaczem rzygać. Nie bez kozery tak się dzieje. Nikt z nas nie jest samobójcą (kto był, z samej definicji już go nie ma). Doszliśmy tymczasem do takiego poziomu zakłamania, że każde stwierdzenie najoczywistszej oczywistości sprowadzi na nas gromy jak nie z tej, to z tamtej strony, a najczęściej ze wszystkich jednocześnie. Rzeczy oczywistych już dawno u nas nie ma.

Jest niby udokumentowane, w tym przez słowacki odpowiednik naszego IPN, który też chętnie beatyfikowałby każde-

Rzeczy oczywistych dawno u nas nie ma.

go antykomunistę, że watażka Józef Kuraś „Ogień”, okresowo ubek, mordował przypadkowych Słowaków i Żydów. Fakty te ni-

gdy nie zostały wiarygodnie zakwestionowane. Nie przeszkadza to prezydentowi Rzeczypospolitej odsłaniać jego pomnika. A syn ma czelność domagać się w sądzie odszkodowania za samobójstwo ojca jako antykomunistycznego męczennika. Sąd pozew oddala, czyli ma co najmniej wątpliwości dotyczące ideowego nimbu bandyty. Pomnik jednak jak stał, tak stoi.

Inny pomnik wprowadzie nie stoi, czy jednak wynika z tego, że zauważono wreszcie, jaki koń jest? Ależ gdzie tam! Przewodniczący Solidarności oświadczył właśnie, że kiedy dojdzie do władzy w Gdańsku (miejmy nadzieję, że nigdy), statuetkę przywróci, bo to przecież nie koń, ale żaba.

Dla odróżniających ssaki od płazów trzy pozostają rozwiązania. Albo emigrować (jeśli się nie da inaczej, to przynajmniej wewnętrznie), albo samemu sobie kaftan psychuszkowy związać, albo po staremu – powtarzać razem z tłumem i wieszczem, iż „żadne żaby nie grają tak pięknie jak polskie”. Wybierając to trzecie, należy jednak przedtem wytłuc w domu lustra. Nie dlatego, że wstyd byłoby w nie spojrzeć, z tego natomiast powodu, że i tak własnego oblicza tam się nie zobaczy, tylko tę żabę, co akurat Kaczyńskiemu, Schetynię, Millerowi czy Morawieckiemu z gęby skapnęła. Powie ktoś, że żaby z gęb nie skapują? Może za siedmioma górami i za siedzioma rzekami byłoby to rzeczywiście zjawisko niecodzienne. Ale w Polsce? Normalka.

POLEMIKA

Jak wymyślano „zbrodnie” dąbrowszczaków

Rewelacje o Polakach walczących w Hiszpanii nie wytrzymują konfrontacji z rzeczywistością

Piotr Ciszewski

Prawicowa polityka historyczna opiera się na tworzeniu bohaterów i antybohaterów. Do tej drugiej kategorii zaliczani są dąbrowszczacy – polscy ochotnicy Brygad Międzynarodowych walczący po stronie Republiki w wojnie domowej w Hiszpanii. Od lat próbuje się przypisać im zbrodnie wojenne, które jednak nie znajdują potwierdzenia w rzeczywistości.

KAPISZON ZAMIAST BOMBY

Najbardziej spektakularny atak przypuścił tygodnik „Do Rzeczy” w dodatku „Historia” we wrześniu 2018 r., szokując okładką, na której republikański żołnierz z symbolem Brygad Międzynarodowych na berecie strzela w tył głowy modlącej się zakonnicy. Sensacyjny obrazek nie współgra jednak z treścią samego numeru. Naczelny „Historii”, publicysta historical fiction Piotr Zychowicz, grzmi: „Nie brakowało w niej (XIII Brygadzie Międzynarodowej) starych kadrowych bolszewików i zbrodniarzy w stylu Karola Świerczewskiego”. Po czym przytacza kilka zgranych przykładów, m.in. Grzegorza Korczyńskiego, późniejszego wiceministra obrony narodowej podczas wydarzeń na Wybrzeżu w 1970 r., oraz Wacława Komara, późniejszego szefa wywiadu wojskowego. Te nazwiska stałe pojawiają się w prawicowych publikacjach, ponieważ pasują do propagandowego obrazu antyfaszystowskich ochotników w Hiszpanii, rzekomo będących podstawą stalinowskiego reżimu po 1944 r. To stosowanie zasady odpowiedzialności zbiorowej

na podstawie życiorysów niewielkiej liczby spośród ok. 5 tys. polskich antyfaszystów walczących w Hiszpanii.

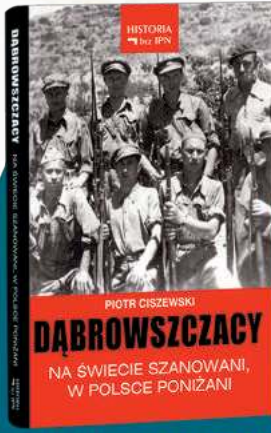
Wbrew zapowiedziom „Do Rzeczy” nie prezentuje żadnego dowodu zbrodni popełnionych przez Brygady Międzynarodowe. Już w samym opisie okładki mowa jest jedynie o „żołnierzu republikańskim” zabijającym zakonnicę. To również manipulacja. Większość zbrodni, w tym na klerze, została dokonana w pierwszych miesiącach wojny domowej nie przez regularną armię Republiki, lecz przez różne milicje robotnicze. Dochodziło wówczas do samosądów na klerze, uważanym za wyzyskiwacza biedaków. Powszechne było też przekonanie, często uza-

sadnione, że księża współpracują z puczystami gen. Franco.

ZBRODNIA, KTÓREJ NIE BYŁO

Inny prawicowy mit to wiązanie dąbrowszczaków ze „zbrodnią” w andaluzyjskim sanktuarium Nuestra Señora de la Cabeza. Propagował go Leszek Szymowski w artykule „Pomocnicy spod czerwonej gwiazdy” opublikowanym w tygodniku „Uważam Rze Historia” w sierpniu 2017 r. Píše on o obrocie klasztoru, w którego murach schronili się bojówkarze organizacji faszystowskich i grupa znienawidzonych przez okolicznych chłopów funkcjonariuszy Guardia Civil – policji wsławionej tłumieniem strajków i protestów społecznych – a także rodziny funkcjonariuszy.

„W sierpniu 1936 r. pod murami klasztoru pojawili się republikanie. Rozpoczął się szturm, w którym niechlubną rolę odegrali komuniści przybyli z nad Wisty”, stwierdza Szymowski. Nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością. W sierpniu 1936 r. Brygady Międzynarodowe jeszcze nie istniały. Zostały utworzone 22 października 1936 r. Wcześniej wprowadzie Polacy walczyli w oddziałach milicji, jednak na froncie pod Irun, w Aragonii oraz pod Madrytem. Żadna z tych jednostek nie uczestniczyła w oblężeniu andaluzyjskiego klasztoru. Ostateczny szturm wojsk republikańskich nastąpił w maju 1937 r. Sanktuarium padło po ciężkich walkach. Nie była to masakra, jak pisze Szymowski. Poległo zaledwie 29 obrońców. Łączna liczba ofiar oblężenia po stronie broniących się nacjonalistów to 159 gwardzystów oraz cywilów. Większość buntowników dostała się do niewoli i wbrew



PIOTR CISZEWSKI
DĄBROWSZCZACY
NA ŚWIECIE SZANOWANI,
W POLSCE PONIZANI

**POZNAJ PRAWDZIwą
HISTORIĘ DĄBROWSZCZAKÓW**

**CZYTELNIKU,
kupując nasze książki,
wspierasz PRZEGLĄD**

Książkę można kupić, wpłacając 49 zł
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7, lub przez:
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl



Polscy ochotnicy obsługujący działko przeciwlotnicze.

szerzonej przez prawicę propagandzie nie była źle traktowana.

Najważniejsze jest jednak to, że dąbrowszczacy na pewno nie uczestniczyli w szturmie. W kwietniu 1937 r. batalion im. Jarosława Dąbrowskiego brał udział w krwawych walkach pod Brihuegą, a następnie nad rzeką Jaramą na przedpolach Madrytu. Został po nich wycofany z frontu w celu reorganizacji. 1 maja 1937 r., czyli dokładnie w dzień zdobycia przez republikanów sanktuarium Nuestra Señora de la Cabeza, polscy ochotnicy brali udział w uroczystości wręczenia sztandaru przekazanego przez Komitet Centralny Komunistycznej Partii Polski. Na front batalion wrócił dopiero pod koniec maja.

Nawet sam Szymowski wspominał o uroczystości pierwszomajowej. Chcąc powiązać ją z masakrą, napisał: „Gdy szturm się skończył, umilkły krzyki mordowanych ludzi, a nad klasztorem unosiła się tuma pożaru, w odwiedziny do dąbrowszczaków przyjechał Gustaw Reicher, przedstawiciel Komunistycznej Partii Polski”. Pominął fakt, że wręczenie sztandaru odbyło się pod Madrytem, ok. 340 km w linii prostej od sanktuarium. Dowodzą tego zdjęcia i zachowane notatki z dziennika bojowego jednostki.

Mit o masakrze ma źródło w błędzie brytyjskiego historyka Hugh Thomasa, który w książce „Spanish Civil War” użył określenia „całkowita masakra” oraz wspominał o szerzej nieznanej Brygadzie Międzynarodowej, mającej brać w niej udział. Jednak już w tej samej książ-

ce historyk przyznaje, że większość nacjonalistów przeżyła upadek sanktuarium. Ponadto w toku kolejnych badań, w latach 70. XX w., Thomas wycofał się zupełnie z twierdzenia o masakrze i udziale w niej Brygad Międzynarodowych. Późniejsi historycy opisywali tamte wydarzenia jako jedno z wielu starć wojny. Kłamstwo zostało jednak podchwyczone przez prawicowych publicystów.

Kłamliwy tekst o udziale dąbrowszczaków w szturmie na sanktuarium został przedrukowany przez „Rzeczpospolitą”.

Pomimo jego zdemaskowania oraz sprostowań, jakie ukazały się po publikacji „Uważam Rze Historia”, kłamliwy tekst Szymowskiego został 29 lipca 2018 r. przedrukowany przez „Rzeczpospolitą”.

Do dziś ten i kilka innych podobnie niewiarygodnych artykułów staje się podstawą do kolejnych prawicowych publikacji na temat Brygad Międzynarodowych.

KONFERENCYJNY NIWYPAL

Omówienie „zbrodni” dąbrowszczaków zapowiadał również w 2018 r. Instytut Pamięci Narodowej. Miało to nastąpić podczas Międzynarodowej Konferencji Naukowej Dąbrowszczacy w trzech odstonach: wojna domowa, II wojna światowa, PRL, odbywającej się od 26 do 28 czerwca w Muzeum II Wojny Światowej. Gdański oddział IPN na swoich profilach w mediach społecznościowych

zapowiadał ujawnienie nowych szczegółów, dyskredytujących polskich ochotników walczących w Hiszpanii. Ostatecznie konferencja okazała się niewypałem. Organizatorom nie udało się pozyskać żadnego znanego historyka ani z zagranicy, ani nawet z Polski, który by zajmował się wojną domową w Hiszpanii. Wydarzenie zainteresowało garstkę osób – poza prelegentami w dużej mierze pracowników IPN. Merytorycznie nie wniosło do badań nad historią wojny domowej w Hiszpanii nic nowego, poza kontrowersyjnymi тезami, jakoby wywołał ją... legalny rząd Republiki Hiszpańskiej. Po konferencji sam gdański IPN zaczął się wycofywać w mediach społecznościowych z twierdzeń o zbrodniach dąbrowszczaków, proponując w zamian realizowanie przez nich „polityki Stalina”. Narracja ta rozpowszechniła się zwłaszcza w mediach publicznych, w których przedstawiciele IPN prowadzili debaty sami ze sobą. Nikogo przedstawiającego inny punkt widzenia nie zaproszono.

Prawica wypomina również dąbrowszczakom brak polskości. Dr Piotr Szubarczyk z gdańskiego IPN stwierdził, że „większość żołnierzy dąbrowszczaków wcale nie była

Polakami. W przeważającej liczbie byli to Hiszpanie, a także osoby narodowości żydowskiej”. Połączył tym samym mówienie nieprawdy z antysemickim atakiem. W Brygadach Międzynarodowych część uzupełnień rzeczywiście stanowili Hiszpanie, jednak nie byli w większości. Żydowskie antyfaszyszczy z kolei najczęściej pochodzili z polskiej emigracji zarobkowej i politycznej. Odmawianie im prawa do polskości nawiązuje do najgorszych wzorców endekich i faszystowskich.

Pomimo wielu wysiłków nie udało się znaleźć żadnych dowodów na zbrodnie polskich antyfaszystów walczących w Hiszpanii. Dekomunizacyjne działania IPN odniosły skutek odwrotny do zamierzonego. W obronie dąbrowszczaków wystąpiły lokalne społeczności. Widać też większe zainteresowanie tematami historycznymi niewygodnymi dla obecnej antykomunistycznej propagandy. ■

Szatkowanie badań naukowych

...a odkrycie młodego Pasteura

Izabella Dunin-Kwinta

Z przyjemnością przeczytałam wywiad z prof. Krzysztofem Kicińskim „Nie mieszać w nauce” (PRZEGLĄD nr 9). Dziękuję za trafną diagnozę choroby pod nazwą punktoza. Nie znałam dotychczas tego określenia.

Ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce oraz towarzyszące jej akty prawne wytworzyły w naszej nauce nową sytuację. Początkowo sama z zadowoleniem przyjąłam nowo powołaną dyscyplinę zootechnikę i rybactwo. Uznałam, że ryby jako zwierzęta powinny być razem z inną hodowlą zwierzęcą, a więc z zootechniką, co dotychczas nie miało miejsca – hodowlę ryb traktowano jako element rolnictwa. Co prawda, w mojej macierzystej uczelni, Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie, w pierwszym powojennym budynku dydaktyczno-naukowym umieszczono właśnie zootechnikę i rybactwo, ale nasze kontakty ograniczały się do tego, że my, rybacy, zajmujący II piętro, codziennie mijaliśmy parter i I piętro, gdzie mieściły się zakłady i katedry Wydziału Zootechnicznego. Innych powiazań nie pamiętam.

Wydawało mi się, że nowe połączenie rybactwa z zootechniką jest logiczne, jednak koledzy ze studiów, którzy zajmowali się hodowlą ryb w stawach, wyśmiali mnie. W ich przekonaniu stawy rybne nieporównanie więcej łączy z rolnictwem niż z zootechniką. A to ze względu na ogromny wpływ stawów rybnych na rolnictwo. Każdy staw jest małym zbiornikiem wodnym, który w swoim sąsiedztwie ogranicza suszę, co ma dla rolnictwa znaczenie podstawowe. Stawy rybne to prawie 70 tys. ha pod wodą, a że występują w całym kraju, ich związek z uprawami rolnymi trudno przecenić.

Jako absolwentka pierwszego w Polsce Wydziału Rybackiego od dy-

plomu do emerytury zarówno w dydaktyce, jak i w badaniach naukowych byłam związana z rybołówstwem morskim, odległym i od zootechniki, i od rolnictwa. Dla mnie w tych klasyfikacjach miejsca nie było i nie ma. Nie odczuwałam z tego powodu dyskomfortu, wszak „nazywanie jest rzeczą ludzką, a tworzenie – boską”.

Klasyfikacje wiedzy, mniej lub bardziej szczegółowe, wydają mi się niezbędne w działalności edukacyjnej. Opierając się na nich, łatwiej dobrać



Blok Zootechniki i Rybactwa w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie, lata 60.

właściwy dla każdego kierunku studiów zestaw wykładanych przedmiotów oraz programy ich nauczania. W badaniach naukowych z klasyfikacjami byłabym ostrożniejsza. Przyjmując, że celem badań naukowych jest poznawanie prawdy, należy w nich stosować wszystkie istniejące metody, bez względu na klasyfikację. Najciekawsze wyniki przynoszą niekiedy badania interdyscyplinarne, wykorzystujące zdobycze jednej dziedziny w drugiej.

Pouczającym przykładem może być historia jednego z odkryć Ludwika Pasteura. Od młodości marzył on o pracy naukowej. W tamtych latach bardzo trudno było dostać pracę w instytucie naukowym, ale rodzina Ludwika uzyskała obietnicę

przyjęcia go po maturze jako laboranta. Natychmiast po otrzymaniu świadectwa maturalnego Pasteur pobiegł do instytutu, który dziś nosi jego imię.

Był koniec czerwca i pracownicy szykowali się do wyjazdu na wakacje. Dyrektor poradził więc Pasteurowi, aby zgłosił się do pracy we wrześniu, ale widząc rozpacz w oczach chłopca, który miałby tak długo czekać, polecił wóznemu, by wypuszczał go do instytutu, i wyjechał.

Ludwik spędzał w laboratorium całe dnie. We wrześniu załoga wróciła do pracy. Dyrektor zaprosił Pasteura i zapytał, czym się zajmował w czasie wakacji. Ten odpowiedział, że badał skracanie promienia światła przez kryształy kwasu winowego. Dyrektor wykrzyknął: „Ach, jaka szkoda, że nie miałem dla pana czasu wcześniej. Powiedziałbym panu, że to problem nierozwiązywalny. Nie straciłby pan dwóch miesięcy pracy!”.

W czym tkwił problem? Wszystkie kryształy skracają przechodzący przez nie promień światła. W lewo lub w prawo, o określony kąt, jest to ich cecha stała. Wszystkie – z wyjątkiem kryształów kwasu winowego, których część skręca światło w prawo, a część w lewo. Fenomen ten był na liście problemów nierozwiązywalnych. Listę stworzyli uczeni francuskiej Akademii Nauk, skupiającej wybitnych przedstawicieli wszystkich specjalności naukowych. Dyrektor był członkiem akademii. Każdy jej uczony mógł zgłosić temat, którego sam nie umiał rozwiązać. Wtedy inni członkowie mieli obowiązek przez rok zajmować się tym zagadnieniem. Jeśli w tym okresie żaden akademik nie znalazł rozwiązania – temat wprowadzano na listę „nierozwiązywalnych”, aby uszczegółwić resztę uczonych przed stratą czasu na jego badanie. Dyrektor nie wiedział jednak, że maturzysta ten fizyko-chemiczny problem rozwiązał metodami przyrodniczymi. Kwas winowy, którego kryształy zachowują się tak nietypowo, powstaje w wyniku fermentacji. Wywołują ją dwa szczepy drobnoustrojów – jeden daje kryształy skręcające światło w lewo, a drugi w prawo.

Bądźmy ostrożniejsi w szatkowaniu badań naukowych klasyfikacjami.

Izabella Dunin-Kwinta jest profesorem doktorem habilitowanym nauk przyrodniczych. Jej specjalnością jest rybołówstwo

FUNDUSZ NA ZAŚ

Edward Mikołajczyk

Do najbliższej niedzieli można w serwisie Zrzutka.pl wesprzeć „pozew przeciwko TVP”. Inicjator zbiórki uczciwie policzył koszty, zanim się zwrócił o datki do opinii publicznej. Wyszło mu, że potrzeba niewiele ponad 6 tys. zł, aby zapłacić za wszystko, czego wymaga procedura złożenia pozwu sądowego przeciwko „Wiadomościom” TVP 1 za umieszczenie w tej audycji 10 czytelnich portretów (wraz z danymi osobowymi) uczestników demonstracji z początku lutego tego roku przeciwko kłamstwom TVP.

Obrony poszkodowanych podjęta się kancelaria prawna Dubois i Wspólnicy. Robi to *pro bono*, więc należy śmiało się dorzucać, bo jest gwarancja, że zebrane pieniądze nie utuczą palestry, tylko pomogą w walce ze świństwem w Polsce. Pozwalam sobie jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy sądowej nazwać tak postępek autorski Marcina Tulickiego z „Wiadomości”, bo przełożeni tego pracownika TVPiS ogłosili coś wręcz przeciwnego, także zanim jakikolwiek sąd zdążył o czymkolwiek ich pouczyć.

Informuję o zbiórce, choć wiem, że już na początku kwietnia znalazło się na koncie więcej pieniędzy, niż potrzebował organizator zrzutki. Bardzo mu życzę, kimkolwiek on jest, żeby uzbierał dużo. Żeby mógł powstać jakiś fundusz na zaś. Chodzi o pieniądze, na które mógłby liczyć w przyszłości każdy poszkodowany przez TVPiS, zdecydowany wstąpić na drogę sądową przeciwko „narodowemu” nadawcy. Może bowiem się okazać, że będzie

Do tej pory jedynie Jarosław Kaczyński miał prawo powiedzieć, że jakieś śledztwo nie ma sensu. Teraz ten przywilej mają też wybrani dworzanie.

to dla obywatela jedyny sposób wyegzekwowania od państwa prawa do prywatności – też tylko dopóki samym sądom będzie się udawało obronić własną niezawisłość.

Do tej pory było tak, że jedynie Jarosław Kaczyński, tzw. gospodarz kraju, miał prawo powiedzieć, że jakieś śledztwo nie ma sensu, i prokuratura już wiedziała, że nie musi się przejmować gadaniem jakiegoś Austriaka o kopercie z pieniędzmi dla księdza ze spółki. Teraz można zaobserwować, że ten przywilej mają również wybrani dworzanie. Prezes TVPiS mówi, że skoro ktoś

bierze udział w publicznych demonstracjach, należy go traktować jak osobę publiczną, w związku z tym nadawca nie narusza niczyjego prawa, publikując wizerunki i dane osób demonstrujących na widoku publicznym, to znaczy pod redakcją „Wiadomości” na placu Powstańców Warszawy.

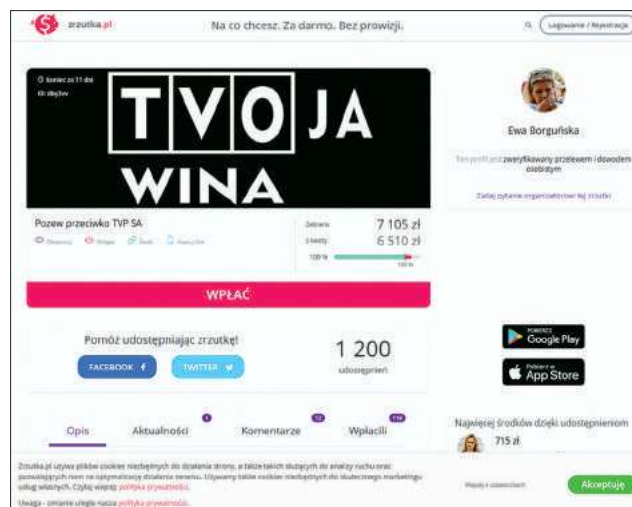
Tę pionierską na gruncie prawa definicję osoby publicznej za panem prezesem powtarza pan przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Na domiar złego jasność wyводу tak go poraża, że pan przewodniczący ślepie i nie dziwota, że nie widzi podstaw do wszczęcia postępowania na mocy ustawy o radiofonii i telewizji. Po omacku brnie dalej, że takie osoby publiczne „muszą się liczyć ze zwiększonym zainteresowaniem społeczeństwa w sprawach dotyczących ich działalności zawodowej i społecznej”. A ja naiwny myślałem, że nadawca publiczny powinien tylko rzetelnie zrelacjonować przebieg demonstracji i poinformować o najważniejszych postulatach demonstrujących, pozostawiając ich „działalność zawodową i społeczną” innym niż dziennikarskie organom ścigania.

Dotychczas wyłącznie Kaczyńskiemu przysługiwało prawo posyłania do

sądu petenta, który namolnie się dopomina o swoje, a teraz już także Witold Kołodziejcki zachowuje się jak gospodarz kraju i radzi, żeby „osoby, których wizerunek upubliczniono, dochodziły swoich praw w zakresie ochrony dóbr osobistych w postępowaniu cywilnoprawnym przed sądami powszechnymi”. Zdemaskowana przez TVPiS dziesiątka „osób publicznych” powinna postać kwiaty przewodniczącemu KRRiTV w podzięcie za wielkoduszność i pozostawienie im tłęgo się ogarka nadziei.

Po opublikowaniu wizerunków demonstrantów w głównym wydaniu telewizyjnego serwisu informacyjnego wydarzenia potoczyły się dokładnie tak, jak się je opisuje w formie przestrogi w kodeksach dziennikarstwa i zasadach etyki zawodowej. Podniosła się fala hejtu, pojawiły się groźby karalne w przestrzeni publicznej, a nawet w prywatnej pocztce, rozpoczęły się poważne kłopoty w pracy.

Kto i jak naprawi szkody, orzeknie niezawisły sąd. Jest raczej pewne, że nie zmusi do czytania zasad człowieka, który ich nie ma, bo całą tę makulaturę etyczną pewnie wysłał do Gdańska na podpałkę dla ks. Rafała Jarosiewicza.



Do 14 kwietnia prowadzona jest zbiórka środków na pozew przeciw TVP.

Anthony McCarten

Zasadniczo życie papieża diametralnie różniło się od życia w ubóstwie, jakie postulował św. Franciszek. Papieństwo to pompa i ceremoniał, to buty z czerwonej skóry i aksamity lamowane gronostajem; to próby skrytobójstwa i pancerne samochody; to władza i potęga (...). Papież może sobie zrezygnować z limuzyny i jeździć autobusem, ale czy wolno mu odrzucać całą tradycję instytucji, którą przyszło mu rządzić?

Jako kardynał Jorge Bergoglio otwarcie wyrażał swoją opinię na temat zbytków i luksusów tego świata:

„Urząd kardynała to posługa, a nie nagroda, którą należałoby się przechwalać. Próżność, chęć popisania się to postawa, która sprowadza duchowość do wymiaru ziemskiego, a to najgorszy grzech, jaki można popełnić w Kościele [...]. Przykładem, który często podaję, by zilustrować próżność, jest paw: spójrzcie na pawia – jest piękny, gdy patrzy się nań z przodu. Ale jeśli spojrzycie z tyłu, odkryjecie prawdę [...]. Kto w swojej próżności skupia się na sobie, ten kryje w swoim wnętrzu ogromne nieszczęście”.

Słowa te pochodzą z wywiadu udzielonego w lutym 2012 r. Teraz wydają się prorocze. Można łatwo odgadnąć, że owym pawiem jest papież lub Watykan, skrywający mroczne skandale dotyczące przestępstw seksualnych i zepsucie, o jakim donoszono w trakcie afery Vatileaks. Gdy dodatkowo przypomni się determinację św. Franciszka, który chciał odbudować Kościół, gdy ten popadł w ruinę, widać jak na dłoni, że po długim czasie Kościół dostał wreszcie szansę na poważną zmianę. Pozostawało jeszcze pytanie, jak na tę wieść zareagują pozostali mieszkańcy Watykanu.

Tamtej nocy w Watykanie panował uroczysty nastrój. Lały się łzy wzruszenia. Kiedy oszołomiony Franciszek zszedł z podium i został zaprowadzony do papieskiej limuzyny, która miała zawieźć go na kolację, po raz kolejny odmówił: oznajmił, że wolałby pojechać autokarem z innymi kardynałami: „Przyjechaliliśmy razem i wrócimy razem”. (...)

Przy uroczystej kolacji, do której podano lody oraz wino musujące, nowo wybrany papież żartował, wznosząc

Efekt Franciszka

Kiedy opadły emocje związane z wyborem, okazało się, że nie wiadomo, jakim będzie papieżem



Wielki Czwartek, 24 marca 2016 r. Papież obmywa stopy uchodźcom.

toast: „Niech Bóg wam wybaczy to, co uczyniliście”. Kardynał Dolan wspomina, że tamto stwierdzenie „rozbawiło wszystkich zebranych”.

Kiedy goście udali się na spoczynek, Franciszek założył swoje zwykłe czarne spodnie i płaszcz, a jako że nie mógł zasnąć, zszedł na dół. Jak pisze w biografii i Franciszka Paul Vallely: „Watykańscy urzędnicy usłyszeli od nowego papieża zaskakujące pytanie, czy jest jakiś wolny samochód, bo chce się udać na przejażdżkę. Wezwano kierowcę i ten sam człowiek, który kilka godzin wcześniej mówił o sobie z naciskiem, że jest tylko biskupem Rzymu, teraz małym, niczym niewyróżniającym się samochodem przemierzał ulice miasta, przyglądając się świętującym tłumom”.

Być może Franciszek miał wrażenie, że oto nadarza się ostatnia szansa, by udać się gdzieś niepostrzeżenie. Może chciał jeszcze raz poczuć się jak zwykły kardynał na ulicach Buenos Aires. A może był ciekaw, jak ludzie dają

upust radości teraz, kiedy z miasta zniknęli już operatorzy kamer. Niezależnie od rzeczywistego powodu cieszył się ostatnimi godzinami wolności, jak przystało na człowieka, którego los jego poprzednik przyrównał do wyroku śmierci.

Następnego ranka Franciszek obudził się dość wcześnie. Odmówiwszy modlitwy, udał się do bazyliki Matki Bożej Większej, by tam oddać hołd Maryi. Na miejscu czekały tłumy ludzi, ale nowy papież polecił ochronie, by nie broniono im wstępu do kaplicy wraz z nim. W drodze powrotnej do Watykanu papież poprosił o jeszcze jeden nieplanowany postój – tym razem w hostelu, w którym spędził dwa tygodnie przed konklawe. Odmówił, kiedy asystent zaproponował, że spakuje jego rzeczy, i wyjaśnił, że chciałby sam je pozbierać, a przy okazji podziękować personelowi hostelu za pomoc. W jeszcze większe zdziwienie wprawił obecnych, kiedy nalegał, że sam ureguluje swój rachunek, twierdząc,

że kto jak kto, ale on „musi dawać dobry przykład”. (...)

Wybór papieża Franciszka był sam w sobie nieomyślnym znakiem, że większość kardynałów pragnie rzeczywistej reformy w Kościele. Franciszek dobrze o tym wiedział, a w słowach swojej pierwszej homilii zwracał się do tych, którzy oddali na niego głos, by potwierdzić, że usłyszał ich prośby. Żaden członek kurii ani żaden przedstawiciel starej gwardii z zachodniej Europy nie marzył nawet o tym, by zachwiać filarami tej tradycyjnej instytucji. Zmiana musiała przyjść z Nowego Świata. A teraz wielu duchownych obecnych w kaplicy nabrało przekonania, że nareszcie nadeszła. To Franciszek miał przynieść zmianę i nadzieję.

Nie należy też ignorować możliwych konsekwencji wyboru na papieża przedstawiciela Ameryki Łacińskiej. Symbolizm, jaki niosło ze sobą wybrane przez nowego ojca świętego imię Franciszka, a także jego zadeklarowana chęć walki z niesprawiedliwością społeczną i łamaniem praw człowieka, wyraźnie odróżniały go od wielu jego poprzedników. Jako jezuita, a co za tym idzie, wolnomyśliciel, doskonale rozumiał, że ewangelizacja w społeczeństwach rozwijających się otwiera Kościołowi nowe możliwości zwalczania rosnącej w siłę plagi globalnego sekularyzmu.

Stany Zjednoczone odczuwały tę plagę szczególnie dotkliwie. W ankiecie przeprowadzonej w 2014 r. przez Pew Research Center prawie jedna trzecia dorosłych Amerykanów (31,7%) wskazała, że zostali wychowani w duchu katolickim, ale z tej grupy 41% – czyli 12,9% dorosłego społeczeństwa – nie utożsamiało się już z tą religią. W ten sposób niepraktykujący katolicy stali się czwartą pod względem wielkości grupą „wyznaniową” w Ameryce, plasując się za protestantami (46,5%), praktykującymi katolikami (20,8%) oraz tymi, którzy „nie identyfikują się właściwie z żadną religią” (15,8%). Przekładając to na nieco bardziej zrozumiały język: na każdą osobę przystępującą do Kościoła katolickiego w Ameryce przypada aż sześć osób opuszczających tę wspólnotę. W latach 2007-2014 liczba ludzi niezwiązanych z żadnym wyznaniem wzrosła o 6,7% w skali całej populacji – mowa tu o jakichś 56 mln ludzi. W tej chwili jest ich już więcej niż katolików

i protestantów. Tylko wspólnota ewangelicznego chrześcijaństwa liczy sobie więcej członków.

W Wielkiej Brytanii większość osób przed 40. rokiem życia deklaruje, że nie wyznaje żadnej religii. Okazuje się nawet, że „brak religii” jest odpowiedzią udzielaną w ankietach częściej niż „chrześcijaństwo”. Utrata wiary nie jest jednak wyłącznie bolesną chrześcijan: sekularyzm rośnie w siłę również w krajach, gdzie większość stanowią muzułmanie. Jak pisze Ahmed Benchemsi w tygodniku „New Statesman”, ankieta przeprowadzona w 2012 r. wykazała, że 5% Saudyjczyków – czyli ponad milion ludzi – określa się mianem „ateisty z przekonania”. Jest to taki sam odsetek jak w Stanach Zjednoczonych. 19% Saudyjczyków – prawie 6 mln – nie uważa się za osoby religijne. (We Włoszech ten odsetek wynosi 15%). Te dane są o tyle zaskakujące, że w wielu krajach arabskich, takich jak Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty

borze Watykańskim, a równocześnie, wychowując przyszłych jezuitów jako mistrz nowicjatu, korzystał z metod przedsoborowych. Sprzeciwia się małżeństwom osób tej samej płci, a przecież ucałował stopy homoseksualistów chorych na AIDS. Pochodzi z Południa, a przecież jest mocno zakorzeniony w Północy, wywodząc się z jednego z krajów Ameryki Łacińskiej z włoskich rodziców i mając za sobą studia w Hiszpanii, Irlandii i Niemczech. Jest księdzem diecezjalnym, ale i równocześnie zakonnikiem. Wykładał teologię, ale jest równocześnie duszpasterzem, który umie trafić do ludzi. Łączy w sobie pokorę i moc”.

Całkiem możliwe, że to właśnie ze względu na te sprzeczności Franciszek zyskał rzeszę zwolenników wśród kardynałów elektorów na konklawe w 2013 r. Kierując się własnymi pragnieniami w związku z przyszłością Kościoła, każdy z nich widział tę stronę Franciszka, którą chciał zobaczyć

Wybór Franciszka był znakiem, że większość kardynałów pragnie rzeczywistej reformy w Kościele.

Arabskie, Sudan czy Jemen, wciąż obowiązuje prawo szariat, zgodnie z którym karą za apostazję jest śmierć.

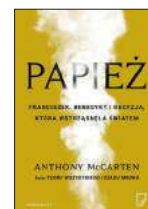
Powszechne zjawisko utraty wiary w rozwiniętym świecie zachwiało fundamentami Kościoła, lecz wciąż nie udało się opracować konkretnego rozwiązania tej sytuacji. Wybór człowieka ulepionego z całkowicie innej gliny niż poprzedni papieże dawał pewną nadzieję. Wydawało się, że Franciszek dokonał niemożliwego, gdyż zdołał zadowolić zarówno tradycjonalistów, jak i postępową frakcję Kościoła. W biografii „Papież Franciszek. Rozwiązywanie węzłów” Paul Valley opisuje go jako człowieka pełnego sprzeczności:

„Jorge Mario Bergoglio to tradycjonalista, gdy idzie o doktrynę, a równocześnie kościelny reformator. Jest radykałem, ale nie liberałem. Stara się, by inni rośli w siłę i zyskiwali autonomię, ale równocześnie jest w nim coś z autorytaryzmu. Jest konserwatystą, a jednak w reakcyjnej Konferencji Episkopatu swojego kraju sytuował się na skrajnej lewicy. Łączy religijną prostotę z polityczną przebiegłością. Jest postępowy i otwarty, a równocześnie prowadzi ascetyczny i surowy tryb życia. Jest pierwszym papieżem, który przyjął święcenia kapłańskie po II So-

– coś takiego było niemożliwe, kiedy na papieża wybierano Benedykta, zadeklarowanego konserwatystę. Enigmatyczne, skromne zachowanie Franciszka oraz to, że w okresie przed wyborem stał się praktycznie niewidzialny, pozwoliły poszczególnym elektorom stworzyć własne wyobrażenie tego, jakim byłby papieżem.

Jednak kiedy emocje związane z wyborem człowieka tak pełnego paradoksów opadły, okazało się, że właściwie nie wiadomo, jakim papieżem okaże się Franciszek. Zarówno kardynałowie, jak i media zmuszeni zostali do zabawy w detektywa: każdy jego ruch i każde słowo były dokładnie analizowane w poszukiwaniu ewentualnych wskazówek. Ale jedno słowo szczególnie utkwiło w pamięci tych, którzy siedzieli tamtego dnia w Kaplicy Sykstyńskiej i patrzyli, jak mistrz ceremonii pyta Franciszka, czy przyjmuje wybór na papieża: grzesznik.

Fragmety książki Anthony'ego McCartena *Papież. Franciszek, Benedykt i decyzja, która wstrząsnęła światem*, przekład Maria Jaszczurowska i Jan Wąsiński, Marginesy, Warszawa 2019



CZARNY CHARAKTER MOŻE BYĆ WŚRÓD NAS

Czytelnik zarzucany
słowami, których
nie rozumie, zniechęci się.
Po co mu to?



Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

W twoich książkach nie pojawia się żaden książd – ani wątki pedofilii – a łatwo byłoby pójść w te rewiry.

– Kiedyś, w „Tajemnicy Nathanie-la”, zrobiłam z księdza mordercę. Mam swoje poglądy, ale nauczyłam się, że o pewnych rzeczach nie rozmawia się w towarzystwie. O polityce, wierze, jedzeniu i orientacji seksualnej. Święta czwórka.

Dlaczego nie o jedzeniu?

– Jestem bezglutenową weganką. Kiedy tylko coś mówię na ten temat, dostaję wykłady, choć sama nikomu nie zaglądam do talerza. To ja zawsze jestem pytana, dlaczego biorę zielone, bez mięsa. Przemycam w książkach swoje poglądy, bo nigdy nie będziemy od nich wolni. Znam mnóstwo ludzi: gejów, muzulmanów, obcokrajowców, osoby związane z wiarą katolicką i z nią niezwiązane – jedni są fajni, a drudzy nie. To zależy od charakteru, a nie od upodobań, wiary czy pochodzenia.

Nie lubisz komunikacji miejskiej.

Dlaczego?

– Jest społecznie nieprzyjazna. Wrocław, gdzie chłopak czarnoskóry, dobrze ubrany i dwoje kibiców, nie wiem nawet czego. Strasznie hałaśliwi, piją piwo i bluzgają. Nagle milkną i słyszę: „Kurtka”. Ona: „Jaka kurtka?”. „Ta żółta, podoba mi się”. Ona na to: „To ją zabierz bambusowi”. Stałam koło tego chłopaka i byłam

gotowa wyciągnąć go z tramwaju, żeby mu się nic nie stało. Na szczęście okazało się, że on wychodzi. Tamtym się nie chciało, poszło też za nami dużo ludzi. Upewniłam się, że bezpiecznie dotarł do akademika. To, co się dzieje, jest dla mnie nie do przyjęcia. Zmusza mnie do reakcji.

Po co komu w takim razie dreszczowiec, taki jak „To nie jest amerykański film”, skoro możemy go mieć na ulicy? Dla rozrywki?

– To opowieść o tym, że świat może być przewrotny i coś nie musi być takie, jak myślimy. „Złe” może się zdarzyć każdemu, a potencjalnie zły człowiek nie jest facetem z blizną, bez oka, łysym, z karkiem czy z tatuażem na pół twarzy. To nie jest ktoś taki, kogo zobaczymy na ulicy i będziemy wiedzieli: o, bandzior. Nie, to może być osoba, która pozostaje blisko nas. Ta książka chyba najlepiej obrazuje to, że kimś, kto wyrządzi nam w życiu krzywdę, może być ten, po kim najmniej się tego spodziewamy. Weźmy seryjnych morderców, np. Teda Bundy’ego – uroczy, wygadany, inteligentny, przystojny i zabił 37 osób. Czarny charakter może być gdzieś wśród nas, choćby nie wiem jak był miły, bliski.

NADIA SZAGDAJ

– autorka cyklu kryminałów, jej najnowsza książka to dreszczowiec „To nie jest amerykański film”

Co było dla ciebie w pracy nad tą książką najtrudniejsze, emocjonalnie kosztowne?

– Kosztowała mnie więcej dlatego, że jest podana w pierwszej osobie. Wejście w świat osoby, która doświadczyła pewnych rzeczy, i pisanie o niej z perspektywy pamiętnika było bardzo trudne emocjonalnie. Jest jeszcze dodatkowa zagwozdzka techniczna – tym razem nie wiem, co inni myślą. Kiedy piszę w osobie trzeciej, mogę się postawić na miejscu tego czy tamtego, a w tym wypadku nie. Muszę oceniać subiektywnie jako bohaterka, która jest jednocześnie narratorką. Napisanie długiej sceny gwałtu z perspektywy osoby pierwszej zaowocowało tym, że trwało to dwa tygodnie. Pisarz może się spotkać z taką treścią, przez którą nie może przejść i nie wie dlaczego. Jeżeli już naprawdę się wczuwamy, ponosimy pewne koszty. Tak bardzo żyję książką, że z nią zasypiam i z nią się

Nadia SzagdaJ jest autorką kryminałów o Klarze Schulz, tłumaczonych na język niemiecki, twórczynią serialu telewizyjnego o zbrodniach na Dolnym Śląsku, dziennikarką radiową, śpiewaczką operową i wiolonczelistką. Nominowana do tytułu Osobowość Roku „Gazety Wrocławskiej” 2018. Laureatka nagrody 30 Kreatywnych Wrocławia.

budzę, ciągle ją miałę, miałę, rozmyślałam nad nią.

Twe bohaterki są silne i przebojowe, te dobre i te złe. Ale książka jest też autoterapią...

– Dla mnie książki są formą autoterapii i zawsze to podkreślam. Psychiatrzy radzą prowadzić dziennik, a ja przelewam emocje w książkę. Zawsze mi to służyło. Pisząc, odreagowywałam wspomnienia z uczelni, parę osób stamtąd nawet znalazło swoje miejsce w jednej z książek... Wtedy zauważyłam, że to świetny pomysł, żeby w ten sposób się leczyć. To była naturalna forma samoobrony, którą teraz bez skrupułów wykorzystuję w każdej książce, bo na dobrą sprawę nikt na tym nie ucierpi. A te przebojowe bohaterki dodają mi życiowego animuszu, trochę siły.

Wspomniłaś o depresji.

– Leczę się. Problemy natury egzystencjalnej, źle dobrani znajomi, partnerzy w pracy, stres, wyczerpanie, trudne tematy z serialu „Mroki Dolnego Śląska”. Najgorszy był dla mnie odcinek piąty, o dziewczynie uprowadzonej z klubu prosto na sprzedaż, do przetrzutu do Niemiec, która tak długo nie chciała się poddać bandytom, że w końcu wyskoczyła przez zamknięte okno kryjówek i tak się pokaleczyła, że ją dobili i rzucili gdzieś w parku. Byłam w okropnym stanie po tym odcinku, ciężko było mi robić cztery kolejne. Odchorowałam „Mroki”. Miałam stany lękowe. To nie jest mój pierwszy raz, mniej więcej wiem już, jak ten proces się odbywa. Niestety, artysta to depresant.

Jeśli wiesz, że praca tak dużo cię kosztuje, dlaczego wchodzisz w te obciążające tematy.

– No właśnie, wydaje mi się, że moja depresyjna natura nie tylko utrudnia mi czasem życie, ale też pomaga w tworzeniu. Korzystajmy z dobrodziejstw w tych momentami rozpuszczających czasach, mając na uwadze, że żyją wokół nas ludzie, którzy mają o wiele gorzej, ale są dzielni, walczą o godność, o swoje życie, zdrowie i potencjalny dobrobyt, który rozumieją zupełnie inaczej niż my.

Mówisz głośno o swojej depresji.

– To była praca, żeby doprowadzić do stanu, w którym jestem teraz. Jeśli mój stan zdrowia alarmuje, szukam pomocy lekarza, żeby utrzymać poziom percepcji i spokoju, żeby nie stać się za bardzo drażliwa i nieznosna dla

swojej rodziny i żeby móc w spokoju pisać. To dojrzewało we mnie i myślałam, że otwartość u mnie w rodzinie właśnie spowodowała, że nigdy się nie bałam rozmawiać z najbliższymi. To moja siła, że umiem się przed sobą przyznać. Leczę się książką i ujawniam to, co dzieje się we mnie. Im bardziej otwarcie mówię, tym bardziej otwarte są też reakcje ludzi. Pytana bywam o różne rzeczy. Jesteś zdrowy, nie ma problemu, ale depresja to choroba jak każda inna i trzeba ją tak traktować.

Jak to jest z bólem, który opisujesz tak wyraziście? Korzystasz z doświadczenia ciała czy możesz to sobie tak wyobrazić?

– Oczywiście, że nie musisz obeerwać, natomiast każde doświadczenie pozostawia bliznę, a ta blizna pozwala pamiętać. Dostałam od życia nie tylko psychicznie, ale i fizycznie, materialnie. Przeszłam trudne dzieciństwo w szkole jako „inna”, osoba, która wyróżniała się na tle dzieci. Dla nauczycielki byłam odludkiem, być może jej zdaniem na to zasługiwałam. Wybaczyla jej, ale pamiętam. Nie chcę mieć z tą szkołą podstawową nic wspólnego. Wiem, co znaczy ból fizyczny, ale to ból psychiczny znam na wylot. Rzecz

Przebojowe kobiece bohaterki dodają mi animuszu i siły.

jasna, bardzo duże znaczenie ma dla mnie świat filmowy, filmy dokumentalne, które realizuję, jestem w tych miejscach, oglądam zdjęcia, uczestniczę w różnych sytuacjach związanych z medycyną sądową, więc wiem, jak to wygląda, i łatwiej mi to opisać.

Unikasz w książkach dygresji, które oddalają od akcji.

– Jeśli już piszę kryminał, muszę pamiętać, że nie piszę o mieście Breslau czy mieście Wrocławiu, nie piszę atlasu, książki historycznej czy słownika. Jeżeli zarzuca się czytelnika słowami, których on nie rozumie, to się zniechęci. Po co mu to? Piszemy tak, żeby było jasne, o co nam chodzi, a nie żeby czytelnicy się doksztalcali na naszych książkach, bo uważam, że nie w tym rzecz. „To nie jest amerykański film” jest moją najobszerniejszą powieścią. Pozwalam sobie na zabieg pisania bez większego planu. Mam punkt A i punkt Z i próbuję je połączyć pewnym mostem. A to, co w międzyczasie wyjdzie, musi być fascynujące i ciekawe. Jeżeli mnie to

nie fascynuje, jeżeli mam nudną scenę do napisania, to znaczy, że ta scena będzie również nudna w odbiorze. Staram się tego unikać.

Tworzycie z mężem zgrany team, producencko, filmowo i w pisaniu.

– Mąż jest moim menedżerem. Mam wobec siebie, ale i wobec niego bardzo duże wymagania. Zdaję sobie sprawę z tego, że moje równouprawnienie w domu bywa przytłaczające w stosunku do mojego mężczyzny, muszę czasem dbać o to, żeby to on był równouprawniony. Mam nadzieję, że jesteśmy jednak „równo równouprawnieni”.

Mieszkasz, jak podkreślasz, w pięknym miejscu, w Obornikach Śląskich pod Wrocławiem.

– To miejsce czyste i przyjazne. Lubię ludzi, były takie momenty, że garnęłam się do tłumy, ale od kiedy mieszkam w Obornikach, mam taki spokój, że tłum mnie przytłacza.

Autorka kryminałów padła ofiarą złodziei. Pierwsza od roku sprawa kryminalna w Obornikach Śląskich.

– Rzeczywiście. Wczoraj wysłałam do samochodu i okazało się, że mi go ukradli. Nie jestem zła ani przytłoczona, dziwię się tylko bardzo, że jeszcze

takie rzeczy się robi, w dobie, kiedy samochody są tanie i nie trzeba kupować kradzionych. Jestem rozżalona, dlatego że ktoś na coś ciężko pracuje, a to mu się odbiera, co zresztą dotyczy wielu różnych sytuacji, sprzedaży usług, dzieła, pracy.

Wracasz do swojej detektyw Klary Schulz sprzed stu lat, wysyłasz ją do niemieckiej Łeby. Kolejny kryminał, z akcją we współczesności, osadzasz w Opolu.

– „Klara” już jest napisana, ukaże się latem pod tytułem „Bella Donna”, będzie nieco romansowo. Bardzo często w snach wracam do Opola mojego dzieciństwa, które bardzo dobrze wspominam. Uznałam, że temu miastu należy się moja książka. Tym bardziej że umieszczenie akcji w mieście tej wielkości jest zupełnie inne niż we Wrocławiu. Miasto nie za duże, nie za małe, również stare, z ciekawą tradycją. Wyludnia się na wieczór, szczególnie w porze wiosennej czy jesiennej. Tu żyje się inaczej. Opole ma ciekawy klimat. Już to mam w głowie. ■

KIM JEST JUDASZ?

Takie pytanie zadają sobie twórcy spektaklu, nawiązujący do rozmaitych interpretacji zdrady Judasza i jego późniejszych losów. Najmocniej jednak w tym spektaklu brzmią nie tyle rozważania inspirowane ewangeliami i apokryfami, ile współczesne odniesienia do konfliktów rozdierających wspólnotę katolicką, a zwłaszcza struktury hierarchiczne Kościoła, oświeczonego z wielu stron i popartego konkretnymi zjawiskami pedofilii w Kościele, jej uprawiania, tolerowania, a nawet tuszowania.

Ten mocno wyakcentowany motyw – prowadzący jednego z bohaterów, młodego wikarego, do porzucenia stanu duchownego – skłonił do próby zablokowania premiery w rzeszowskim Teatrze Maska prezydenta tego miasta, który powoływał się na opinie hierarchów. Władze kościelne zdystansowały się od tej decyzji, oprotestowa-

nej przez liczne grono twórców kultury, a patronującemu festiwalowi „Nowe Epifanie” Centrum Myśli im. Jana Pawła II ani przez myśl nie przeszło wykreślać spektakl z programu. Przeciwnie, został zagrany na otwarcie festiwalu, przyjęty niemal owacyjnie, choć z należytą powagą.

Aktorom należy się dobre słowo,

zwłaszcza Jarosławowi Tomicy, który stworzył postaci biskupa i Judasza, a także Maciejowi Owczarkowi w roli młodego wikarego, odważnie szukającego prawdy i oczyszczenia. Więcej tu pytań niż odpowiedzi. Nie dowiemy się, kim jest Judasz, choć wikary sugeruje, że współczesnym Judaszem jest Kościół. Ale taka właśnie natura teatru. Oczekiwanie, że poda on przepis na wyjście z kryzysu, rozmija się z jego misją.

Artur Pałyga, „#chybanieja”, reżyseria Paweł Passini, spektakl przedpremierowy, Studio 2 Polskiego Radia, 9 marca 2019

Tomasz Miłkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Carme Chaparro NIE JESTEM POTWOREM

tłum. Agnieszka Rurarc
Muza, Warszawa 2019

Gdyby się pokusić o zestawienie najgorszych szefów w kryminałach, komisarz Ruipérez byłby w ścisłej czołówce. Mellberg u Camilli Läckberg z tą jego zaczeską miał jednak rys komiczny. Nowy szef nadinspektor Any Arén jest draniem i oczywiście seksistą. A przy okazji – jeśli policjantka ma przyjaciółkę dziennikarkę, w zasadzie nie potrzebuje już wrogów. To właśnie Inés relacjonowała sprawę Slendermana, zrodzonego



SIŁA I SEKS

Mimo perturbacji na dyrektorskich fotelach Teatr Wielki w Łodzi nie traci animuszu i proponuje ambitny repertuar. Historia o toksycznej miłości hebrajskiego wojownika Samsona i filistyńskiej księżniczki Dalili ma odpowiednik w melodyjnej operze Camille'a Saint-Saënsa. Reżyser Marek Weiss uznał, że warto dodać pikanterii randce, na którą nie bez wahania godzi się Samson, i zaprezentować publiczności technikę *bondage*, czyli krępowania kochanka przed stosunkiem. W tej scenie Dalila śpiewa swoją najpiękniejszą arię „Mon coeur s'ouvre à ta voix”, a przy tym delikatnie przywiązuje nogi i ręce siłacza do wielkiego łoża. Właśnie Dalilę w wykonaniu Agnieszki Makótki ukazano jako symbol seksu i rozwiązłości. Z kolei Samson w osobie Dominika Sutowicza dysponuje wspaniałym, mocnym tenorem i nadmierną słabością do kobiet, czemu nie jest w stanie zapobiec świetny, głęboki bas Rafała Pikały. Warto posłuchać i popatrzeć.

Bronisław Tumilowicz

Camille Saint-Saëns, „Samson i Dalila”, kierownictwo muzyczne Vladimir Kiradjev, reżyseria Marek Weiss, Teatr Wielki w Łodzi, premiera 30 marca 2019

z legendy miejskiej porywacza kilkulatków, a potem – czyżby padła ofiarą własnych informacji? Z ciekawych postaci jest jeszcze starsza pani zapatrująca zaprzyjaźnionych hakerów w potrzebne medykamenty. Dopiero w tym gronie i po śmierci męża zaczęła żyć naprawdę. W epizodzie z przeszłości Any pojawia się z kolei pielęgniarka z porodówki, uważająca za swój święty obowiązek wytknięcie ojcu całkowitego braku podobieństwa córki. Właśnie dzięki takim scenkom i gorzkiemu tonowi debiut powieściowy hiszpańskiej dziennikarki wyróżnia się na tle kryminalnego urodzaju. I trzeba przyznać, że autorka potrafi zaskoczyć rozwojem akcji.

Aleksandra Pańko

NA EKRANACH

WILCZE ECHA

reż. Abel Lanzac, prod. Francja,
już w kinach

Zaczyna się brawurową ucieczką z wybrzeży Syrii francuskiego okrętu podwodnego, która przypomina, jak buduje się wysokie napięcie w kinie. A to dopiero preludium. Kiedy wychodzi na jaw, że Rosjanie odpalili pocisk jądrowy, Francuzi mają zdetonować swój ładunek, ale sprawy się komplikują, gdy okazuje się, że Pałac Elizejski poddał się dezinformacji. Wybuch wojny atomowej



może powstrzymać już tylko załoga „Titane’a”, wśród której wyróżnia się „Skarpeta”, nadwrażliwy akustyk obdarzony słuchem absolutnym. Wszyscy wiemy, że kiedy nadwrażliwiec trafia do woja, opcje są dwie: albo go znisz-

czą, albo naborą do niego szacunku. Jednak reżysera Abela Lanzaca nie interesuje powielanie schematów. Swojemu bohaterowi każe się potykać, podnosić, a nawet poddać, co nadaje tej opowieści dodatkowy wymiar. „Wilcze echa” zrodziły się z niepokoju o ład geopolityczny Europy. Lanzac pokazuje, że mogą go ocalić tylko pełni wad i skaz bohaterowie drugiego planu, próbujący naprawiać błędy najwyższych przełożonych. Tu widzimy cenę, jaką za to płać.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

NAGROBK. SPALAM SIĘ

„Spalam się” to najnowsza wystawa zespołu muzycznego Nagrobki,



który tworzą artyści wizualni Maciej Salamon i Adam Witkowski. Składa się na nią monumentalna kompozycja malarska – fresk sklepienny „Sąd ostateczny” Maćka Salamona, wypełniony Nagrobkową ikonografią, a także wielokanałowa in-

stalacja tytułowej piosenki „Spalam się”. Wystawie towarzyszy publikacja projektu Anny Witkowskiej, która dokumentuje dotychczasową działalność wizualną grupy Nagrobki, zawiera też wybrane teksty piosenek, recenzje oraz teksty: Stanisława Rukczy, Stacha Szabłowskiego, Bartka Chacińskiego i Jarosława Szubrychta.

SOPOT, PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI, DO 5 MAJA

KOD MISTRZÓW
KRZYSZTOF DAUSZEWICZ

Krzysztof Daukszewicz, satyryk, felietonista, poeta, kompozytor, gitarzysta i piosenkarz, działalność estradową rozpoczął w 1975 r. Od tego czasu przewinął się przez wiele estrad, kabaretów i mediów. Artysta występuje z własnymi programami satyrycznymi, realizuje programy w telewizji, jest także autorem kilkunastu książek. Otrzymał wiele nagród i odznaczeń, m.in. Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” w 2009 r. Spotkanie w ramach cyklu „Kod Mistrzów” poprowadzi Wacław Krupiński.

KRAKÓW, TEATR GROTESKA, 16 KWIETNIA, GODZ. 18



ikony jazzu”. Na festiwalowe wydarzenia zapraszają do Studia Koncertowego PR im. W. Lutosławskiego oraz do Novego Kina Wista. Na festiwalu pojawiają się Danilo Rea Trio, Sławek Jaskułka Sextet i Wojtek Mazolewski Quintet. Szczegółowy program: www.fmkk.pl.

WARSZAWA, 11-13 KWIETNIA

WYDARZENIE



11. FESTIWAL MUZYKI FILMOWEJ KRZYSZTOFA KOMEDY

„Ten rok jest wyjątkowy, obchodzimy bowiem 50. rocznicę śmierci Krzysztofa Komedy pod patronatem Polskiego Komitetu ds. UNESCO”, mówią organizatorzy festiwalu i dodają: „W ciekawy i różnorodny sposób pokazujemy twórczość Komedy z różnych muzycznych perspektyw. Festiwal jest miejscem do konfrontacji twórczości Komedy oraz okazją do spotkań polskich i europejskich artystów, których inspiruje twórczość polskiej

ZWIEDZAJ GDAŃSK Z LOKALNYMI PRZEWODNIKAMI I PRZEWODNICZKAMI

To już dziewiąty sezon ze spacerami i wykładami w dzielnicach Gdańska. Od kwietnia do czerwca trwają bezpłatne spotkania na temat gdańskich dzielnic. Wykłady są otwarte dla miłośników Gdańska chcących poznać dzieje miasta. Pod koniec czerwca zaś Instytut Kultury Miejskiej zaprasza wszystkich zainteresowanych na regularne spacer alternatywnymi szlakami po Zaspie, Biskupiej Górze, Dolnym Mieście, Nowym Porcie, Oruni, Oliwie oraz – premierowo od lata 2019 – po Wyspie Sobieszewskiej. Szczegółowe informacje: www.ikm.gda.pl/lokalniprzewodnicy.

AKCJA



Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Życie codzienne w Rijadzie

Wspomnienia z placówki dyplomatycznej



Złożenie listów uwierzytelniających królowi Fahdowi. Formalna akredytacja pierwszego ambasadora w królestwie. Dżedda, 25 kwietnia 2000 r.

Krzysztof Płomiński

Życie dyplomatyczne w Rijadzie było bardzo aktywne ilościowo, generalnie nudne i jałowe merytorycznie. Przyjęcia narodowe z zaproszeniami „z rozdzielnika” i na stojąco przypadały właściwie co drugi dzień i w znakomitej większości miały ten sam scenariusz: jeden z kilku luksusowych hoteli, identyczny skład szefów placówek, słaba reprezentacja gospodarzy i powtarzalne menu. Na dodatek to godne pożalowania krojenie nożem tortów w barwach narodowych i niekiedy z godłem. Oczywiście na przyjęciach poza terenem placówek nie podawano alkoholu, co uzasadniało skrzykiwanie się na lampkę wina w drodze powrotnej, „w trosce o trawienie”. Mimo zakazu alkohol miał kto chciał, „organizowany” w najróżniejszy sposób. Nie sły-

szałem, by dyplomaci pędzili bimbier, w przeciwieństwie do innych środowisk, również miejscowych, gdzie był znany pod nazwą *sadiqi* (chyba najbliższe tłumaczenie to druh). Napoje wysokowe mogły być serwowane jedynie w obiektach korzystających ze statusu dyplomatycznego. Puste butelki tłukliśmy lub zabierał je personel obsługujący nas hotelu, by wycisnąć pozostałe krople, o ile nie zostały skonfiskowane przez policję przy wyjeździe z Dzielnicy Dyplomatycznej.

W przyjęciach narodowych i oficjalnych imprezach ambasador musiał uczestniczyć, spotykając w tych samych miejscach tych samych służbowo uśmiechniętych ludzi, jedzących podobne potrawy i spragnionych urozmaicenia, najlepiej w formie trafionego dowcipu lub ciekawostki. Bardziej barwne i cenione były spotkania w wąskim

gronie, w niektórych rezydencjach z wyrafinowaną kuchnią. Saudyjczycy prywatnie zapraszali rzadko, poza okresem ramadanu, kiedy zaproszeń było dużo i raczej nie wypadało ich nie przyjmować.

W środowiskach biznesowych i intelektualnych nie musiała dziwić obecność przy stole pani domu. Tradycyjnie do stołu zasiadali jednak tylko mężczyźni. Pozostali domownicy czekali na swoją kolej, a po nich służba. I to przy obfитоści potraw, których nadwyżki były odbierane przez stowarzyszenia charytatywne i dzielone wśród biednych. Zgodnie z tradycją Saudyjki z bogatych rodzin nie jadły na proszonych przyjęciach, by „nie pomyślano, że brakuje im w domu”.

Od czasu zagospodarowywania rezydencji i ja regularnie zapraszałem gości. Oferowaliśmy głównie lżejsze dania polskie, z wyłączeniem wieprzowiny, która w przeciwień-

stwie do Iraku czy Jordanii nie była w żadnej postaci dostępna na rynku. Edward Stankiewicz, wspierany przez żonę, osiągnął w tym zakresie finezję, rozwijając doświadczenia irackie. W roli kelnerów występowało zatrudnione w rezydencji małżeństwo – Senait i Takhaste, a niekiedy również lokalni pracownicy ambasady ze Sri Lanki – Falil i Anton. Przy większych imprezach zawsze łączyliśmy catering z Sheratona z wkładem własnym, przyrządzanym w szerszym, polonijnym gronie. Wizytom z Polski towarzyszyły każdorazowo koktajle wydawane dla danego środowiska gospodarzy.

Na jednym z pierwszych spotkań w niewielkim gronie zjawiła się samotna dziennikarka saudyjska z lokalnej telewizji, co samo w sobie było ewenementem. Z uwagą pomogłem jej zdjąć czarną pelerynę i zapytałem, co wypije. W krajach arabskich zawsze można oczekiwać zaskoczenia, ale uwagi kobiety, że w tym miejscu najbardziej oczywisty jest kieliszek polskiej wódki, skądinąd logicznej, rzeczywiście się nie spodziewałem! I wiedziała, że najlepsza jest „Wybrowa”. Polska wódka zawsze była w barku, choć serwowana bardzo oszczędnie, najczęściej przed otwarciem bufetu lub przejściem do stołu, w minikieliskach ustawionych na platerowanej tacy, równolegle do identycznego rzędu z wodą „dla niepijących”. Napoje wyróżniały czerwony i biały kwiatek. Poczucie wspólnoty było na tyle silne, że niektórzy po wypiciu wody czuli się podchmieleni. Na koniec był zawsze mazagran, polska kawa, znany z irackich stronic książki.

Corocznie organizowaliśmy w rezydencji dwa przyjęcia narodowe, uzupełniając szczupłość budżetu pomysłami, a niekiedy korzystając z cichego wsparcia dobrych ludzi polskiego biznesu. Niezapomniany był wieczór 11 listopada 2000 r., z udziałem marszałek Grześkowiak, delegacji parlamentarnej, dużej grupy biznesowej i dziennikarzy, a jednocześnie bezprecedensowego szczebla miejscowych gości. Obecność dostojników była jednak warunkowana niepodawaniem alkoholu. Zapewniłem, że go nie zobaczą, wiedząc, że oficjele przyjadą punktualnie zaraz po ekipach telewizyjnych i opuszczą przyjęcie przed upływem godziny. Taka praktyka pozwalała na dopusz-

czalny kompromis, wyznaczany czasem otwarcia baru. Ponadto alkohol był podwójnie niewidzialny. Serwowaliśmy go tym razem wyłącznie z pojemników z kranikami, w trzech wersjach gotowych drinków – na bazie czystej wódki, żubrówki i dżinu, odpowiednio z sokiem pomarańczowym, jabłkowym i tonikiem. Z tymi pojemnikami był duży problem.

Dyrekcja Sheratona jak ognia bała się podejrzenia, że wykorzystywane są ich restauracyjne pojemniki do soku, co groziło zamknięciem hotelu. W końcu sami znaleźliśmy rozwiązanie, za co hotel odwdziaczył się prezentem w postaci zestawu dużych podświetlonych rzeźb z lodu, łącznie z orłem, który wprawdzie pocił się w temperaturze ponad 30 stopni, ale za to nie trzeba było go kroić. Przyjęcie odbywało się wieczorem w ogrodowej części posesji, świeżo zagospodarowanej, choć kilkumetrowe podświetlone palmy daktylowe sprawiały wrażenie zasiedziały.

Życie dyplomatyczne w Rijadzie było aktywne ilościowo, ale generalnie nudne i jałowe merytorycznie.

Elementem kompozycji była wielopiętrowa patera z pudrowanymi faworkami ułożonymi w choinkę, też zabronioną. Był to jeden z naszych wyróżników. Zawsze robiliśmy więcej faworków, by następnego dnia rozesać je w paczuszkach osobistościom, które nie skorzystały z zaproszenia, wraz z listem wyjaśniającym, że jest to tradycyjny polski produkt ludowy, przygotowany przez panie z polskiej społeczności. Pilnowaliśmy przy tym, aby nie była to partia z dodatkiem spirytusu. Gest robił wrażenie, wyrażane podziękowaniami. Przy okazji ktoś odkrył, że podobne słodczyce jeszcze w XIX w. robiły Beduinki. Sprawę nagłośniły media, podkreślając podobieństwo tradycji. Niejeden z moich kolegów zgrzytał zębami. Tak jak w przypadku, gdy dyrektor z saudyjskiego MSZ uściśkał mnie serdecznie w większym gronie ambasadorów, mówiąc, że „przez cały ramadan będzie tęsknić za smakiem polskiej kawy”.

Eleganckie termosy z mazagranem stały zawsze w sąsiedztwie faworków i rzeczywiście przyciągały wielu gości jak magnes, nawet już po pożegnaniu się cofających z dro-

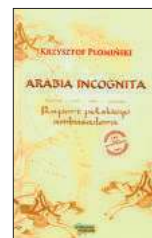
gi do czekających przy podjeździe samochodów.

Przebojem omawianego przyjęcia miała być jednak beczka bezalkoholowego piwa przywieziona z Polski samolotem specjalnym. Ku zdziwieniu wtajemniczonych pani marszałek wyraziła na to zgodę. Założeniem było, że piwo dostaniemy bezpłatnie, w zamian za promocję. Zamiast tego sam „zapieniłem się” po rozmowie z prezesem czołowego browaru. Wprawdzie gotów był sprezentować nawet kilka beczek, ale wykluczył promocję, ani kropla tego napoju nie była bowiem produkowana w Polsce.

W trakcie wizyty miało miejsce jeszcze jedno szczególne wydarzenie: szefowa delegacji chciała uczestniczyć w niedzielnej mszy świętej, zamierzając zabrać ze sobą kapelana. Przyjęła jednak zapewnienie, że o księdza zadbam sam. Ściągnęliśmy go z jednej z amerykańskich baz wojskowych. Na tę okazję salon rezydencji zamienił się w kaplicę. Podkreślało

to jego wielofunkcyjność. Gościł bowiem również lokalnie organizowane koncerty pianistyczne. Był miejscem pierwszej ceremonii ślubu – Lidii i Samira Ibrahimów, obojga wielce zasłużonych dla promocji polskich interesów w Królestwie. Podczas mojej misji jeszcze jedno przyjęcie narodowe odbyło się w ponadprzeciętnym wymiarze i oprawie i również do dzisiaj jest wspominane przez uczestników. Odbyło się to w listopadzie 2003 r. Wśród gości była ponad 50-osobowa delegacja rządowo-biznesowa towarzysząca wicepremierowi Markowi Polowi i równie wysoka reprezentacja gospodarzy. Wizyta zainaugurowała praktykę posiedzeń dwustronnej komisji międzyrządowej. Tym przyjęciem żegnałem się z Arabią Saudyjską, choć... wcale tak być nie musiało!

Fragment książki
Krzysztofa Plomińskiego
*Arabia incognita. Raport
polskiego ambasadora*,
Wydawnictwo Grupa M-D-M,
Warszawa 2019



Człowiek w nowym stadium ewolucji

Jak gatunek ludzki
przystosuje się
do nowych warunków
klimatycznych na Ziemi



Mateusz Mazzini

Jedną z największych sensacji naukowych były wyniki badań genetycznych plemienia Bajau, zamieszkującego wyspy Azji Południowo-Wschodniej.

Wizje, w których życie na naszej planecie albo będzie niemożliwe, albo stanie się luksusem dostępnym dla wyselekcjonowanej grupy ludzi, są w ostatnich latach szczególnie popularne w popkulturze. Coraz częściej jednak w serialach czy w filmach fabularnych oglądamy Ziemię już nie opustoszałą po katastrofie nuklearnej, ale po prostu zniszczoną przez współczesną cywilizację. Nowym głównym nurtem stały się scenariusze, w których do oceanów i mórz nie można się nawet zbliżyć z powodu stężenia toksyn, a czyste powietrze i nieprzetworzone jedzenie, owszem, istnieje, ale w odizolowanych miejscach.

W takich produkcjach jak brazylijski serial „3%” czy amerykańska saga „Stu” o setce nastolatków, którym powierzono misję odtworzenia ludzkiej cywilizacji na pustej Ziemi, pojawia się jeszcze jeden motyw – człowiek w nowym stadium ewolucji. Bohaterowie najczęściej wyposażani są przez swoich twórców w jedną bądź kilka innowacyjnych cech biologicz-

nych, dzięki którym mogą przetrwać w coraz trudniejszych warunkach ziemskiego środowiska. W repertuarze scenarzystów pojawiają się takie „aktualizacje” ludzkiego ciała jak odporność na promieniowanie, sztucznie zwiększona moc obliczeniowa mózgu, powiększenie pola widzenia oraz rozmaite bioimplanty.

Realne zmiany w ludzkim organizmie będą niemal na pewno niewidoczne dla oka.

To przynajmniej na razie czysta fikcja. Bo choć z klimatem jest coraz gorzej, wciąż w oceanach da się pływać, a jedzenia produkujemy zdecydowanie więcej, niż jesteśmy w stanie skonsumować. Nie zmienia to faktu, że niedługo, w ciągu jednego czy dwóch stuleci, co z perspektywy ewolucyjnej jest mniej niż mrugnięciem, do przeżycia na Ziemi możemy potrzebować zdolności biologicznych, których dzisiaj nie mamy.

Oczywiście w swoim naturalnym tempie ewolucja tak szybko nie za-

działa. Nawet przy najwyższej w historii dynamice przemian cywilizacyjnych, prowadzących również do zmian w ludzkiej biologii, nie ma szans, byśmy w tym samym tempie, w którym niszczyliśmy naszą planetę, naturalnie wytworzyli skrzela pozwalające pływać pod wodą czy filtry blokujące promieniowanie. Nie ozna-

cza to jednak, że jako gatunek zatrzymaliśmy się w ewolucyjnym rozwoju bądź nie mamy genetycznego

potencjału, by w przyszłości funkcjonować dużo wydajniej w zdegradowanym środowisku naturalnym.

Po pierwsze, jesteśmy dziś bardziej zróżnicowani genetycznie niż kiedykolwiek. Jako pierwsi dowody na potwierdzenie tej tezy przedstawili kilka lat temu amerykańscy naukowcy z University of Washington i University of Pennsylvania. W 2012 r. opublikowali w magazynie „Nature” wyniki badań wariacji ludzkiego DNA, czyli zmian w naszym kodzie genetycznym. W ramach studium zidentyfikowano

ponad milion różnych wariantów, wyodrębnionych z próbek pochodzących od 6515 losowo wybranych osób z całego świata. 73% znalezionych kompozycji było, jak określają to badacze, „bardzo młodych”. „Zdecydowana większość nieznanych nam dotąd wariacji w DNA powstała w ciągu ostatnich 200 pokoleń. To jakieś 5 tys. lat, nie więcej. Z ewolucyjnej perspektywy – pstryknięcie palcem. Oznacza to po prostu, że gatunek ludzki ewoluje najszybciej w historii”, podsumował Joshua Akey, genetyk z University of Washington i koordynator badania, w wypowiedzi dla magazynu „Wired”.

Zdaniem Akeya przyczyn tej eksplozji genetycznego zróżnicowania jest kilka, a główna to gigantyczny wzrost populacji. „Przejdźcie z poziomu 700 mln do 7 mld ludzi zajęło nam około trzech stuleci. To błyskawiczny przeskok o cały rząd wielkości. Zwiększył on znacznie naszą różnorodność genetyczną”. Do wzrostu liczebności trzeba też dodać masowe migracje oraz, niestety, rozwój jednostek chorobowych. Badania Akeya, które potwierdziła również genetyczka Sarah Tishkoff z University of Pennsylvania, wskazują bowiem, że spośród tych wyodrębnionych wariacji, o których wiadomo, że wywołują choroby lub szkodzą rozwojowi organizmu, aż 91% powstało właśnie we wspomnianym okresie. Krótko mówiąc, nie tylko ewoluujemy w ekspresowym tempie, ale także pośpiech ten bardzo nam szkodzi.

Jakie ma to przełożenie na nasze szanse w starciu z ociepleniem klimatu i innymi zmianami środowiskowymi? Wbrew pozorom dość duże. Żeby zrozumieć je w pełni, należy sięgnąć głębiej niż tylko do zewnętrznego wizerunku człowieka. Skrzydła, powiększone czaszki czy dłonie z trzema palcami zostawmy scenarzystom *science fiction*. Realne zmiany w ludzkim organizmie, jeśli zajdą, niemal na pewno będą niedostrzegalne dla oka. Niektóre zresztą istnieją już teraz.

W ubiegłym roku jedną z największych sensacji naukowych okrzyknięto wyniki badań genetycznych ludu Bajau, zamieszkującego wyspy Azji Południowo-Wschodniej, głównie Borneo, Celebes, Jawę i sąsiadujące z nimi mniejsze archipelagi. Bajau od dawna nazywani byli, również przez zachodnich antropologów, noma-

dami morza, ponieważ większość życia spędzają na łodziach, rzadko schodząc na stały ląd. Już w 1521 r. uczestniczący w ekspedycji Ferdynanda Magellana Antonio Pigafetta pisał, że członkowie tego plemienia zdają się „lepiej czuć na wodzie, niż mając ziemię pod stopami”. Na temat ich zdolności pływania i nurkowania przez wieki krążyły legendy, jednak dopiero współcześnie zbadano ich źródło. Melissa Ilardo

Ewoluuujemy w ekspresowym tempie, ale pośpiech ten bardzo nam szkodzi.

z University of Utah, amerykańska genetyczka ewolucyjna, porównała strukturę ich DNA z kodem genetycznym przedstawicieli rolniczego plemienia Saluan, mieszkającego w głębi lądu.

Wyniki szybko wskazały źródło nietypowych zdolności Bajau. Członkowie tego plemienia mogą wytrzymać pod wodą bez wspomagania nawet do pięciu minut i zejść na głębokość przekraczającą 70 m. Najlepsi zawodowi nurkowie wytrzymują ok. 30 sekund mniej. Przyczyną okazał się rozmiar śledziony – u Bajau była ona o prawie połowę większa niż u przedstawicieli innych plemion czy ras. Wśród członków ludu zróżnicowanie było znacznie mniejsze – plemienni nurkowie mieli śledzionę zaledwie o 10% większą od narządu tych, którzy nie nurkują. Pokazuje to, że za zdolność głębokiego i długiego nurkowania odpowiada genetyka,

Członkowie ludu Bajau mogą wytrzymać pod wodą do pięciu minut i zejść na głębokość ponad 70 m.

a nie trening, co zresztą potwierdziły badania DNA. Prof. Ilardo wyodrębniła u Bajau aż 25 unikatowych wariacji DNA, wszystkie związane ze zdolnością funkcjonowania na tzw. deficycie tlenowym, czyli bez możliwości dostarczenia go organizmowi.

Przykład Bajau udowadnia, że gatunek ludzki jest w stanie, przynajmniej do pewnego stopnia, przystosować się do zmieniającego się otoczenia. Inne badania genetyczne, archeologiczne i antropologiczne wskazują bowiem, że Bajau nie zawsze spędzali większość życia na wodzie. Początkowo mieli być ludem

koczowniczym związanym z morzem, lecz żyjącym na lądzie. Dopiero wędrówki po kolejnych archipelagach i konflikty z innymi plemionami wymusiły na nich obecny tryb życia. Dzięki swojej strukturze genetycznej mogą wytawiać np. małże żyjące na sporych głębokościach.

Ponieważ jednym z głównych skutków ocieplenia klimatu jest podnoszenie się poziomu mórz i oceanów, ta zdolność wkrótce może się okazać niezbędna do przetrwania. W cieplejszych wodach przy powierzchni ryby i ssaki morskie mogą znaleźć coraz mniej pożywienia.

Materiał organiczny zsuwa się coraz głębiej, tymczasowo wzmacniając tzw. ekosystemy głębokiego morza i osłabiając gatunki żyjące przy powierzchni, czyli właśnie te, które najczęściej jedzą ludzie. Plemiona takie jak Bajau, opierające dietę na rybach, będą musiały sięgać po pożywienie coraz głębiej. Oni akurat są do tego przystosowani, ale w skali świata stanowią wyjątek.

W przypadku morskich nomadów z Azji Południowo-Wschodniej ewolucja zadziałała, jak widać, szybko i skutecznie. Żeby jednak podobny efekt zaistniał na skalę globalną, potrzeba by genetycznego cudu. Aby lepiej funkcjonować na coraz gorętszej planecie, ludzie musieliby się nauczyć chociażby lepiej znosić ekstremalne stany pogodowe, żyć na wyższych wysokościach (co wymagałoby innego sposobu gospodarowania tlenem przez organizm)

i skuteczniej magazynować energię, bo zmiany klimatyczne szybko mogą spowodować, że dostęp do żywności stanie się mocno ograniczony.

Wszystkie te ewolucyjne drogi rozwoju pozostaną jednak myśleniem życzeniowym, jeśli człowiek nie przestanie niszczyć całego ekosystemu. Jako gatunek może i damy radę dostosować się do coraz trudniejszej do życia planety, pytanie tylko, czy będzie to miało jakikolwiek sens. Ziemia może bowiem nie dać rady dostosować się do nas, a wtedy o żadnym życiu na niej nie będzie już mowy. ■

Rozmawia Stefan Zgliczyński

Opowiedz coś o sobie. Twoja rodzina ma korzenie lewicowe?

– Oboje rodzice działali w chilijskiej Partii Socjalistycznej i zajmowali stanowiska w rządzie Salvadora Allende. Po puczu Augusta Pinocheta w 1973 r. stali się ofiarami represji junty. Ojca przez kilka miesięcy przetrzymywano na Stadionie Narodowym w Santiago wśród 40 tys. innych więźniów – to była chyba największa izba tortur na świecie! Matkę osadzono w więzieniu wojskowym w Atacamie. Oboje byli bici i torturowani. Dzięki pomocy ambasady Meksyku ojcu udało się wyemigrować do tego kraju, skąd wrócił dopiero w 1989 r. Matkę zaś, z zawodu nauczycielkę historii, zesłano jako niebezpieczną do odległej prowincji z zakazem jej opuszczania oraz nauczania.

Wychowywałaś się bez rodziców?

– Tak. Przez siedem lat mieszkaliśmy z siostrą u babci, a matkę widywałyśmy tylko w weekendy. Nie mogła nawet wychodzić z domu. Przyjeżdżałyśmy do niej z siostrą w każdy piątek i odjeżdżałyśmy w niedzielę. To były bardzo szczęśliwe piątki i bardzo smutne niedziele.

Działałaś politycznie?

– Od liceum działałam w nielegalnej Partii Socjalistycznej, a w latach 1984-1998 byłam nawet wiceprzewodniczącą jej młodzieżówki.

Byłaś represjonowana?

– Od dziecka żyłam z piętnem córki wrogów państwa. Ale nigdy się nie załamalam, bo matka dała mi siłę i wpoiliła mi, że trzeba walczyć o to, w co się wierzy.

W 1989 r. Pinochet przegrał referendum i zaczął się powolny proces demokratyzacji kraju. Jak to odbierałaś?

– Z wielką nadzieją. Ufaliśmy naszemu opozycyjnym przywódcom, że po tylu latach dyktatury nareszcie wprowadzą demokrację.

Zawiodłaś się?

– Tak. Ruch społeczny, który przez dekady walczył z Pinochetem, przekazał po 1989 r. odpowiedzialność za zmiany w Chile liderom politycznym, a ci bardzo nas rozczarowali.

Co tak was rozczarowało?

– Demokratyczni liderzy, w tym socjaliści, szybko przywykli do swojego nowego statusu – polityków,

MARCELA
ALEJANDRA
MELLA ORTIZ

– chilijska ekolożka
i działaczka praw człowieka



Walka o wodę w Chile

Wody wszystkich rzek w kraju mają swoich właścicieli

postów, ministrów, dyplomatów – i przestali wykazywać jakkolwiek chęć zmiany pinochetowskiego ustawodawstwa. Bardzo szybko przystosowali się do neoliberalnego modelu zaaplikowanego Chile w latach dyktatury i nie zrobili nic, aby go zmienić. Dość powiedzieć, że w Chile nadal obowiązuje konstytucja z czasów Pinocheta.

Chcesz powiedzieć, że dawni towarzysze prezydenta Allende zdradzili jego idee i podpisali się pod neoliberalnym, pinochetowskim kursem?

– W rzeczy samej. Zdradzili i zapomnieli o tysiącach ofiar reżimu, które oddały życie i zdrowie za idee równości. Przyłączyli się ideowo do neoliberalnego kursu, na który Chile zostało skierowane przez juntę, USA i tzw. *Chicago boys*.

Co robisz teraz?

– Jestem aktywistką społeczno-ekologiczną, rzeczniczką organizacji obywatelskiej No Alto Maipo, która broni rzeki Maipo zaopatrującej w wodę Santiago, stolicę kraju. Jesteśmy grupą działaczy i działaczek, która walczy z neoliberalnym modelem zawłaszczania ziemi i wody w Chile. Konflikt rozpoczął się w 2007 r. w przetomie rzeki Maipo, w regionie

San José de Maipo, w którym mieszkam. Region ten jest częścią regionu stołecznego i leży między łańcuchem andyjskim a wybrzeżem oceanu. Maipo to najważniejsza chilijska rzeka, bo nie tylko stanowi źródło wody dla Santiago, gdzie mieszka 40% populacji Chile, lecz także nawadnia rozległe obszary rolnicze, produkujące żywność dla całego kraju. To zielone płuca Chile, odwiedzane corocznie przez 3 mln turystów.

Kto chce je zniszczyć?

– AES Corporation – północno-amerykańska firma budująca system tuneli długości 70 km, który ma zbierać wodę z trzech najważniejszych dopływów rzeki Maipo i przekierowywać ją do budowanej hydroelektrowni, mającej wytwarzać energię na potrzeby największej chilijskiej kopalni miedzi Los Pelambres.

W jakim stadium znajduje się budowa?

– Firma twierdzi, że zbudowała już 50 km, ale według naszych szacunków dopiero 30 km. Projekt miał się skończyć w 2017 r. i kosztować 600 mln dol. Obecnie koszt całości szacuje się na 3 mld dol.

Twoja organizacja walczy o całkowite zarzucenie projektu, ale jeśli wam się nie uda, to jakie skutki

dla Santiago i całego Chile będzie miała jego realizacja?

– Nie dość, że Santiago może nie mieć wystarczającej ilości wody pitnej, a jej jakość – z powodu zanieczyszczenia metalami ciężkimi i arszenikiem – pogorszy się dramatycznie, to jeszcze całemu regionowi grozi pustynnienie. Chile, a szczególnie rejon rzeki Maipo, jest jednym z najbardziej widocznych i dramatycznych przykładów efektów zmiany klimatu. Realizacja projektu Alto Maipo doprowadzi do tego, że w regionie zabraknie wody, upadną rolnictwo i turystyka...

Chile to jedyny kraj na świecie, w którym sprywatyzowano całą wodę. Czy Maipo i jej dorzecza też są prywatne?

– Wody wszystkich rzek w Chile mają właścicieli. To korporacje górnicze, energetyczne i rolno-przemysłowe albo wielcy posiadacze ziemscy. Właściciele wody mają bezwzględne pierwszeństwo w jej wykorzystaniu i są zobowiązani oddawać (czyli sprzedawać) jedynie 10% zwykłym obywatelom.

W Chile nadal obowiązuje konstytucja z czasów Pinocheta.

Kto sprywatyzował wodę w Chile?

– Zaczęto za Pinocheta, a zakończono w czasach demokracji.

Czyli wasza działalność jest nielegalna, bo występujecie przeciwko własności prywatnej.

– Nie jest nielegalna, ale oskarża się nas, że zagrażamy własności prywatnej, jesteśmy wrogami korporacji i przeciwstawiamy się modernizacji kraju, czyli jesteśmy wrogami państwa. Co więcej, mówimy głośno, że projekt Alto Maipo to przykład korupcji politycznej. Sama Partia Socjalistyczna ulokowała swoje fundusze w akcjach amerykańskiej spółki zaangażowanej w projekt. Jeśli nam się uda i go zablokujemy, kurs akcji tej firmy spadnie i chilijscy politycy stracą pieniądze. Proste. Trzeba również dodać, że kampanie wyborcze są finansowane przez wielkie koncerny. Możemy się domyślać, że nie jest to działalność filantropijna.

Jaki jest cel twojego pobytu w Europie?

– Jednym z celów jest uświadomienie Europejczykom i Europejkom, że to ich firmy i banki wspierają dewastację środowiska naturalnego

w moim kraju. Tunele w projekcie Alto Maipo buduje austriacka firma Strabag (od 30 lat działająca również w Polsce), a sam projekt współfinansują trzy europejskie banki – dwa niemieckie (w tym państwowy Deutsche Bank) i jeden norweski (państwowy). W cyklu wykładów i prezentacji, które miałam ostatnio w Belgii, a teraz w Polsce, pokazuję, że np. Strabag, chwalcący się

Demokratyczni liderzy szybko przywykli do swojego nowego statusu – polityków, posłów, ministrów, dyplomatów.

innowacyjnością i troską o prawa pracownicze oraz ekologię, nie mógłby realizować podobnej inwestycji w Europie, gdyż to, co robi w Chile, jest niezgodne z przepisami europejskimi. Środowisko naturalne to jedno, a dwa – działalność Strabagu w Chile sprzyja powstawaniu konfliktów społecznych. Pijaństwo, narkotyki i molestowanie dziewcząt – praktycznie nieistniejące wcześniej w moim regionie – są teraz na porządku dziennym. W miejscach dawniej bezpiecznych: w parkach,

– W ostatnich pięciu latach ryzyko związane z prowadzeniem działalności ekologicznej w Chile znacznie wzrosło. Ponieważ nasza aktywność stanowi duże zagrożenie dla międzynarodowych koncernów wydobywczych i energetycznych, jesteśmy poddawani inwigilacji i presji również ze strony organów państwowych. W ostatnich latach

w Chile zginęło troje działaczy ekologicznych – za przyczynę ich śmierci oficjalnie uznano samobójstwo, ale ja w to nie wierzę, bo my kochamy życie, w obronie którego występujemy. Rodziny tych działaczy prowadzą własne śledztwa, w wyniku których w dwóch przypadkach samobójstwo już wykluczono.

A skąd macie fundusze na działalność?

– Od 12 lat sami je zdobywamy. Nie zwracaliśmy się nigdy o pomoc do państwa, bo kontestujemy jego działalność w tym zakresie. Organizujemy zbiórki pieniędzy, koncerty (czasem międzynarodowych gwiazd, np. Manu Chao), sprzedajemy obrazy, płyty. Artyści w Chile są bardzo zaangażowani w naszą walkę i chętnie nam przekazują swoje dzieła, które sprzedajemy lub licytujemy. W tym roku prowadzimy akcję wśród naszych sympatyków na portalach społecznościowych, apelując, aby każdy wpłacił symboliczne 1 peso na naszą działalność.

W Polsce można przeznaczyć na podobny cel 1% swoich podatków. Czy w Chile to możliwe?

– Nie, w Chile odliczenia i ulgi podatkowe są tylko dla korporacji. ■

na boiskach i placach zabaw, prześiadują teraz Europejcy mężczyźni (głównie Austriacy), pracujący na kierowniczych stanowiskach i zarabiający dobre pieniądze, którzy czują się praktycznie bezkarni.

Działalność ekologiczna w Ameryce Łacińskiej diametralnie różni się od tej w Europie. Szantaż, zastraszanie, a także zabójstwa aktywistów sprzeciwiających się niszczeniu środowiska przez koncerny i lekceważeniu przez nie praw lokalnych społeczności są na porządku dziennym. A jak to wygląda w Chile?

Bądź wrażliwy, zadeklaruj 1% podatku dochodowego za 2018 r. i przekaz na rzecz Organizacji Pożytku Publicznego

KRS nr 0000145140

albo wpłać darowiznę na konto 93 1020 1068 0000 1202 0001 6246

Fundacji Pomocy Weteranom LWP

Al. Ujazdowskie 6A/ lok. 28, 00-461 Warszawa.

Uzyskane środki pieniężne zostaną przekazane podopiecznym fundacji.

Przełącz 1%

Z żołnierskim pozdrowieniem Fundacja Pomocy Weteranom LWP

✉ BOMBARDOWALIŚMY NAS

27 marca uczestniczyłem w dyskusji Klubu Dobrej Pamięci we Wrocławiu, gdzie zaprezentowałem m.in. felieton Edwarda Mikołajczyka „Bombardujemy nas” (PRZEGLĄD nr 12). Stwierdziłem, że w działaniach NATO przeciw Serbii nie mieliśmy narodowego interesu, ale Polska była w nie uwikłana z powodu przynależności do tego paktu, choć wykraczając poza granice jego członków, naruszył on własny statut. W tamtej sytuacji liczące ok. 100 członków pozarządowe stowarzyszenie Liga Polska-Jugosławia, którego prezesem byłem w latach 2000-2005, zaprezentowało jednak solidarność z narodem serbskim. Kilka miesięcy po agresji NATO wystaliśmy gratulacje prezydentowi – wtedy jeszcze Federalnej Republiki Jugosławii – Vojislavowi Koštunicy. Dostaliśmy za nie serdeczne podziękowania.

Przeczytałem opinię redaktora Mikołajczyka, że w sytuacji zbliżającej się katastrofy rozpadu (a moim zdaniem właściwie rozbicia Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii przy udziale państw ościennych) obywatele Jugosławii nie skorzystali z doświadczeń Polski, aby zorganizować Okrągły Stół. Powiedziałem, że zasada corocznej rotacji na kierowniczych funkcjach wszystkich szczebli władzy państwowej dodała napędu nacjonalistycznym, populistycznym przywódcom. W 1985 r. ówczesny minister obrony adm. Branko Mamula, człowiek jeszcze z otoczenia Josipa Broza-Tity, zaprosił delegację z Polski z gen. Józefem Barytą, aby zapoznać się z doświadczeniem naszych wojskowych na temat przygotowania i realizacji stanu wojennego. Byłem uczestnikiem tego spotkania. Delegacja opozycjonistów antyrządowych z Jugosławii uczestniczyła w obradach kongresu Solidarności w Stoczni Gdańskiej, ale z dalszych nauk – przepraszam, porad – z Polski nie skorzystali. Tak więc, redaktorze Edwardzie: *i ja, i Ti, mi svi Poljacy, nismo bili spremni na taj sram, koji smo doživjeli* (i ja, i Ty, my wszyscy Polacy, nie byliśmy gotowi na ten wstyd). Bombardowaliśmy nas! Pozdrawiam wszystkich Polaków, przyjaciół Jugosłowian, z redaktorem Mikołajczykiem na czele.

Wiktor Kinecki ambasador PRL w SFRJ
(styczeń 1979-kwiecień 1986)

f DLACZEGO MŁODZIEŻ NIE GŁOSUJE NA LEWICĘ

Lewica nie jest żadną alternatywą dla układu PO-PiS. Zamiast stanąć w kontrze do tego, co mamy od 15 lat, lewica poszła na zgnióty kompromis z liberalną prawicą, tj. PO. Mam tu na myśli zwłaszcza moją partię – SLD, co przyznaję z nieukrywana przykrością. To żenada, że po tylu latach rządów prawicy jedyna licząca się lewicowa partia w Polsce jest na poziomie progu wyborczego i boi się samodzielnego startu w wyborach. Ponadto lewica nie ma dzisiaj żadnego programu, którym byłaby w stanie przyciągnąć wyborców. Wystarczy zaprosić do współpracy takie wybitne osobowości jak prof. Karpiński czy

prof. Kołodko i mógłby powstać fundament porządnego lewicowego programu gospodarczego.

Lukas Lee

f DYREKTYWA O PRAWACH AUTORSKICH TO NIE ACTA 2

Dyrektywa o prawach autorskich to nie żadne ACTA 2. Cel określania jej w ten sposób był jasny – wzbudzić skrajanie z ACTA, ostatecznie nieprzyjętą umową handlową z 2012 r., której następstwa trudno było przewidzieć i która procedowana była w sposób daleki od jawności (projekt zatwierdzono na Radzie ds. Rolnictwa i Rybołówstwa UE).

Parlament Europejski nie wywołał „końca internetu”, nie będziemy płacić „podatków od linków” i nikt nam nie „zbanuje memów”. Wbrew kampaniom dezinformacji uruchomionym przez Google’a, Facebooka i niektórych influencerów celem nie jest cenzura, lecz – po prostu – poprawa losu artystów, wydawców i dziennikarzy. Ta decyzja to wielkie zwycięstwo sektora kreatywnego.

W myśl art. 11 portale społecznościowe (Facebook), wyszukiwarki, agregatory wiadomości (Wiadomości Google) i serwisy wykorzystujące cudze treści (Wykop) zapłacą artystom i dziennikarzom „podatki” za ich utwory czy teksty. Mniej restrykcyjne regulacje obejmą start-upy. Żadnych kosztów nie poniosą natomiast użytkownicy dzielący się w sieci linkami, zdjęciami, memami czy gifami, a popularna Wikipedia ma nadal działać tak, jak działa (dzięki tzw. dozwolonemu użytkownikowi).

Kontrowersje wzbudził natomiast art. 13, którego zadaniem jest uszczelnienie tzw. *value gap*, czyli sytuacji, w której duży portal zarabia na treściach znacznie więcej niż ich autorzy. Zapis przenosi odpowiedzialność za naruszanie praw autorskich z użytkownika na portal. Budzi to istotne obawy i część parlamentarzystów dążyła do wykreślenia tego zapisu z treści dyrektywy (ich wnioszek przepadł raptem pięcioma głosami!). Szczególnie głośno przekupował zagrożenia Michał Boni (PO).

Dlaczego mamy prawo się obawiać? Mechanizm filtrowania treści, który niewątpliwie pojawi się na stronach, z pewnością będzie się mylił. Niewykluczone zresztą, że w obawie przed możliwymi karami portale same nałożą na siebie nazbyt restrykcyjne ograniczenia. Już teraz zdarza im się prewencyjnie blokować utwory, których wykonywanie nie narusza prawa autorskiego.

Paradoksalnie art. 13 zagraża utwardzeniem monopolu dużych portali, dla których wdrożenie takiej filtracji nie stanowi istotnego problemu finansowego, a które w dodatku wynagrodzają z branżami kreatywnymi korzystniejsze (dla siebie) warunki.

Dyrektywa musi zostać wdrożona w każdym z krajów członkowskich, na co mamy czas do 2021 r. Na tym etapie wiele obaw może się rozwiać bądź wprost przeciwnie. Wszystko zależy od tego, w jaki sposób nowe prawo zostanie zinterpretowane i doprecyzowane.

Michał Czarnowski



MSZ – tajemnica bezruchu

W poprzednich numerach pisaliśmy o patologii polskiej dyplomacji. Po pierwsze, wiceministrami są ludzie spoza MSZ, którzy nigdy nie byli na zagranicznej placówce (z wyjątkiem Macieja Langa), nie mają więc zbyt pojęcia, jak to ministerstwo pracuje. A to oni tym kierują.

Po drugie, mamy chory system mianowania na stanowiska ambasadorów – kandydat musi uzyskać przychylność kilku ośrodków władzy. Musi mieć poparcie premiera, musi mieć poparcie prezydenta (czy raczej jego ministra Krzysztofa Szczerskiego) i musi mieć poparcie w Sejmie, bo posłowie PiS dowodzeni przez posłankę Gosiewską potrafią kandydaturę utracić. No i warto mieć poparcie w IPN...

Zauważmy, że w tej wyliczance najmniej ważne są umiejętności i wiedza merytoryczna kandydata.

Innymi słowy, polska polityka zagraniczna jest w rękach ludzi, którzy nigdy na poważnie jej nie prowadzili. A to oznacza, że nie potrafia jej planować ani realizować. Brakuje im bowiem niezbędnej wiedzy i doświadczenia, by ocenić, co jest do osiągnięcia, a co nie.

Po trzecie, sytuacja wiceministrów, którzy się przyuczają, powoduje, że zablokowane są kanały awansu wewnątrz MSZ. A to specyficzny resort, w którym trwa ciągła rotacja, więc te kanały powinny być otwarte. Rzecz w tym, że owa blokada ma charakter obiektywny – jeżeli na stanowiska wiceministrów trafiły osoby nieznające ministerstwa i pracujących w nim ludzi, trudno im wyselekcjonować tych wybijających się, na których warto postawić. No bo jak mają ocenić kwalifikacje danego urzędnika? Obserwując, czy nisko się zgina?

Ha! Nie jest to w MSZ wielka nowość. Podobnie było w czasach Krzysztofa Skubiszewskiego, który przejmował ministerstwo z rąk PZPR. Wtedy jednak korzystano z notesu prof. Geremka. W ten sposób do MSZ trafiło sporo zdolnych i mądrych ludzi, lecz zdarzały się też nieміłe pomyłki. Nad wyraz często.

Ale – co warto zauważyć – parę lat później, gdy Geremek już osobiście kierował MSZ, politykę kadrową prowadził inaczej, stawiając na ludzi z wewnątrz, na doświadczonych dyplomatów. Potrafił ocenić kompetencje i umiejętności.

Czy podobną ścieżką pójda nominaci PiS? A może jest za późno, bo za pół roku wybory?

Tak chyba właśnie jest – trzy i pół roku władzy okazało się czasem straconym. Dla wszystkich. Dla tych, którzy cenią fachowość, dramatem były nominacje ambasadorów dyletantów albo awanturników. Rzeczpospolita (ani PiS) pożytku z nich nie ma. Z kolei dla twardogłowych w PiS MSZ nadal jest siedliskiem ludzi z korporacji Geremka i z czasów PRL, więc wciąż podejrzanych.

To wywołuje wśród wiceministrów naturalny strach przed podwładnymi. Bo nie dość, że o niebo lepiej znają się na dyplomatycznej materii, to jeszcze nie wiadomo, jaka przeszłość za nimi się ciągnie. Ba... A może związki z tajnymi służbami?

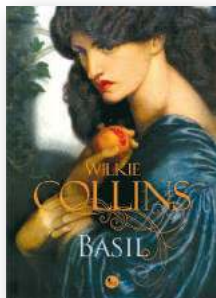
Taka sytuacja powoduje, że między kierownictwem MSZ a pracownikami tworzy się mur nieufności. Wice-minister drży, czy podwładny nie wywinie mu jakiegoś numeru. Podwładny również nie wie, czym przełożony go zaskoczy. Obwąchują się jedni i drudzy.

To nie może działać.

Attaché



Młodzi palestyńscy tancerze na placu Zamkowym w Warszawie z okazji Palestyńskiego Dnia Ziemi (30 marca), ustanowionego przez ONZ dla upamiętnienia śmierci w 1976 r. palestyńskich rolników, którzy protestowali przeciw skonfiskowaniu ich ziemi przez Izrael.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

- stolica nad Dźwiną
- rodzajowa albo kabaretowa
- broń drzewcowa Kozaków
- na nim posuszujesz
- z izbą przyjęć i blokiem operacyjnym
- osiemnastka na stoisku nabiałowym
- i napędowa, i wkręcana
- w parze z Trynidadem
- zwywały do stawienia się na wyprawę wojenną
- o mężczyźnie zachowującym się nieprzystojnie
- podczas wojny z nim w USA palono karty poborowe
- o psychice, życiu duchowym
- mięso z Argentyny
- wznowienie gry z autu
- byrdżowy albo legat
- i ped rośliny, i potrawa

Rozwiązanie „JOLKI-901” z 24 marca: *We śnie można wszystko.*
Nagrody otrzymują: Zofia Biszewska ze Szczecina, Iwonne Chowaniec z Nowego Targu, Marek Kaszuba z Łodzi.

PENETRACJE

DUŻYFORMAT **MAGDA FITAS-DUKA-CZEWSKA, B. TŁUMACZKA DONALDA TUSKA**

Jako młoda tłumaczka bardzo dobrą szkołę otrzymałam od prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Sam znał języki, ale z różnych względów korzystał z tłumacza. Wymagał precyzji, nie akceptował bylejakości. Wiedział, co i jak chce powiedzieć, i tłumacz nie mógł tego wypłaszczyć, skrócić, zmienić akcentów emocjonalnych. Jeśli prezydent nie był zadowolony z przekładu, potrafił w trakcie swojego wystąpienia podziękować tłumaczowi i dalej sam siebie tłumaczyć. Jeśli powiedział trzy razy „bardzo, bardzo, bardzo dziękuję”, to wymagał, abym również trzy razy powiedziała „bardzo”. Ale nie chodzi o to, aby jak papuga powtarzać każde słowo. Chodzi o precyzyjne oddanie myśli i intencji klienta.

charaktery **PROF. PHILIP ZIMBARDO, PSYCHOLOG ZE STANFORD UNIVERSITY**

W pogoni za celami wielu ludzi widzi drogę do szczęścia.

– To nie jest dobra droga – nigdy nie dołączysz tego, za czym gonisz. Bardzo ważna jest zrównoważona perspektywa czasu. Nie jest dobrze, jeśli jesteśmy nadmiernie zorientowani na przyszłość, bo to

oznacza pracoholizm. Nie powinniśmy też żyć wyłącznie chwilą obecną, bo wtedy uzależniamy się od tego, co daje nam natychmiastową przyjemność. Z kolei nadmierne zorientowanie na przeszłość, nawet pozytywną, sprawia, że staramy się przenieść do teraźniejszości to, co było, a przecież to niemożliwe.

Press **MONIKA SZNAJDERMAN, ZAŁOŻYCIELKA WYDAWNICTWA CZARNE, PISARKA**

Autor, który jest nam winien dwie książki, zniknął gdzieś w Azji. Czasem niektórzy znikają w Polsce, ale tylko dla nas, po czym objawiają się w innym wydawnictwie. Są autorzy, którzy w dniu oddania nam według umowy książki informują, że nie napisali ani słowa. Normą jest przesuwanie terminów, rekordziści nawet o pięć lat. Są autorzy, którzy podpisują naraz za dużo umów z kilkoma wydawcami i się nie wyrabiają. Nasz rekordzista miał podpisanych z nami chyba z pięć umów, a w międzyczasie podpisywał też z innymi wydawcami. Poza tym autorzy nie czytają umów. Na przykład nie wiedzą, na jaką objętość się umówili. Często się zdarza, że autor oddaje książkę o jedną trzecią za krótką i uważa, że to jest OK. Nie widzi związku między zaliczką a objętością książki i jej ceną detaliczną.

Aby język giętki...

PROF. ANDRZEJ RYCHARD O WYNIKU WYBORÓW

Raczej bym zakładał, że PiS najbliższych wyborów nie wygra.

PROF. WITOLD M. ORŁOWSKI O PRZYSZŁOŚCI PiS

Jeśli wygra wybory, to w ciągu następnej kadencji będzie krwawić. Sam szykuje sobie gospodarczą krwawą łaźnię i dramatyczne załamanie zaufania przez kłopoty finansowe, które w tej chwili generuje.

KATARZYNA KOLENDĄ-ZALESKĄ O WISŁAWIE SZYMBORSKIEJ

Nauczyła mnie uważności. I tego, żeby więcej słuchać, a mniej gadać.

PROF. JERZY HAUSNER O PODATKACH

Podatki w Polsce nie są wysokie – wysokie są za to koszty pracy.

RAFAŁ MATYJĄ O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Spoistość obozu politycznego PiS zawsze była dla niego ważniejsza niż jego rozległość.

DOROTA MASŁOWSKA O TEATRZE

Chodzę do teatru, ale w 90% przypadków totalnie przeklinam, wychodząc.

GRZEGORZ RELIGA O OJCU ZBIGNIEWIE

Był osobą niewierzącą i to się nie zmieniło – w obliczu śmierci nie doznał objawienia, nie szukał ratunku.

KRYSTIAN LUPA O STAROŚCI

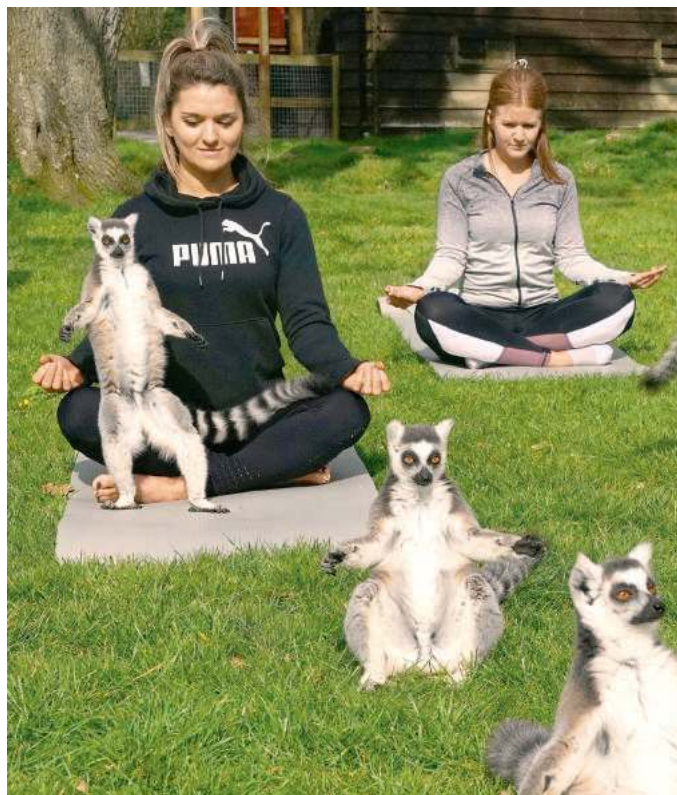
Wiek jest czymś stale falującym. Dopóki jestem pod wpływem marzeń, nie odczuwam upływu czasu.

JERZY HOFFMAN O TOAŚCIE WIKTORA ZBOROWSKIEGO

Nie życzę wam zdrowia, bo na „Titanicu” wszyscy byli zdrowi. Nie życzę wam pieniędzy, bo na „Titanicu” wszyscy byli bogaci. Życzę wam fartu.

DOROTA KOLAK O BRAKU PRAWA JAZDY

Uważam, że moja nieobecność na polskich drogach jest bezcenna. Byłabym zawalidrogą. Osoby, które mnie znają, z ulgą przyjmują moją decyzję.



Poprawiamy samopoczucie człowieka i lemura – tak reklamuje swoje zajęcia hotel Armathwaite Hall w Keswick w Anglii.

FOT. PRESS ASSOCIATION/EAST NEWS

Hau znaczy więcej niż miau

Paul Zak z Claremont Graduate University przeanalizował próbki śliny psów i kotów pod kątem zawartości oksytocyny, która u ssaków wydzielana jest w sytuacjach, gdy czują przywiązanie, np. do karmionego przez siebie potomstwa. Okazało się, że po 10 minutach zabaw, przytulania i głaskania u Azorów poziom hormonu wzrósł o 57,2%, u Filemonów zaś ledwie o ok. 12%. Gdyby brać pod uwagę tylko ten eksperyment, należałoby powiedzieć, że psy kochają właścicieli pięć razy mocniej niż koty. To jednak oczywista oczywistość, że taka argumentacja nie przekona prawdziwych miłośników mruczków.

Geni(t)alny pomysł na muzeum

W Londynie trwają przygotowania do uruchomienia Muzeum Waginy. Inicjatorką publicznej zbiórki na ten cel jest Florence Schechter, wideoblogerka naukowa. Zainspirowały ją trudności z zebraniem materiałów do filmu „TOP 10 zwierzęcych wagin”, podczas gdy przygotowanie scenariusza do analogicznego odcinka o penisach było bardzo łatwe. Placówka będzie mieć charakter edukacyjno-rozrywkowy i prezentować całościowe spojrzenie na waginę, w tym jej miejsce w kulturze.

Burgerozstąpienie

Inny youtuber, Brytyjczyk Tom Stanniland, za pomocą balonu meteorologicznego wysłał w stratosferę zamrożonego hamburgera razem z kamerą GoPro. Na wysoko-

ści ok. 40 km balon pękł, a bułka z kotлетem spadła na boisko treningowe czwartoligowego klubu piłkarskiego Colchester United. Bloger przyjechał po nią z rodzinnego Sheffield, a następnie skonsumował. – Byliśmy zachwyceni, mogąc połączyć Toma z jego posiłkiem i sprzętem – skomentował klub, który dzięki akcji trafił do głównych mediów na Wyspach. A także do PRZEGLĄDU.



ści ok. 40 km balon pękł, a bułka z kotлетem spadła na boisko treningowe czwartoligowego klubu piłkarskiego Colchester United. Bloger przyjechał po nią z rodzinnego Sheffield, a następnie skonsumował. – Byliśmy zachwyceni, mogąc połączyć Toma z jego posiłkiem i sprzętem – skomentował klub, który dzięki akcji trafił do głównych mediów na Wyspach. A także do PRZEGLĄDU.

Wszedł im w krew tupot białych mew?

W pubie w belgijskim Adinkerke odbyły się mistrzostwa Europy w udawaniu mew. Aby zwyciężyć, należało jak najrealistyczniej odtworzyć dźwięki wydawane przez ptaki, co oceniał specjalista od tego gatunku, ornitolog Jan Seys. Mistrzem Europy mężczyzn został Reggy Laatch z Holandii, a w kategorii kobiet prestiżowy tytuł zgarnęła Bregje Idding z Belgii. Gratulujemy!

Proście, a będzie wam dane

Grupa oszustów wyłudziła od korporacji Google i Facebook ok. 121 mln dol. Metoda była prosta: wysyłali do internetowych gigantów mejle, w których podawali się za tajwańską firmę Quanta Computer i prosili o uregulowanie zaległych płatności. Na miejscu obu firm, zamiast się dąsać, zatrudnilibyśmy przedsiębiorczy zespół przy rozwijaniu nowych modeli biznesowych.

MEMY BEZ ŚCIEMY





ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socza (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzyktor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Nauka zaprocentuje

Prof. David Nutt, psychiatra i psychofarmakolog, należy do zwolenników poglądu, że alkohol jest bardziej szkodliwy niż narkotyki, w tym heroina. Naukowiec pracuje nad odpowiednikiem alkoholu wywołującym podobny efekt rauszu, ale przyjaznym dla wątroby i niepowodującym kaca. W obecnej fazie testów zidentyfikowano jedną, za to poważną wadę Alcarelle – jak przyznaje sam twórca, napój nie jest zbyt smaczny i trzeba go pić w drinkach.

Bo do tanga trzeba czworga (rąk)

Nowe opakowanie prezerwatyw Tulipán promuje bezpieczny seks, na który obie strony wyraziły świadomą zgodę. Paczka ma specjalny system otwierania, wymagający wszystkich rąk obojga/obu partnerów. Jak podkreśla agencja odpowiedzialna za projekt: „Musimy rozmawiać o najważniejszym elemencie każdej relacji seksualnej – przyjemność jest możliwa, tylko gdy oboje na to się zgadzacie”.





Dominik Jasiński

Ukryte pragnienia

„Ukryte pragnienia” to zbiór najnowszych, wcześniej nieprezentowanych prac, pochodzących z Portugalii, gdzie artysta obecnie mieszka. W obrazach Jasińskiego czyste, nasycone barwy, bardzo często krzykliwe, zestawiane są kontrastowo i antagonistycznie. W świecie realnym nie mają odpowiedników pod postacią przedmiotów czy sylwetek ludzkich. Pozbawione związków z rzeczywistością wybierane są instynktownie i kładzone niczym nieskrępowanym gestem malarskim. Malarz utrwala spontaniczne wrażenia i ruch.

Galeria Quadrilion, Warszawa, ul. Mokotowska 59, do 27 kwietnia

edycja.pl 0459960167



Akademia Humanistyczna

im. Aleksandra Gieysztora



Administracja
Historia
Pedagogika
Politologia
Bezpieczeństwo
Narodowe

seminaria doktorskie
w dyscyplinie historii i nauk o polityce

studia I stopnia • studia II stopnia • studia podyplomowe

INFORMACJE I ZAPISY

Dziekanaty właściwych Wydziałów
ul. Mickiewicza 36B, Pułtusk

www.ah.edu.pl



NAGRODY
SANT JORDI

NAJLEPSZY FILM
(NAGRODA GŁÓWNA)
NAJLEPSZA AKTORKA
(NOMINACJA)



FESTIVAL DE
MÁLAGA
CINE EN ESPAÑOL

NAJLEPSZY FILM
NAJLEPSZY REŻYSER
NAJLEPSZA AKTORKA



NAGRODY
FEROZ

NAJLEPSZA AKTORKA
NAJLEPSZY PLAKAT
(NOMINACJE)

GWIAZDY HISZPAŃSKIEGO KINA:

Alexandra Jiménez

Miki Esparbé

Bruno Sevilla

BERLIN, BARCELONA

OPOWIEŚĆ O WSPÓŁCZESNYCH 30-LATKACH
I KRUCHOŚCI PRZYJAŹNI

W KINACH OD 5 KWIETNIA

Projekt współfinansowany
ramach programu Unia Europejska
„Kultura Europa”

